

magazyn



# OBYWATEL

Za nasze poglądy nie dają nagród

www.obywatel.org.pl • Nr 5(25)/2005 • dwumiesięcznik • cena 7 zł (w tym 0% VAT)

ISSN 1641-1021 index 361569  
Europa 4,5 EUR, USA 5 USD



Co nam zostało z tamtych lat?

Andrzej Gwiazda

Bernard Margueritte

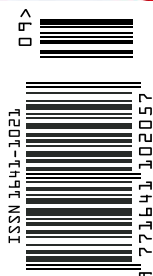
Zbigniew Romaszewski

Bezdroża „Solidarności”

- prof. Tadeusz Kowalik

Solidarność Walcząca,

czyli niepodległość bez kompromisu



PISMO POŚWIĘCONE

# FRONDA

**ZABÓJCZY  
KWARTALNIK**



PROMOCJA

[www.fronda.pl](http://www.fronda.pl)





Dwumiesięcznik  
„Magazyn Obywatel”

Wydawca:  
Stowarzyszenie „Obywatel”

Adres redakcji:  
Obywatel  
ul. Próchnika 1/301, 90-408 Łódź  
tel./faks: /42/ 630 17 49  
tel. 0504 086 865

Propozycje tekstów, tematów,  
uwagi merytoryczne:  
okraska@obywatel.org.pl

Reklama, kolportaż, prenumerata,  
numery archiwalne:  
gorski@obywatel.org.pl

Internet:  
<http://www.obywatel.org.pl>

Numer konta:  
Stowarzyszenie „Obywatel”  
Bank Spółdzielczy Rzemiosła w Łodzi  
81-8784-0003-0005-0010-0005-8901

Redakcja:  
Rafał Górski  
Remigiusz Okraska (redaktor naczelny)  
Szymon Surmacz

Stali współpracownicy:  
Karolina Bielenin, Piotr Bielski,  
Joanna Duda-Gwiazda, Agata Brzyzka,  
Piotr Lewandowski, Bartosz Malinowski,  
Lech Mażewski, Anna Mieszczanek,  
Leszek Nowakowski, Barbara Surmacz,  
Olaf Swolkień, Jarosław Tomasiewicz,  
Jacek Ugliński, Andrzej Zybala

Kolektyw:  
Justyna Bibel, Magdalena Doliwa, Filip Falek,  
Monika A. Gorzelańska, Magdalena Marciniak,  
Przemysław Prytek, Michał Sobczyk, Justyna  
Sujka, Stella Szewczyk, Małgorzata Świderok

Skład i opracowanie graficzne:  
studio@obywatel.org.pl

Druk:  
„Print”, tel. /42/ 717 48 55

Dziękujemy za pomoc:  
„PlusFoto” ul. Gogola 12, Łódź  
[www.plusfoto.home.pl](http://www.plusfoto.home.pl)

W całej Polsce „Magazyn Obywatel”  
można kupić w sieciach salonów  
prasowych Empik, Ruch, Kolporter,  
Inmedio, Relay.

Wybrane teksty „Magazynu Obywatel”  
są dostępne na stronach OnetKiosku  
(<http://kiosk.onet.pl>).

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania nadesłanych  
tekstów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie  
wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają poglądy  
redakcji. Przedruk materiałów z „Obywatela” dozwolony  
wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji,  
a także zamieszczenia pod przedrukiem adresu strony  
WWW pisma: <http://www.obywatel.org.pl>

okładka: Szymon Surmacz

## W numerze:



Co nam zostało z tych lat? ..... str. 5

**Każdego dnia próbowali budować lepszy świat**

– z prof. Davidem Ostem  
rozmawiają Remigiusz Okraska i Michał Sobczyk ..... str. 6

**Czym była pierwsza „Solidarność”?**

– Joanna Duda-Gwiazda i Andrzej Gwiazda ..... str. 12

**25-lecie „Solidarności”** – Zbigniew Romaszewski ..... str. 15

**Wierność i Zdrada** – Wiesława Kwiatkowska ..... str. 18

**Solidarność: za nami czy przed nami?** – Bernard Margueritte ..... str. 20

**Wielki ruch, mierni przywódcy** – Wojciech Turek ..... str. 22

**Koniec mitu?** – Janusz P. Waluszko ..... str. 24

**Niezwykła idea zachowana w sercach zwyczajnych ludzi**  
– Ewa Bugno-Zaleska ..... str. 27

**O Sierpniu antysentymentalnie** – Jacek Zychowicz ..... str. 30

**1980** – Jarosław Tomasiewicz ..... str. 33

**Nie ma wolności bez solidarności** – Julian Srebrny, Marian Srebrny .... str. 34

**Myśląc o Sierpniu** – Tomasz Szczepański ..... str. 37

**Bezdroża „Solidarności”**

– z prof. Tadeuszem Kowalikiem rozmawia Andrzej Zybala ..... str. 38

**Solidarność Walcząca,**

**czyli niepodległość bez kompromisów** – Artur Adamski ..... str. 42

**Akuszery III RP** – Adam Sandauer ..... str. 47

**PÓŁKOWNIKI III RP:**

**Przyszło nowe w cudzystowie**

– z Piotrem Zarębskim rozmawia Rafał Górski ..... str. 50

**Film można odłożyć na półkę...** – z Dariuszem Małeckim

rozmawiają Rafał Górski i Szymon Surmacz ..... str. 53

**Obywatel Reżyser** – mówi Jerzy Zalewski,

słuchają Rafał Górski i Szymon Surmacz ..... str. 55

**Ironieje** – Tadeusz Buraczewski ..... str. 59

**Słowa bezdomne na niewidzialnym murze** – Waldemar Bożeński .... str. 60

**Kto traci nadzieję i wiarę w utopię, ten jest pokonany**

– z Adolfo Pérez Esquivalem, laureatem  
Pokojowej Nagrody Nobla, rozmawia Piotr Bielski ..... str. 62

**A rebours** – Marek Has ..... str. 64

**RECENZJE:**

**Polak potrafi(ł)** – Remigiusz Okraska ..... str. 68

**Socjaliści z Solidarności** – Krzysztof Kędziora ..... str. 70

**FELIETONY:**

**W pogoni za użytecznością** – Joanna Duda-Gwiazda ..... str. 72

**Dzwon na środku świata** – Anna Mieszczanek ..... str. 73

**Kandydatom do sztambucha** – Olaf Swolkień ..... str. 74

**Bez reprezentacji** – Jacek Zychowicz ..... str. 75

**Autorzy numeru** ..... str. 76



# Co nam zostało z tamtych lat?

Oddajemy do Waszych rąk szczególny numer „Obywatela” – pierwszy w niemal pięcioletniej już historii naszego czasopisma, który zdecydowaliśmy się w całości (z bardzo drobnymi wyjątkami) poświęcić jednemu tematowi. Tym tematem jest „Solidarność”.

Nie czynimy tak dlatego, że w całym kraju trwa ogólnie „nakręcana” celebrowanie obchodów 25-lecia wydarzeń, które sprawiły, iż powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Wybór takiego tematu ma inną przyczynę: tamta, pierwsza „Solidarność” stanowi dla nas inspirację i jeden z najważniejszych punktów odniesienia. Tamta, to znaczy „Solidarność” oddolna, autentyczna, obywatelska, twórcza, pełna nadziei i zaangażowania, niosąca pomysł na lepszą Polskę. „Solidarność” zwykłych ludzi ze stoczni, biur, szpitali i kopalń, „Solidarność” intelektualistów porzucających więź z kości słoniowej. „Solidarność” obywateli.

\*\*\*

Przygotowując numer „Obywatela” poświęcony „Solidarności”, zdaliśmy sobie sprawę z pewnego rozdarcia, jakie jest udziałem redaktorów naszej gazety – ludzi urodzonych w połowie lat 70.

Jesteśmy za młodzi na „Solidarność” – nie jest ona naszym przeżyciem jednostkowym czy pokoleniowym. Myślimy więc o niej z dystansem, bez emocji związanych z zaangażowaniem w tamtą walkę, bez zawiedzionych nadziei i poczucia rozczarowania. Nie przeżyliśmy tego wszystkiego osobiście – pewnie nawet zazdrościmy tym, którzy otrzymali od losu taki podarunek – i na pewno możemy popełniać błędy w ocenie wydarzeń sprzed ćwierćwiecza, idealizować czy wypaczać ich sens. Ale gdyby dzieci wierne naśladowały rodziców i wierzyły w każde ich słowo, to do dziś siedzielibyśmy w jaskiniach.

Jesteśmy jednak za starzy, aby wzorem wielu naszych ciut młodszych kolegów nabierać się na popularne dziś bajeczki, nieustannie serwowane milionom czytelników, słuchaczy i widzów. Że generał Jaruzelski to szlachetny obrońca ojczyzny przed „anarchią”. Że „Gazeta Wyborcza” jest obiektywna i uczciwa, a jej redaktorom chodzi o dobro wspólne i piętnowanie prywaty. Że Lech Wałęsa samodzielnie obalił komunizm, no może trochę pomogli mu Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Że Leszek Balcerowicz przez przypadek został autorem wielkopomnej „reformy gospodarczej”, która była jedynym słusznym rozwiązaniem. Że jeden Wildstein jest dla demokracji większym zagrożeniem niż setki i tysiące Maleszków. Że najmocniej kochają „ludzi pracy” ci, którzy całkiem niedawno rozjeżdżali ich czołgami. Że „nierównościami społecznymi” najbardziej, ale to naprawdę najbardziej przejmują się publicystki „Wysokich Obcasów” i sieroty po „lewym skrzydle” Unii Wolności. Że naczelnym krytycznym polskim intelektualistą jest Jacek Żakowski, który za wytykanie błędów neoliberalizmu zabrał się z zaledwie 15-letnim opóźnieniem. Że miłośnikami

swobód i tolerancji są dawni partyjni kumple Moczara, a ich przeciwnicy to sami zamordyści i antysemita. Że Walentynowicz, Gwiazda czy Morawiecki to frustraci, furia i zazdrośnicy, a wokół Frasyniuka, Bujaka czy Borusewicza zebrali się wyłącznie ludzie o wielkich sercach, nieskazitelnym sumieniu i subtelnych umysłach. Itd. Nie z nami te numery.

\*\*\*

Abstrahując jednak od detali historii ostatniego 25-lecia, pierwsza „Solidarność” jest dla nas przede wszystkim dowodem na to, że Polak potrafi. Może nie zawsze, może nie do końca konsekwentnie, ale jednak potrafimy zrobić coś pięknego. Z codziennej „obywatelskiej” harówki znamy wszelkie cienie dzisiejszej rzeczywistości i ostrożnie podchodzimy do wizji, iż możliwa jest w nieodległej przyszłości jakaś „powtórka z Sierpnia”. Ale tam, gdzie nie powinno być miejsca na pięknoduchostwo i naiwne marzycielstwo, tam nie powinno go być także na czarnowidztwo i wyciąganie wniosków, że skoro „Solidarność” się „nie udała” – bo zdradzono jej ideały, bo zatriumfowały kanale, bo etos okazał się zasłoną dymną dla wielu zwykłych świństw – to nic się już nie uda. Owszem, daleko nam do hurraoptymizmu, ale tego ostatniego nie było zbyt wiele także przed Sierpnem.

Pierwsza „Solidarność” to dla nas nie tylko inspiracja ideowa czy praktyczna – jak się zachowywać, w co wierzyć, jak działać, w imię czego podejmować obywatelskie wysiłki. To także pewien sposób myślenia, stojący w opozycji wobec beznadziei serwowanej nam przez politycznych i gospodarczych oligarchów oraz wiele środowisk, które określają się jako alternatywa wobec nich. Z Sierpnia ’80 czerpiemy przede wszystkim natchnienie do zanegowania optyki, którą z gorzką ironią sportretował w roku 1976 Jan Krzysztof Kelus, śpiewając w „Piosence o drugiej Polsce” o nosicielach tej swoistej mentalnej zarazy: „Ci wszyscy co mówią, że nic się nie zmieni / bo z jednej jest Rosja, a z drugiej jest Niemiec / bo burdel bo Żydzi bo Polak się leni / a kto się wychyla, to zwykły szaleniec”. Cóż, chcemy być szaleńcami, nawet jeśli nie uda nam się zrobić swojego Sierpnia...

\*\*\*

„Obywatel” od początku istnienia był pismem, które prezentowało poglądy różnorodne, często wręcz wykluczające się nawzajem, przedkładając dyskusję nad dogmaty i tabu „lewych” i „prawych”. Tak jest i tym razem, może nawet w stopniu większym niż zazwyczaj, bowiem w zaprezentowanych w tym numerze rozważaniach pojawiają się także takie opinie, które w najmniejszej mierze nie odzwierciedlają poglądów redakcji. Jednak kolejna lekcja z pierwszej „Solidarności” jest taka, że bez swobodnej wymiany poglądów nie ma wspólnego działania.

Redakcja „Obywatela”

# Każdego dnia próbowali budować lepszego świat

- z prof. Davidem Ostem

rozmawiają Remigiusz Okraska i Michał Sobczyk

Od połowy lat 70. interesował się Pan inicjatywami opozycyjnymi w Europie Środkowo-Wschodniej. Gdy powstała „Solidarność”, to zainteresowanie przerodziło się w fascynację. Co takiego sprawiło, że Amerykanin szukał inspiracji w tym właśnie ruchu społecznym? Mimo że minęło wiele lat od tamtych wydarzeń, wciąż podkreśla Pan oryginalność „Solidarności” oraz krytykuje Polaków, że zaczęli bezmyślnie kopiować standardowe wzorce zachodnie.

D. O.: Faktycznie, moja fascynacja ruchami opozycyjnymi w Europie Środkowo-Wschodniej zaczęła się zanim jeszcze powstała „Solidarność”. Czy to rok 1956 w Polsce i na Węgrzech, czy też Praska Wiosna w Czechosłowacji – wszystkie one wydawały się wspaniałymi ruchami, reprezentującymi dążenia całych społeczeństw, głosząc potrzebę „prawdziwej demokracji” i, wydawałoby się, świadome tego, w jaki sposób realny kapitalizm uniemożliwia osiągnięcie tego celu w takim samym stopniu, jak realny socjalizm. Owe ruchy reprezentowały tę, tak trudną do uchwycenia, „trzecią drogę”, i dokładnie w ten sposób postrzegali to aktywiści „społeczeństwa obywatelskiego” lat 70., nie tylko w Polsce, ale także w Czechosłowacji i na Węgrzech. Jak napisał w owym czasie węgierski pisarz György Konrád: „Nie jestem ani komunistą, ani antykomunistą, nie jestem ani kapitalistą ani antykapitalistą; jeśli człowiek musi koniecznie być za czymś i przeciwko czemuś, to według mnie najwyższą wartością jest permanentnie rozszerzająca się demokracja”. Hołdowanie takiemu zobowiązaniu jest właśnie tym, co odnalazłem we wschodnioeuropejskich ruchach opozycyjnych. I wtedy pojawiła się „Solidarność”, ucieleśniając te cele i tę społeczną jedność w stopniu dotychczas niespotykanym, gdzie zadziwiający sojusz robotników i intelektualistów był widoczny podczas każdego strajku, w każdym biuletynie i na każdym publicznym spotkaniu.

Po raz pierwszy byłem w Polsce w 1976 roku. Mój pierwszy, dwutygodniowy pobyt w czasie „Solidarności” miał natomiast miejsce w marcu 1981 r., kiedy to udałem się do Warszawy, na odbywającą się w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego dużą uroczystość rocznicową, upamiętniającą wydarzenia marcowe 1968 r., oraz kilka dni później do Bydgoszczy na spotkanie z działaczami „Solidarności” i niezależnego ruchu chłopskiego,

okupującymi budynek Komitetu Wojewódzkiego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, dokładnie w czasie wydarzeń prowadzących do słynnego niedosłusznego strajku generalnego. We wrześniu 1981 r. wróciłem na I Krajowy Zjazd „Solidarności”, i zostałem na kolejne piętnaście miesięcy. I wszędzie spotykałem ludzi zaangażowanych w proces otwartej społecznej komunikacji, w dialog, wyrażających i analizujących skargi i problemy, budujących „permanentnie rozszerzającą się demokrację” – jednym słowem: ludzi aktywnie tworzących nowy rodzaj społeczeństwa.

Nie byłem wcale naiwny ani egzaltowany w stosunku do tego wszystkiego, co widziałem. Chociaż byłem młody, nie byłem entuzjastą tego, co Kundera nazwał „Wielkim Marszem” – wiary w jakąś świetlaną przyszłość, kiedy „zjednoczony lud” weźmie władzę w swoje ręce. Właśnie to było takie fascynujące w „Solidarności”: ona rozumiała, że tuż za rogiem nie istnieje żadna świetlana przyszłość, będąca na wyciągnięcie ręki. Zupełnie nie zgadzam się z tymi, którzy obecnie utrzymują, że uczestnicy i zwolennicy „Solidarności” byli masą biernych obserwatorów, czekających aż dobroduszni przywódcy rozwiążą ich problemy. To, co ja widziałem, to ludzie zaangażowani w proces rozwiązywania swoich problemów, odkrywający własną siłę. To nie mogło być proste, ale właśnie takie procesy miały wtedy miejsce, i kiedy miałem możliwość widzieć to na własne oczy, wiedziałem, że zasługują na baczną uwagę. To chyba właśnie wtedy, w marcu 1981 r., postanowiłem opowiedzieć historię „Solidarności” Amerykanom. Nigdy

**David Ost** (ur. 1955) – profesor politologii w Hobart and William Smith Colleges w stanie Nowy Jork, wykładał również na Uniwersytecie Warszawskim i Central European University, a obecnie także na New School w Nowym Jorku. Od lat 70. blisko związany z polską opozycją demokratyczną. Autor wielu publikacji o przemianach w Europie Wschodniej, z których najbardziej znana jest książka „Solidarity and the Politics of Anti-Politics” („Solidarność i polityka anty-polityki”, 1990). Jego najnowsza praca, „The Defeat of Solidarity: Anger and Politics in Postcommunist Europe” („Kłęska »Solidarności«: gniew i polityka w postkomunistycznej Europie”) ukazała się kilka miesięcy temu nakładem Cornell University Press. Kontakt: ost@hws.edu



razem o to, że w każdym kraju pojęcia „lewica” i „prawica” rozumieć można jedynie w ich własnym, „lokalnym” kontekście. Wielu Polaków nie rozumie, w jaki sposób przedstawiciel amerykańskiej lewicy może być tak wielkim entuzjastą wolności, samorządności i działań oddolnych, gdyż mają doświadczenia z zupełnie innym rodzajem lewicy. Tymczasem te wartości należą do tradycyjnego kanonu amerykańskiej lewicy, poczynając od działań Industrial Workers of the World [związku zawodowy o silnym odcieniu anarchistycznym, założony w 1905 r. w Chicago – przyp. redakcji] i początkowego okresu istnienia Socialist Party, poprzez, oczywiście, Nową Lewicę lat 60-tych i 70-tych.

Oczywiście niektórzy Polacy akceptowali moją lewicowość: ci,

przez myśl mi nie przeszło, że będę proszony, by opowiadać ją także Polakom. Niestety, jak słusznie zauważyliście w pytaniu, po roku 1989 Polacy byli tak bardzo zafascynowani tym, że w Polsce może wreszcie „być jak na Zachodzie”, że zdali się zapomnieć o tym, co wydarzyło się w latach 1980-1981. Nie mogę się nadziwić, że tak mało się o tym w Polsce dyskutuje, że tak mało przeprowadzono badań naukowych na temat autentycznych przeżyć ludzi w tamtych czasach, na temat tego, jak zakłady pracy i społeczności tworzyły własną politykę.

**Jedni widzieli w „Solidarności” typowo robotniczy, rewolucyjny ruch przeciwko rządzącym „zdrajcom socjalizmu” (prowadzony w imię hasła „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie”), dla innych był to narodowo-katolicki zryw niepodległościowy przeciwko „władzy okupacyjnej”. Pan wywodzi się ze środowiska amerykańskiej lewicy. Jak oceniał Pan charakter tego ruchu – na ile pokrywał się on z Pańskimi lewicowymi poglądami, a na ile je przekraczał?**

D. O.: Muszę podkreślić, że wywodem się z amerykańskiej lewicy. Chociaż Polacy lubią podkreślać, jacy są wyjątkowi, mają nieznośną skłonność do dużych uogólnień na temat innych, szczególnie tych na lewicy. Zajęło mi całe lata zanim w pełni zdałem sobie sprawę z aury podejrzliwości, jaka mnie otaczała z powodu deklarowanych sympatii politycznych. Nie, nie byłem skrytym wielbicielem rządów autorytarnych. Nie upatruję w silnym państwie sposobu na rozwiązanie wszystkich problemów społecznych. Jeśli pozwolę sobie na tak silną, że aż nieco nieprzyzwoitą generalizację, to Rosjanie są niezwykle przeniknięci wiarą w silne państwo, Azjaci nawet jeszcze bardziej, mieszkańcy Europy Zachodniej ufają silnemu państwu jedynie w niewielkim stopniu, a Amerykanie – prawie wcale. Wszystko to wynika nie z silniej zakorzenionej kultury politycznej, ale z okoliczności politycznych, ze związanymi z nimi kwestiami ekologicznymi, ekonomicznymi, poczuciem bezpieczeństwa, co jest zagadnieniem zbyt złożonym, by zacząć się tutaj nad nim rozwodzić. Chodzi mi w każdym

którzy uczestniczyli w wydarzeniach roku 1968 i dowieździeli się, że ich najsilniejszymi i najbardziej naturalnymi sojusznikami jest ta sama zachodnia lewica, której zwolennicy głosili się wielbicielami Mao i Che. Rzecz jasna, taka postawa była równie dziwaczna i błędna, jak ta, którą prezentowali niektórzy wojowniczo nastawieni zwolennicy „Solidarności”, utrzymujący, że kochają Ronalda Reagana. W rzeczywistości ci amerykańscy radykałowie byli zafascynowani ideałami samorządności i egalitaryzmu, które wydawały im się być realizowane w Chinach czy na Kubie, a nie dyktaturami, które tam naprawdę panowały. To zupełnie tak, jak polscy zwolennicy „Solidarności”, którzy krzycząc o swojej miłości do prezydenta Reagana podziwiali wyidealizowany nieustępliwy symbol wolności, a nie człowieka, który w swoim kraju wsadzał do więzienia działaczy związkowych i bezpośrednio finansował wymordowanie dziesiątków tysięcy ludzi w Ameryce Środkowej. Tymczasem lewicowcy to byli ci Amerykanie, którzy najmocniej popierali „Solidarność”. Kiedy „Wall Street Journal” lamentował, że powstanie „Solidarności” zmniejszy prawdopodobieństwo spłaty polskich długów, amerykańska prasa lewicowa była oczarowana wspaniałą mobilizacją, samoorganizacją i niezwykłą pomysłowością polskiego ruchu robotniczego. Reportaże pisane przeze mnie w Polsce w trakcie istnienia „Solidarności”, dla lewicowego tygodnika „In These Times”, do dziś pozostają w USA najpopularniejszymi tekstami ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisałem.

Być może główną słabością amerykańskiej lewicy jest jej zamiłowanie do niedokończonych przedsięwzięć. Nie udajemy, że znamy uniwersalne rozwiązania, jesteśmy aż nazbyt świadomi złożoności świata, jednocześnie podziwiamy masowe ruchy, jak i jesteśmy wobec nich nieufni. Innymi słowy, jesteśmy pragmatyczni. Jednocześnie są to powody, dla których tak wielu z nas podziwiała „Solidarność”, z całym jej pogmatwaniem. Widzieliśmy ruch jednoczący robotników i intelektualistów, walczący o swobody demokratyczne oraz o prawa i godność dla robotników w miejscu ich pracy, pomimo tego, że nie było żadnych gotowych schematów, jak osiągnąć wszystkie te cele. To,

co czyniło go wyjątkowym, to „jakość” zaangażowania w walkę o nie – „Solidarność” na serio chciała osiągnąć je wszystkie, dlatego naprawdę nie miało dla nas żadnego znaczenia, czy ma ona korzenie w socjalizmie, czy w chrześcijaństwie (oczywiście wzięta się z obu tych źródeł, tak jak amerykańska lewica). Najbardziej nas fascynowało, że ruch ten każdego dnia próbował zbudować lepszy świat, i prowadził wewnętrzny, uczciwy dialog na temat tego, jak można osiągnąć ów cel.

**Marcin Kula** widział w „Solidarności” oryginalną, polską wersję „narodowo-rewolucyjnych” ruchów, które znamy np. z Ameryki Łacińskiej. **Wojciech Giełżyński** dowodził, że „Solidarność” była najciekawszym wcieleniem pomysłów na „trzecią drogę” między komunizmem i kapitalizmem. Z kolei inni komentatorzy widzieli w niej realizację ideałów etycznego socjalizmu Edwarda Abramowskiego. Która z tych interpretacji wydaje się Panu najbliższa prawdy?

**D. O.:** Wszystkie trzy oceny wydają mi się trafne, może dlatego, że w rzeczywistości takie elementy często występują razem. Weźmy choćby Nikaraguę: ruch narodowo-rewolucyjny jak najbardziej, ale jednocześnie pod wielkim wpływem humanistycznych idei zaczerpniętych od wielkich myślicieli antyautorytarnych oraz chrześcijaństwa. Sandiniści stanęli na czele systemu, gdzie większość własności była w prywatnych rękach i model sowiecki zawsze był ostro krytykowany. Łatwo każdy ruch zredukować do karykatury, ale przy dokładnej analizie widać jego wieloaspektowość i złożoność – tak właśnie jest także z „Solidarnością”.

**Pan, wychowany w amerykańskiej tradycji demokratycznej, obywatelskiej, widział na własne oczy, jak niemal od podstaw tworzą się w Polsce zręby samoorganizacji społecznej. Jakie z praktycznych rozwiązań zaobserwowanych w latach pierwszej „Solidarności” wydały się najbardziej interesujące osobie, która przyjechała z „ojczyzny demokracji”?**

**D. O.:** Ostrożnie z tą „ojczyzną demokracji”, zwłaszcza mając na uwadze obecną sytuację w USA. Ale rzeczywiście, może dlatego, że wychowałem się na historii i mitach o amerykańskiej samoorganizacji społecznej, tak zachwycałem się polskimi próbami podobnych działań. Najbardziej zapadły mi w pamięć dwie rzeczy: sieć medialna oraz sposób negocjowania i rozwiązywania konfliktów wewnątrz Związku. Nigdy chyba w historii ruchów społecznych nie było mediów tak otwartych. Związkowi dziennikarze byli obecni na posiedzeniach Komisji Krajowej, a nawet Prezydium, pisali o tym w piśmie „AS” [„Agencja Solidarności”] i niebawem związkowcy w całym kraju wiedzieli, co się dzieje i jak myślą liderzy organizacji. Dzięki temu ludzie nie czuli się tak izolowani, nie było typowego dla ruchów politycznych zerwania więzi między liderami a zwykłymi członkami. Sprzyjało to zaufaniu wewnątrz Związku

i sprawiło, że „Solidarność” zachowała pewną spójność nawet w czasie stanu wojennego.

Tak samo było ze sposobem rozwiązywania konfliktów. Podstawą było to, że każdy miał prawo wypowiadać się na dany temat i że nie trzeba było zbyt pochopnie i szybko podejmować decyzji. Czasem dochodziło nawet do pewnej przesady. Pamiętam walne zebranie delegatów Regionu Mazowsze tydzień przed wprowadzeniem stanu wojennego, kiedy przewodniczący Regionu, Zbigniew Bu-



foto: ze zbiorów IPN, udostępniona przez Sławomira Cenckiewicz

jak, mówił, że jeśli dojdzie do ostrej konfrontacji z rządem, to on ponownie zwróci się do delegatów, żeby mogli wypowiedzieć się, co dalej robić. Tak szeroka partycypacja członków w podejmowaniu decyzji oczywiście nie sprawdza się w niektórych sytuacjach. Uważam jednak, że konsekwentna obrona tej zasady przez „Solidarność” stanowi pewien wzorzec i symbol, i że systemy demokratyczne byłyby nawet efektywniejsze, jeżeli trzymano by się takich zasad.

**Przyszedł rok 1989. Pan po latach ocenia, że już w okresie przełomu ustrojowego liderzy „Solidarności” i ich „zaplecze intelektualne” reprezentowali zupełnie inne postawy niż u zarania ruchu. Zamiast demokracji był „bonapartyzm” Wałęsy; zamiast oryginalności – naśladownictwo modnych idei z Zachodu; zamiast obrony pracowników najemnych – skrajnie neoliberalne rozwiązania gospodarcze.**

**D. O.:** Na szczęście Wałęsa ani nie mógł zostać Bonapartem, ani chyba nie bardzo tego chciał. Takie hasła służyły mu raczej do wygrania wyborów prezydenckich (i w ogóle do sprawienia, aby wolne wybory prezydenckie odbyły się szybko), ale później zachowywał się raczej porządnie. Ale Wałęsa sam nie wiedział, czego chce – oprócz samej władzy. Inaczej było z nową „solidarnościową” elitą. Jej uczestnicy faktycznie przestali szanować własne tradycje – pamiętam, jak w 1990 r. nowi ludzie u władzy nie chcieli ze mną dyskutować, bo uważali, że zbyt dobrze znam Polskę, a oni zamierzali wprowadzać obce rozwiązania. Woleli rozmawiać z „ekspertami” z Zachodu, którzy byli w Polsce po raz pierwszy, bo uważali, że to oni mogą wskazać im, co teraz należy robić. Jeśli chodzi o pracowni-



ków najemnych, to zaczęli ich traktować jak największych wrogów. Wcześniej mówili o braku poszanowania praw robotników w komunizmie, a ich nowa ideologia głosiła coś dokładnie odwrotnego, że robotnicy byli uprzywilejowani za komuny, a teraz trzeba im uświadomić, iż w nowym systemie muszą stanowić klasę niższą...

**Gdzie tkwią przyczyny tej ogromnej zmiany postaw i poglądów? Najczęściej mówi się w Polsce, że profity związane z objęciem władzy zmieniły punkt widzenia beneficjentów nowego ustroju. Inna teoria wskazuje, że zarówno władze komunistyczne, jak i Zachód wybrały spośród opozycjonistów tych, którzy gwarantowali realizację ich interesów, a resztę zmarginalizowano. Jeszcze inni twierdzą, że stan wojenny zniszczył demokrację wewnątrz „Solidarności” i sprawił, że powstała wyizolowana elita, nie poddana kontroli ogółu członków ruchu. A może po prostu idealistyczny etos przegrał z twardymi realiami?**

**D. O.:** W pewnym sensie to oczywiście prawda: ideały przegrały z realiami. Ci, którzy posiadają realną władzę na świecie zawsze mają większą siłę perswazji niż ci, którzy chcieliby, aby świat wyglądał inaczej. Nie ma nic łatwiejszego niż atakować tych, którzy kończą jako wykonawcy tego, czego wymaga od nich System, określać ich jako tych, którzy „sprzedali się” czy też „zdradzili swoje ideały”. Wielu z tych, którzy doszli do władzy, szczerze

niejszych sojuszników, bez wątplenia wierząc, że nadal ratują część z pierwotnych celów. Nie winię „Solidarności” za ugięcie się pod tego typu naciskami. To, że trudno byłoby postąpić inaczej, jest także winą zachodniej lewicy, której nie udało się zmienić globalnego status quo. Jednakże potępiam liderów „Solidarności” po roku 1989 za to, że przyjętą przez nich politykę firmowali imieniem „Solidarności”. Jeśli masz zamiar zdobyć władzę i grać w globalny kapitalizm, zrób to. Ale nie rób tego w imieniu osób, które mają być ofiarami owego systemu. Jak napisał Dostojewski: „Jeśli chcesz oszukiwać, nie krępuj się i rób to. Tylko zaklinam, bez żadnych moralnych usprawiedliwień”. Utrzymując, że nadal reprezentują tych, którzy znajdują się na samym dole społeczeństwa, uniemożliwili im ponowne zorganizowanie się, co doprowadziło do nadmiernych nierówności społecznych, jakie obserwujemy obecnie.

**Polska weszła w kapitalizm nieźle przystosowana – wedle kryteriów liberalizmu gospodarczego – do nowego porządku: z dobrze zachowaną drobną własnością rolną, z całkiem sporymi załączkami sektora prywatnego w gospodarce, ze znacznymi zasobami surowców i dużym wewnętrznym rynkiem zbytu. A jednak nawet na tle innych krajów postkomunistycznych Polska wypada źle, np. ma wyższe bezrobocie niż większość z nich, wyższe wskaźniki bezdomności czy biedy – dlaczego tak się stało?**

**D. O.:** Ekonomiści przekonują, że Polska ciągle ma się lepiej niż inne kraje regionu, szczególnie z Europy Południowo-Wschodniej, a bezpośrednia bliskość Niemiec i rynków krajów „starej” Unii Europejskiej oznacza, że najprawdopodobniej taki stan rzeczy się utrzyma. Tym bardziej należy się wstydzić np. skali bezdomności czy ubóstwa wśród ludności wiejskiej na wielkich obszarach kraju. Bezsprzecznie główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, że rozmaite rządy po 1989 r. nie uważały tych problemów za poważne. Przyjmowano zasadę, że najpierw wspierano rozwój obszarów bardziej uprzywilejowanych, ostatecznie w ogóle „zapominając”, jak to zwykle bywa, o wszystkich pozostałych. Obecnie

te problemy nadal mają miejsce z powodu tego, co często określa się mianem „liberalnego paradoksu”: ci, którzy najbardziej potrzebują pomocy, mają najmniejsze szanse, żeby ją otrzymać, ponieważ mają najmniej atutów w walce o nią. Dlatego presja organizacji pozarządowych ma tak istotne znaczenie.



foto ze zbiorów Żenona Kwoki

wierzyło, że realizuje pierwotny program „Solidarności”, zupełnie tak samo, jak wielu z tych, którzy zdobyli władzę w Europie Wschodniej po zakończeniu II wojny światowej bardzo szczerze wierzyło, że ich działania prowadzą do emancypacji klasy robotniczej i całego społeczeństwa. To pułapka małych krajów: wiedzą, że same nie dadzą sobie rady, więc odgrywają rolę przydatne dla swoich potęż-

Zarówno z lewej, jak i prawej strony sceny politycznej winą za taki przebieg wydarzeń obarcza się środowisko dawnej „lewicy laickiej”. Stało się ono głównym realizatorem polityki neoliberalnej oraz zwycięzcą w starciu o to, co Gramsci określał jako hegemonia kulturalna. Pan przynajmniej częściowo sympatyzował z tym kręgiem, m.in. przełożył na angielski książkę Adama Michnika „Kościół, lewica, dialog”. Jak ocenia Pan to środowisko z punktu widzenia wierności etosowi pierwotnej „Solidarności”, a także jego rolę w Polsce po roku 1989?

D. O.: Zgadzam się, że to środowisko zaczęło odgrywać rolę hegemonu w polskiej polityce oraz z tym, że to ono było głównym inicjatorem wprowadzenia w Polsce neoliberalizmu gospodarczego. Moja najnowsza książka – „The Defeat of Solidarity” („Kłęska Solidarności”) – poświęcona jest właśnie kwestii roli, jaką te kręgi odegrały w osłabieniu nurtu związkowego wewnątrz „Solidarności”, co w konsekwencji, jak dowodzę, doprowadziło do opanowania związku przez siły prawicy. Jednak w dalszym ciągu to nie jest pełne wyjaśnienie. W początkach ruchu, „lewica laicka” odgrywała bardzo istotną, pozytywną rolę. Grzechy dorosłych nie działają wstecz i nie okrywają hańbą ich młodości. Wczesnych dokonań Michnika nie przekreśla jego dalsza działalność, tak samo jak historyczna rola Kuronia byłaby wzorem godnym naśladowania nawet jeśli nie wróciłby częściowo do swoich korzeni w ostatnich latach życia. Niektóre z najbardziej ekscytujących koncepcji politycznych XX wieku: społeczeństwo obywatelskie rozumiane jako rodzaj samorządu, „anty-polityka” jako sposób na przeciwstawienie się dyktaturze, idea samoograniczenia jako sposobu na uniknięcie nadużyć rewolucji – wszystko to pochodzi z dorobku tego środowiska. Przyznajmy uczciwie, że „Solidarność” lat 1980-1981 trudno sobie wyobrazić bez tych osób – nie twierdzę, że oni ją stworzyli, ale że to ich pomysły ją ożywiły, sprawiły, że stała się takim ruchem, jakim się stała. Kiedy mówię o tym, jak dziedzictwo „Solidarności” zostało zlekceważone, mam na myśli także przedstawicieli tego właśnie środowiska. Rzeczywiście, po 1989 r. mieli swój udział w zaprzepaszczeniu dziedzictwa „Solidarności”. Niemniej jednak ich wcześniejsze dziedzictwo uważam za wartościowe.

Część szeroko pojętej „lewicy solidarnościowej” zbierała się z postkomunistami (Barbara Labuda, Józef Pińior, Andrzej Celiński). Inni jawnie porzucili takie ideały albo próbowali siedzieć okrzakiem na barykadzie (tu najbardziej uderza postawa Jacka Kuronia). Kolejni – jak Jan Olszewski czy Zbigniew Romaszewski – zamiast stać się „lewicą patriotyczno-chrześcijańską”, są z konieczności reprezentantami dość „twardej” prawicy. Kolejni zostali zmarginalizowani mniej (Ryszard Bugaj) lub bardziej (Andrzej Gwiazda). Dla tego Pańskim zdaniem nie zaistniała silna lewica postsolidarnościowa? W efekcie „obrońcami ludzi pracy” są środowiska postkomunistyczne, które 20 lat temu aprobowały wysyłanie czołgów na strajkujących robotników. Z drugiej strony jedyną lewicą są w Polsce elitarne grupki, zajmujące się niemal wyłącznie kwestiami obyczajowymi – prawa mniejszości seksualnych, radykalny feminizm – i niemal całkowicie wyizolowane ze społeczeństwa.

D. O.: Ruchy społeczne pojawiają się cyklicznie; nie podlega kwestii, że moment historii, w którym żyjemy, jest trudny dla lewicy. Socjalizm typu radzieckiego miał drugoczący wpływ na lewicę, przy czym jeden z tych niszczących wpływów jest dość paradoksalny: sprawił, że współcześni lewicowcy są nieufni wobec koncentrowania się na problemach ekonomicznych, istotnych z punktu widzenia ludzi pracy. Robotnicy mają skłonność do konserwatyzmu obyczajowego, ale nie ma powodów, dla których przedstawiciele lewicy, którzy jednoczą się wokół kwestii takich, jak równość szans, nie mieliby jednocześnie poruszać problemów erozji prawa do pracy, marginalizacji związków



foto. ze zbiorów IPN, udostępniona przez Sławomira Cenckiewicz

zawodowych, problemów robotników w czasach globalnego kapitalizmu itp.

Jednocześnie przestrzegalbym przed umniejszaniem znaczenia tego, co nazywa się *kwestiami obyczajowymi*. Niedawny spór z Lechem Kaczyńskim na temat zakazu organizacji parady w obronie praw gejów dotyczył nie tylko ich, ale praw *mniejszości*, co będzie w coraz większym stopniu dotyczyło Polski po jej wstąpieniu do strefy Schengen. Nawet, jeśli nie udaje im się osiągnąć założonych celów, ruchy społeczne współtworzą społeczeństwo, którym się stajemy (to właśnie była jedna z lekcji, jakich udzieliła nam „lewica laicka”, o której była wcześniej mowa – *nota bene* środowisko to było całkiem konsekwentne w obronie praw mniejszości). Ruchy społeczne często mają poczucie izolacji – to jest właśnie jeden z podstawowych problemów, które wiążą się z współtworzeniem ruchu społecznego. W czasach takich, jak obecne, wyzwaniem jest wytrwanie, dostrzeżenie, że nie jesteś w stanie dotrzeć do wielu osób, które w rzeczywistości podzielają twoje poglądy, i nieustawanie w próbach dotarcia do nich.

Napisał Pan jednak kiedyś, że polska lewica zajęła się „modernizowaniem” Polski kosztem interesów szerokich rzesz społecznych. Stwierdził Pan – zgodnie z prawdą – że więcej troski o „zwykłych ludzi” wykazuje np. środowisko „Naszego Dziennika” niż lewica. Ale czy nie jest to problem ogólnosiwiatowy? W krajach Zachodu lewica coraz bardziej ulega „modernizacyjnej” presji neoliberalizmu, a zwykłych ludzi

porzuca jako „niezbyt postępowych”. Slavoj Žižek sugeruje nawet, że „modernizacyjna lewica” de facto wspiera Kapitał, pomagając niszczyć tradycyjne bariery jego ekspansji, a także rezygnując z perspektywy klasowej. Podobnie oceniał ten problem lewicujący komunitarianin, Pański rodak Christopher Lasch.

D. O.: Macie oczywiście rację, że to problem globalny. Sednem sprawy jest to, że lewica zaczęła obawiać się bardziej nacjonalizmu niż kapitalizmu, konserwatyzmu niż globalizacji, ale także to, że wierzą, iż ludzie pracy są szczególnie podatni na poglądy konserwatywne. Ujmując to bardziej zwięźle: lewicowcy obawiają się, że konserwatyzm obyczajowy ludzi pracy zostanie wykorzystany do zakwestionowania zdobyczy w zakresie powszechnych praw człowieka. W rzeczy samej, sukces polskiej prawicy, tak jak i sukcesy Republikanów w Stanach Zjednoczonych, wydają się potwierdzać te obawy. Jednak sedno problemu – i to właśnie podkreślał w swoich znakomitych książkach Christopher Lasch – tkwi w tym, że ludzie mniej zamożni zwracają się ku prawicy nie dlatego, że są „z natury” konserwatywni (mimo wszystko, przez większą część XX wieku uważano za pewnik, że ludzie pracy „naturalnie” ciążą ku lewicy!). Chodzi raczej o to, że zwracają się do niej w poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa w czasach, kiedy system gospodarczy im go nie zapewnia. Istotą rzeczy jest tutaj ekonomia. Moja książka ukazuje proces stopniowego przekształcania „Solidarności” po roku 1989 w ruch coraz bardziej konserwatywny, gdy tylko społeczny lęk przed deklasacją został zlekceważony przez grupę będącą wtedy u władzy (czyli wspomnianą „lewicę laicką”). Kiedy lewica przestaje się przejmować ekonomicznymi warunkami życia szerokich rzesz społeczeństwa, ludzie zwracają się do prawicy, by uzyskać *substytuty* poczucia bezpieczeństwa. Jak przekonuje Thomas Frank w swojej znakomitej najnowszej książce pt. „What’s The Matter With Kansas?” („Co się stało z Kansas?”), właśnie w ten sposób Republikanie zdobyli głosy ludzi pracy w Stanach Zjednoczonych: proponując im „mocne” wartości, religię, emocjonalny urok „wojny ze złem” zamiast pracy i możliwości awansu, niemożliwych do zagwarantowania w zglobalizowanej gospodarce. Sposobem na odzyskanie tych wyborców jest walka o kwestie ekonomiczne, co oznacza walkę z wypowiedaną przez establishment mantrą, że *There Is No Alternative* [„nie ma alternatywy” – slogan autorstwa Margaret Thatcher, dotyczący poparcia dla neoliberalizmu i forsowania rozwiązań wolnorynkowych – przyp. redakcji], co proponują nawet niektórzy spośród amerykańskich Demokratów\*.

I jeszcze jedno: lewica musi się nauczyć, jak nie bać się emocji. Zapewne to był właśnie główny błąd „lewicy laickiej” poczynawszy od połowy lat 80.: opierając się na mylnej interpretacji okresu „pierwszej »Solidarności«” zaczęła ona wierzyć, że każdy wyraz ludowego gniewu musi prowadzić do „populizmu”, i robiła co w jej mocy, by tłamsić spontaniczny społeczny entuzjazm, taki jak strajki i demonstracje. Rzecz jasna stworzyło to korzystne warunki dla prawicy, zawsze gotowej do odwoływania się do emocji, jako że tradycyjnie nie wierzy ona w świat oparty na racjonalności.

Podsumowując: jednym z głównych problemów ze współczesną demokratyczną lewicą jest to, że obawia się ona gniewu ludu. Nie miała nic przeciwko niemu, kiedy była w stanie wykorzystać go przeciwko komunistycznym

dyktaturom (w krajach Wschodu) czy też wypaczeniom rodzimego kapitalizmu (w krajach Zachodu). Jednakże ci wrogowie nie są już dostępni: reżimów komunistycznych już nie ma (przynajmniej w Europie), a krajowi kapitaliści zostali zastąpieni przez globalnych, których rządy państw nie są w stanie kontrolować. Nie jest łatwo organizować się przeciwko globalnemu kapitalizmowi, i duża część lewicy obawia się, że każda z takich prób musi się skończyć ciasnym nacjonalizmem. Tak więc pozwalają prawicy na zagospodarowanie ekonomicznej złości ludzi, kanalizując ją przeciwko imigrantom i „bezbożnikom”. Nie ma łatwej drogi wyjścia z tego dylematu, ale wydaje mi się, że pierwszym krokiem powinno być właściwe rozpoznanie natury problemu. Lewica musi znaleźć nowe sposoby mobilizowania emocji wokół postępowego, naprawdę społeczno-demokratycznego programu. Według mnie, należałoby zacząć od stworzenia nowego dyskursu na temat klas społecznych: odrzucić starą lewicową koncepcję męczyzn pracujących w przemyśle, biorących udział w kolejnych walkach z rządami, przyjmując bardziej pojemną koncepcję, która uwzględnia cechy gospodarki bardziej opartej na usługach, bardziej niż kiedykolwiek sfeminizowanej, gdzie linie frontu przebiegają nie tylko wzdłuż, ale i w poprzek granic państwa narodowego. Ale to już temat na inną rozmowę.

**Na zakończenie chcieliśmy zapytać o dziedzictwo „Solidarności”. Zanim zaczęliśmy rozmowę, stwierdził Pan, że coraz bardziej ma wrażenie, iż „z tamtych lat” zostało nam niewiele. Czy dostrzega Pan jednak choć cień nadziei, że Polska jeszcze może „odświeżyć” ówczesne piękne ideały i doświadczenia?**

D. O.: Dostrzegam. Pierwsze tego oznaki pojawiły się około roku 1999/2000, kiedy pokolenie mające doświadczenia związane z istniejącą wersją kapitalizmu wreszcie wysunęło się na czoło. Jednocześnie był to czas całkowitego skompromitowania się rządu AWS oraz skokowego wzrostu poziomu bezrobocia, co było oznaką pierwszego kryzysu po 1989 r., którego nie dało się wytłumaczyć dziedzictwem komunizmu. Zaczęły się wówczas dziać ciekawe rzeczy. Pierwszy raz od 1989 r. związki zawodowe zaczęły znów się organizować – warte odnotowania są tu próby stworzenia związków w hipermarketach, podejmowane zarówno przez „Solidarność”, jak i OPZZ. Powstały także nowe organizacje i pisma, np. wasz „Obywatel” czy „Krytyka Polityczna”. Nawet „Europa” (dodatek do „Faktu”), choć tworzona przez środowisko dość konserwatywne, zawiera poważniejszą dyskusję na temat lewicowych koncepcji niż można było znaleźć gdziekolwiek w polskiej prasie 10 lat temu. Wszystko to oznacza, że 25 rocznica powstania „Solidarności” może być świętowana w sposób, który stara się przywołać ducha tego ruchu, a nie jedynie włączyć go w obręb ideologii wspierającej nowy *status quo*. A przynajmniej w ten sposób rocznica ta *powinna* być obchodzona...

**Dziękujemy za rozmowę.**

*Lipiec 2005 r.*

# Czym była pierwsza „Solidarność”?

Sekwencja zdarzeń, które doprowadziły do zmiany systemu przedstawiana jest następująco:

- 1976 - organizuje się opozycja.
- 1980 - Wałęsa skacze przez płot, wybucha strajk, organizuje się „Solidarność”.
- 1981 - Jaruzelski ratuje Polskę przed chaosem, anarchią, ekstremą, inwazją.
- 1986 - Gorbaczow daje hasło do zmiany systemu.
- 1989 - organizuje się „Solidarność”. Zgoda narodowa okrągłego stołu zmywa grzechy PZPR. Jaruzelski pierwszym prezydentem III RP, Wałęsa drugim. Wali się mur berliński, NATO, UE.

Nawet w historii tak przykrojonej do potrzeb propagandy widoczny jest brak logiki. Metamorfozę pierwszego sekretarza PZPR w pierwszego prezydenta RP tłumaczy się zmianami na Kremlu. Jaruzelski „broni komunizmu jak niepodległości”, a kiedy udaje mu się opanować sytuację, akceptuje „dziki kapitalizm” i niepodległość. Pierwsza „Solidarność” jest niedobra, bo przedwczesna, niekonstruktywna, rozpolitykowana, dążąca do konfrontacji. Druga „Solidarność” jest dobra, organizuje się we właściwym czasie, jest konstruktywna i nastawiona pokojowo. Pierwszą i drugą „Solidarność” łączy osoba Wałęsy, a dzieli stan wojenny. Na pytanie „o co walczył Jaruzelski z pierwszą »Solidarnością«?” – odpowiedź jest mętna. Odpowiedzi na proste pytania są jeszcze trudniejsze. Np. dlaczego Jaruzelski wydzieliał dzieciom kaszkę mannę?

Sformułujmy hipotezę, która przywraca historii logikę, a komunistom nie odbiera rozumu: System komunistyczny nękanym kryzysami zezwala na koncesjonowaną opozycję, której zadaniem jest kontrolowanie buntów społecznych i amortyzowanie zmian w systemie. Kieruje do opozycji liczną agenturę. Decyzja zapada prawdopodobnie w 1968 roku (Polski Marzec, Praska Wiosna). Strajk w Stoczni Gdańskiej w 1980 r. jest prowokowany, choć trudno powiedzieć, czy chodziło wówczas

**Joanna Duda-Gwiazda  
i Andrzej Gwiazda**

tylko o zmianę ekipy władzy, czy już o zmianę systemu. Prowokację przejmuje niezależna opozycja, sytuacja wymyka się spod kontroli i ruch społeczny staje się niesterowalny.

Równocześnie, na przełomie lat 70. i 80., na Zachodzie Ronald Reagan i Margaret Thatcher inicjują prawicową rewolucję, która przekształca demokratyczny kapitalizm – oparty o umowę społeczną państwa opiekuńczego – w neoliberalizm. Trudno powiedzieć, kiedy na Kremlu, a raczej na Łubiance zapada decyzja o odejściu od doktryny marksistowskiej. Można jedynie dowiedzieć, że w 1982 r. plan zmiany systemu był już realizowany. Np. w liście, który Lech Wałęsa wręczył księdzu Orszulikowi 17 stycznia 1982 r., czytamy: „*Ciosek ze swej strony wypowiedział się, iż może partia będzie zawieszona czy nowa*” (A. Micewski, *Kościół wobec Solidarności i stanu wojennego*, s. 93).

Elity polityczne Wschodu i Zachodu w tym czasie zmierzały już do tego samego, nowego systemu opartego na doktrynie neoliberalnej (bezwzględna prywatyzacja docelowo obejmująca również podatki i wycofanie się państwa z jego funkcji). Podział świata na dwa wrogie bloki dobiegał końca.

Jedyną przeszkodą w realizacji tego celu była „Solidarność”, której idee, zasady i metody działania, sprzeczne zarówno z doktryną marksistowską, jak i neoliberalną, nieoczekiwanie okazały się popularne i zrozumiałe w Polsce i na świecie, zyskały mocne, masowe poparcie. Była to nowa, atrakcyjna dla społeczeństwa propozycja samoorganizacji. Musiała być zniszczona, wykorzeniona, skompromitowana. Polska była kluczowym państwem dla dokonujących się na świecie zmian, choć w innym sensie i z innego powodu niż próbuje to nieudolnie dowieść fałszowana i przykrawana historia.

Odpowiedź na pytanie „czym była pierwsza »Solidarność«?” – ma zasadnicze znaczenie nie tylko dla zrozumienia historii, ale również dla przyszłości społeczeństw szukających dróg ucieczki z pułapki monetaryzmu i neoliberalizmu. „Solidarności” nie da się powtórzyć, ale świadomość, że „inny świat jest możliwy” pozwala zachować nadzieję.

Na pytanie, czym była „Solidarność”, dostajemy różne, często sprzeczne odpowiedzi. Co ciekawe, zaangażowani w „Solidarność” lat 1980-81 nie mieli kłopotu z określeniem tożsamości swojej organizacji. W nieustannych dyskusjach, sporach i uzgodnieniach określano cele bieżące, opracowywano taktykę, szukano metod. Dyskusji nad celem strate-



gicznym nie poświęcano wiele uwagi, nie formułowano go nie tylko ze względu na groźbę inwazji. Cel strategiczny był jasny i oczywisty dla każdego – generalny remont Polski.

„Solidarność” nie była bezmyślnym ruchem roszczeniowym, o co pomawiana jest z prawa i z lewa (SLD tak uparcie nazywana jest lewicą, że trudno to za każdym razem prostować). Od pierwszych dni strajku pułap podwyżek szacowany był tak, aby nie doprowadzić do kryzysu ekonomicznego. Pracodawcą było państwo i doprowadzenie do jego bankructwa, o ile w ogóle możliwe, oznaczałoby wprowadzić zawalenie komunizmu, ale na własną głowę. „Solidarność” była antykomunistyczna, więc pojawiało się pytanie, „czy im gorzej, tym lepiej”, ale zawsze odpowiedzią było – „tym lepiej, im lepiej”. Potem w zakładach pracy i branżach działały sekcje ekonomiczne, które próbowały oszacować bilans kosztów i dochodów, aby określić udział płac i zasadność podwyżek. Wszystko to było bardzo trudne, ponieważ albo brak było wiarygodnych danych, albo były one niedostępne. Wiele zakładów pracowało na potrzeby imperium. Odkryto i opisano mechanizm wyzysku – rubel transferowy.

Z upływem czasu spadało zaufanie do kompetencji władz i rosła wiara we własne siły. W naprawie Rzeczypospolitej władza była trudną do zwalczania przeszkodą, więc gdzie to było możliwe, próbowano ją omijać. Uzgadnianiu i realizacji projektów naprawy sprzyjała terytorialna struktura „Solidarności”, porozumienia w sekcjach zawodowych i branżowych, a także cała plejada organizacji otaczających „Solidarność” – stowarzyszeń twórców i wolnych zawodów, studentów, związków rolników, samorządu pracowniczego. Pojawiły się załączki partii politycznych (liberałowie, komuniści). W PZPR działały tzw. poziomki – porozumienia poziome. Wszystkim „Solidarność” gwarantowała ochronę przed represjami za przekonania.

Kłopoty z klasyfikacją „Solidarności” zaczęły się post factum. Prawie wszyscy zgadzają się, że „Solidarność” była związkiem zawodowym, ruchem społecznym i samorządowym. Patrioci dodają – i zrywem niepodległościowym. Ludzie związani z KOR-em widzą w „Solidarności” realizację hasła Kuronia: „Nie palcie Komitetów, zakładajcie własne”. Inni pamiętają drugą maksymę Kuronia: „Rozpędzonego stada mustangów nie da się powstrzymać. Trzeba wskoczyć na grzbiet, mocno trzymać się grzywy, a kiedy pęd osłabnie, powoli wykręcać”. Może dlatego kręgi warszawskie nazywają czas „Solidarności” karnawałem. Przyjemnie przejechać się na mustangu.

Historyk Antoni Dudek mówi o reglamentowanej rewolucji, ale dotyczy to dopiero lat 1988-90. Radykalni niepodległościowcy Moczulskiego zarzucają „Solidarności” ograniczanie się do „programów kielbasianych”. SLD taktownie milczy, przypomina tylko realia, utopijność żądań i aspiracji ekstremy w kontraście do rozumu i talentu politycznego Wałęsy. Ludzie związani z Kościołem widzą w „Solidarności” odpowiedź na naukę Jana Pawła II i odnowę moralną. Anna Walentynowicz dodaje: Solidarność ludzkich serc.

„Solidarność” była tym wszystkim i może jeszcze czymś więcej. Niemal wszystkie opinie o „Solidarności” zawierają część prawdy (nawet te wyrażnie tendencyjne) choćby dlatego, że „Solidarność” była masowym ruchem demokratycznym, rozwijającym się niezwykle dynamicznie, działającym we wrogim otoczeniu. Utrzymywała kierunek, prowadziła uzgodnioną politykę dzięki godnym podziwu staraniom wielu członków, żeby czegoś nie popsuc. Ludzie przyjeżdżali z drugiego końca Polski do Gdańska tylko po to, aby zapytać: „czy dobrze robimy?”.



Głodówka w obronie Błażeja Wyszowskiego. WZZ Wybrzeża  
fot. ze zbiorów Krzysztofa Wyszowskiego

Fałszywy jest tylko wykluczający charakter niektórych definicji i opinii. „Solidarność” nie mieści się w żadnej szufladce, wymyka się ocenom. Nie pasuje do dychotomicznego obrazu świata lat 80-tych. Nie można jej opisać jako powstania narodowego. Związek zawodowy nie był tylko przynętą dla robotników rzekomo obojętnych wobec sprawy niepodległości. Związek zawodowy był autentycznym celem, działał realnie, nie pozornie. Próba opisu w kategoriach marksistowskich daje tak karykaturalny obraz „Solidarności”, że trudno ją rozpoznać.

Nie jest też prawdą, że „Solidarność” chciała kapitalizmu, a już na pewno nie chciała „dzikiego kapitalizmu” z jego początków i ery kolonialnej, ani neoliberalizmu, tej odmiany kapitalizmu, w którą ewoluował system w latach 80. i 90. Załogi miały silne poczucie własności i odpowiedzialności za swoje zakłady. Polacy widzieli, że ich majątek jest źle zarządzany i chcieli to zmienić. Ich praca, często ciężka, brudna i źle opłacana, służyła systemowi, a nie społeczeństwu. Marnowany był wysiłek ludzi, surowce, energia, zanieczyszczane było środowisko. Jednak, gdyby ktoś wtedy im powiedział, że walczą o to, aby te zakłady sprzedać partyjnym bonzom i zagranicznym koncernom po cenie złomu, zniszczyć i zamknąć, byłiby oburzeni. Prywatyzacja nie była celem „Solidarności”. Natomiast powszechnie akceptowane było żądanie równych praw dla wszystkich przedsiębiorstw bez względu na formę własności. Oczywiście dawało to zielone światło prywatnej inicjatywie. Natomiast prywatyzacja uzasadniana ideologicznie wyższością własności prywatnej nad własnością państwową byłaby sprzeczna z najważniejszą zasadą „Solidarności”: *Żadna doktryna ideologiczna nie będzie dominować nad gospodarką. Jedynym celem gospodarki jest zaspokajanie potrzeb społeczeństwa.*

Ludzie mieli dość ideologii nie tylko w gospodarce. Nie dążyli do utopijnej jedności, wystarczyła im solidarność. Chcieli kierować się racjonalnością, sprawiedliwością, własnym interesem, ale z uwzględnieniem interesów innych.

Jedynym pozytywnym doświadczeniem historycznym, do którego mogli odwołać się Polacy, był okres dwudziestolecia międzywojennego. Ludzie pamiętali błędy i wady II RP, trudne początki, bezrobocie, analfabetyzm, zacofanie wsi, ale mieli nadzieję, że jeśli wybijemy się na niepodległość, wszystko zrobimy lepiej. III RP, gdyby była budowana przez pierwszą „Solidarność”, nie mogłaby zerwać

z tą tradycją II RP, którą ludzie pamiętali i cenili – np. gęsta sieć państwowych kolei, ulgi dla młodzieży i nauczycieli, rozwój bezpłatnej państwowej edukacji, wzorowe przedsiębiorstwa prywatne (np. Cegielskiego), aktywna polityka gospodarcza państwa, budowa Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, wykupywanie przedsiębiorstw z rąk obcego kapitału. Przypuszczanie, że celem „Solidarności” była dominacja międzynarodowych koncernów nad polską gospodarką, osłabianie państwa i ograniczanie jego roli – jest absurdem.

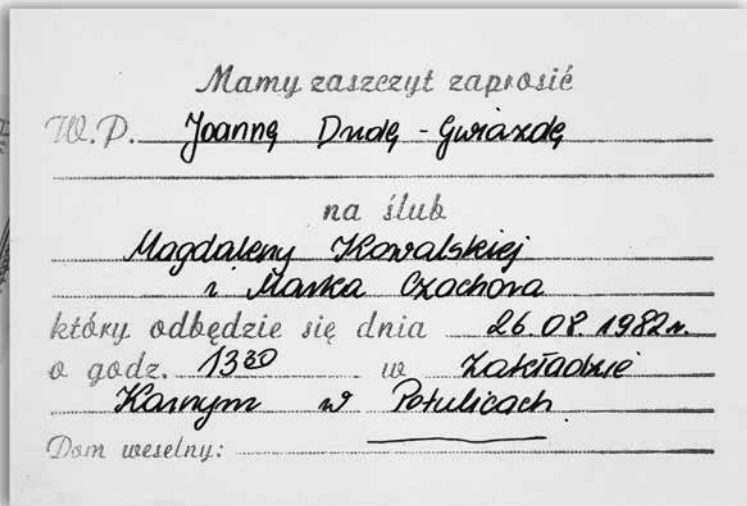
Równie fałszywe jest przypisywanie „Solidarności” hasła „socjalizm [czytaj: komunizm] tak, wypaczenia nie”. To hasło partyjnych reformatorów PRL oznaczało wówczas wmontowanie „Solidarności” w system i nikt nie ośmieliłby się głosić go publicznie, nawet Wałęsa, choć podobno potem do tego się przyznawał. „Solidarność” domagała się respektowania zasady wolności wyznania i swobody działania Kościoła. Członkowie „Solidarności” niekiedy demonstracyjnie podkreślali przywiązanie do religii i tradycji, ale „Solidarność” nie była klerykalna, jak obecnie czasami się twierdzi. Np. na zebraniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej uczestnicy z szacunkiem wysłuchali opinii biskupa o szkodliwości strajku, nie polemizowali, a po wyjściu biskupa jednogłośnie proklamowali strajk. Aż do stanu wojennego, mimo nacisków ze strony Kościoła, „Solidarność” nie zajęła stanowiska w sprawie prawnego uregulowania problemu aborcji. Uznano, że rozstrzygnięcie tej kwestii nie leży w kompetencji Związku, a wprowadzenie tego tematu na forum organizacji zablokuje działalność i utrudni osiągnięcie konsensusu w innych sprawach.

„Solidarność” nie była antysemicka czy ksenofobiczna. Była patriotyczna, nie nacjonalistyczna. Posłanie do narodów Europy Środkowo-Wschodniej było kontynuacją polskiej tradycji „Za wolność naszą i waszą”.

Naszym zdaniem, „Solidarność” była pierwszym masowym, zorganizowanym ruchem antyglobalistycznym, choć oczywiście wówczas nie wiedzieliśmy o tym. Trudno dzisiaj powiedzieć, jak przebiegałaby transformacja ustroju pod kontrolą pierwszej „Solidarności”. Jednego tylko możemy być pewni – determinizm historyczny był „Solidarności” całkowicie obcy. Hasło „Nie ma alternatywy dla planu Balcerowicza”, zostałoby po prostu wyśmiane.

Joanna Duda-Gwiazda i Andrzej Gwiazda

z archiwum J. i A. Gwiazdów



# 25 -lecie

## „Solidarności”

### Czyje to święto?

Bez wahania odpowiadam: „Nasze”. Święto tych 10 milionów ludzi, którzy w ciągu zaledwie kilku miesięcy zdołali stworzyć NSZZ „Solidarność” – ruch społeczny, który stał się zarzewiem przemian nie tylko w Polsce, ale w całym bloku komunistycznym. Kiedy 1 września 1980 r., dzięki presji Gwiazdów, Ani Walentynowicz, Bogdana Borusewicz, Aliny Pienkowskiej i Heni Krzywonos wychodziłem z więzienia, czułem, co to znaczy solidarność. Jechałem Nowym Światem autobusem, a przed nami jechała milicja, która zamykała pochód KPN, aby umożliwić mu bezkolizyjne złożenie kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza. Był to już kraj inny niż ten, w którym mnie aresztowano. Dla tych, którzy tego nie przeżyli, brzmi to jak slogan, ale po 31 sierpnia ludzie stali się w Polsce po prostu na co dzień solidarni, uzyskali potężną broń w walce z totalitarnym reżimem.

Nie wszystkie rocznice są radosne. Są rocznice wręcz tragiczne. 1 sierpnia tłumy warszawiaków udają się na cmentarz wojskowy, by oddać hołd poległym w Powstaniu Warszawskim. Nie towarzyszy temu jednak poczucie martyrologii, gdyż 1 sierpnia 1944 r. warszawiacy poczuli się wolni i solidarni. Niezależnie od zmieniających się historycznych ocen, rocznica ta pozostawała i pozostanie świętem pamięci o poległych, ale również świętem wolności i solidarności Narodu.

Dla nas los był o wiele łaskawszy. Żyjemy. To, o co walczyliśmy, właściwie otrzymaliśmy. Niepodległość, wolne wybory, wolność słowa, zrzeszeń, zgromadzeń, względne bezpieczeństwo ze strony wschodniego sąsiada, to wszystko, o czym marzyliśmy, a nawet więcej niż ośmielaliśmy się w 1980 r. artykułować. To prawda, nie potrafiśmy wywalczonych wolności wykorzystać do budowy sprawiedliwego i solidarnego społeczeństwa, ale jak dotychczas nie udało się to nikomu. Wielka idea Jana Pawła II, by budować świat oparty na solidarności, jest bardzo trudna i będzie jeszcze wiele lat czekała na realizację, ale alternatywą dla niej jest tylko kolejny kataklizm.

Dziś, kiedy beneficjenci przemian szykują się do obchodów radosnego dla nich święta, trzeba pamiętać o tych, którzy tamtą „Solidarność” budowali i których obciążono wszystkimi kosztami transformacji. Należy się buntować przeciwko niesprawiedliwości, ale nie należy zapominać o drodze, którą przeszliśmy, bo może być ona dla nas źródłem otuchy i nadziei.

### Czym była „Solidarność” i co się z nią stało?

„Solidarność” była wielkim ruchem społecznym, mającym na celu rewindykację podstawowych praw i wolności obywatelskich. Prawa te to wolność słowa, wolność zrzeszeń, prawo do niezawisłych sądów, ale także prawo do prawdy historycznej i niezależnej kultury, konstytuujących tożsamość narodową. Fakt, że ruch ten przybrał formę związku zawodowego, odegrał niezwykle istotną rolę w budowaniu jego powszechności i sprowadzaniu na ziemię, dość w końcu abstrakcyjnie brzmiących, idei praw i wolności obywatelskich.

### Zbigniew Romaszewski

Sądzę, że powstanie ruchu w formie związku zawodowego stanowiło zaskoczenie dla większości uczestników środowiska opozycyjnego z okresu przed sierpniem 1980 roku. Dziś dosyć łatwo odpowiedzieć, że za ruchem związkowym przemawiała możliwość działania w zakładach pracy i docierania do wielkich skupisk ludzkich, przemawiała efektywność narzędzi protestu (strajk, masowa demonstracja), przemawiała również szerokość edukacji obywatelskiej opartej o przełożone na język codzienności prawa człowieka. Dziś jest to proste, ale wcale nie było takie proste przed Sierpniem. Zarówno środowiska KOR-owskie, jak i te związane z ROPCiO dążyły do rozszerzenia aktywności społecznej i tworzenia niezależnych inicjatyw w różnych kręgach, a ich formuła była bardzo różnorodna. Działalność prowadzona na różnych frontach budowała świadomość obywatelską, ale nie przesądzała o tym, w jakim kierunku rozwinie się masowy ruch społeczny. Wolne Związki Zawodowe funkcjonowały nie tylko na Wybrzeżu, ale również na Śląsku i o ile te pierwsze są autentycznymi rodzicami „Solidarności”, to te drugie w budowaniu ruchu zawodowego na Śląsku nie odegrały praktycznie żadnej roli. Czy więc formuła związkowa „Solidarności” była czystym przypadkiem? Na pewno nie, ale zdecydowały o niej tak liczne i trudne do uchwycenia czynniki, że nawet w lipcu, po wybuchu strajków na Lubelszczyźnie, nikt nie wyobrażał sobie takiego obrotu sprawy.

W tych warunkach „Solidarność” była bardzo dziwnym związkiem zawodowym, który budował więzi społeczne nie tylko na poziomie zawodów, branż czy zakładów pracy, ale również na poziomie różnych środowisk i pomiędzy nimi tworzył strukturę organizacyjną społeczeństwa polskiego. „Solidarność” nie była również ruchem politycznym, gdyż przemiany, które postulowała, nie tworzyły spójnej wizji przyszłego państwa polskiego. Nie mogła mieć takich ambicji, ponieważ jej członkowie reprezentowali bardzo szeroki wachlarz poglądów lub pozostawali apolityczni. Rodziło to ostre spory polityczne, ale jeżeli oprzeć się na uchwałach I Walnego Zjazdu Delegatów (WZD), to obraz „Solidarności” rysuje się bardzo pozytywnie, jako ruchu odpowiedzialnego, zdolnego osiągać wewnętrzny konsensus, skłonnego do ograniczania swoich roszczeń, dostosowywania ich do istniejących wówczas warunków geopolitycznych.

Reasumując: „Solidarność” zbudowała wewnątrz społeczeństwa polskiego pewien etos – system więzi opartych na patriotyzmie i szacunku dla tradycyjnych wartości, głoszonych w nauczaniu Kościoła katolickiego w Polsce. Przyznawał on wysokie miejsce w hierarchii wartości dobru wspólnemu, przeciwstawiając je partykularnym interesom. „Solidarność” była ruchem egalitarnym, ale zachowującym szacunek dla profesjonalizmu, a zwłaszcza dla tych, którzy w imię wspólnych interesów byli w stanie wyrzec się korzyści wynikających z ich statusu społecznego. Ruch był wręcz obsesyjnie jawny i wewnętrznie demokratyczny. Mechanizmy te działały na tyle silnie, że skutecznie hamowały autokratyczne zapędy Przewodniczącego.

## Dlaczego „Solidarność” mogła powstać w Polsce w 1980 r.?

Niewątpliwie głównym sprawcą konsolidacji społeczeństwa w gigantyczny ruch było „Nie lękajcie się” Jana Pawła II. Milionowe tłumy, które ciągnęły na spotkanie z Papieżem, uświadomiły sobie, że ci, którzy podobnie myślą, stanowią przyniatającą większość narodu. Wzmocniło to ich wiarę w słuszność wyznawanych poglądów. Jednocześnie osłabiło morale tych, którzy stali po stronie władzy. Postawiło pytanie o słuszność dokonanego wyboru. Pytanie o to, czy ich konformistyczna zgoda na PRL jest słuszna wobec siły moralnej tkwiącej w polskim społeczeństwie.

Nie sposób również pominąć roli, jaką w formowaniu się ruchu odegrała powstała w latach 70. kadra działaczy opozycyjnych. W roku 1980 opozycja w Polsce dysponowała 2-5 tys. działaczy. Ich poziom i stopień zaangażowania był różny, ale niezwykle pozytywnym faktem przy budowie ruchu okazała się ich aktywność społeczna, umiejętności (np. drukarskie), a przede wszystkim rozciągająca się już wtedy na całą Polskę sieć kontaktów. Akcja pomocowa organizowana przez KOR na rzecz robotników represjonowanych po wydarzeniach 1976 r. w Radomiu i Ursusie przełamała bariery dzielące środowiska inteligentne od robotniczych i stała się symbolem ogólnospołecznej solidarności.

## Dlaczego wprowadzono stan wojenny?

Mimo, iż obawa przed interwencją sowiecką stanowiła jedną z istotnych przesłanek strategii NSZZ „Solidarność”, to dziś w świetle dokumentów Biura Politycznego KPZR, a także późniejszych wydarzeń możemy twierdzić, że takie rozwiązanie nie było prawdopodobne. Zaangażowany militarnie w Afganistanie i objęty kryzysem Związek Radziecki nie mógł pozwolić sobie na krwawą awanturę w środku Europy. Niezależnie od różnych form „braterskiego” szantażu ze strony ZSRR, ówczesni przywódcy PRL powinni byli zdawać sobie z tego sprawę i przypuszczać, że zdawali.

Nie jest też prawdziwe jedno z popularnych twierdzeń mających usprawiedliwić stan wojenny – jakoby „Solidarność” destabilizowała gospodarkę kraju. Przysłowiowy „ocet na półkach” to konsekwencja przygotowywania rezerw na okres stanu wojennego. Jeżeli na podstawie komunikatów o stopniu zasilania energetycznego kraju prześledzić zapotrzebowanie na energię elektryczną, to okaże się, że w latach 1980-1981 nie odbiegało ono od poprzednich. Kraj produkował jak dotychczas i dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego zapotrzebowanie to drastycznie spada. Produkcja ustala. W kraju trwał nieproklamowany strajk i dopiero jesienią 1982 r. parametry zapotrzebowania energetycznego powróciły do poprzednich wartości.

Rzeczywistym powodem zaangażowania się w stan wojenny była systematyczna utrata przez partijną nomenklaturę kontroli nad zakładami pracy. Dalsze dzieje wykazały jednoznacznie, że nomenklatura nie była zbyt przywiązana do wartości socjalistycznych i dość łatwo pogodziła się z prywatną własnością środków produkcji, życzyła sobie jednak, aby pozostały one w jej rękach, a tego nie dawało się uzyskać spoza zakładów pracy. Nasilające się tendencje do wyprowadzenia organizacji partyjnych poza zakłady pracy, stanowiły śmiertelne zagrożenie dla

jej struktur. Towarzysze doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że pozbawieni możliwości ekonomicznego szantażu wobec załóg nie mieliby żadnych argumentów wobec społeczeństwa i ich partia traciła rację bytu.

## Kiedy „Solidarność” zagubiła wewnętrzny demokratyzm?

Można powiedzieć, że autokratyczne tendencje Lecha Wałęsy dawały się odczuć już na I Walnym Zjeździe Delegatów, ale to nie one zadecydowały o odejściu od procedur demokratycznych. Zadecydowały o tym konieczności wynikłe z wprowadzenia stanu wojennego. Demokracja nie jest wartością uniwersalną, słuszną bezwzględnie zawsze i wszędzie. Nie będę pisał o zaletach demokracji, bo są one oczywiste, trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że procedury demokratyczne są żmudne, czasochłonne i utrudniając podejmowanie decyzji, nie dają się stosować w warunkach walki.

Tak więc po wprowadzeniu stanu wojennego, jedynym racjonalnym sposobem organizowania oporu było skupienie się wokół „sztandaru”. Tym osobowym sztandarem był Lech Wałęsa. Wokół tego „sztandaru”, w jego najbliższym otoczeniu, zaczęły kształtować się elity „Solidarności” podziemnej. Elity te wzięły na siebie ciężar i odpowiedzialność za negocjacje z komunistyczną władzą i organizację kontraktowych wyborów. Oczywiście Okrągły Stół był niedemokratyczny, podobnie jak wyłanianie kandydatów „Solidarności” w wyborach 1989 roku. O ile jednak poszczególne decyzje i uzgodnienia zarówno Okrągłego Stołu, jak i rządu Tadeusza Mazowieckiego można osądzać bardzo krytycznie, to trudno krytkować brak demokratyzmu w samych procedurach, bo innych możliwości nie było. Procedury te zresztą zostały *ex post* zaakceptowane przez społeczeństwo w wyborach 4 czerwca 1989 r., czego dowodem był wybór 99 na 100 senatorów oraz wszystkich posłów z listy „Solidarności”.

Problemem okazała się zdrada elit, które porzuciły etos solidarnościowy. Zaufanie do nich jednak trwało. Fakt, że 30-procentowy spadek płacy realnej nie powodował protestów i zamieszek przez całe 2 lata, może świadczyć o tym, jak wielkie nadzieje wiązało społeczeństwo z rządami „Solidarności” – i jak wielki przeżyło zawód. Zaangażowane w rozgrywkę polityczną elity przekazały gospodarkę w ręce komunistycznej nomenklatury, a problem odbudowy związku „Solidarność” zepchnęły na margines.

## Co stało się z „Solidarnością”?

Myślę, że odpowiedź jest prosta. Po katastrofie 2001 r., spowodowanej autoryzowaniem przez Związek kontynuacji neoliberalnych rządów przez gabinet Jerzego Buzka, „Solidarność” stała się jednym ze związków zawodowych przeżywających kryzys charakterystyczny dla ruchu związkowego ery globalizacji.

Przyczyn takiego rozwoju sytuacji było oczywiście wiele i każdy inaczej ustala ich hierarchię. Ja chciałbym wspomnieć o kilku. Najważniejszą z nich wydaje mi się brak kultury politycznej społeczeństwa. 45-letnie rządy komunistów zlikwidowały w naszym kraju najistotniejszy nawyk niezbędny w społeczeństwie demokratycznym – przyzwyczajenie do kontrolowania władzy. Został on zastąpiony z początku bezkrytycznym zaufaniem, a następnie totalną, bezrefleksyjną krytyką wszelkich jej poczynań. Skutkiem tego był systematyczny spadek aktywności obywatelskiej na rzecz wszechogarniającej kontestacji i apatii.



Opór społeczeństwa wobec zalewu komunistycznej propagandy spowodował idealizowanie zarówno tradycji II Rzeczypospolitej, jak i kapitalizmu jako systemu społeczno-gospodarczego, rzekomo pozbawionego wad i problemów. Stłumienie wszelkich inicjatyw indywidualnych przez komunizm oraz lansowanie dobra wspólnego jako najwyższej niekwestionowanej wartości doprowadziło do groźnej eksplozji indywidualizmu oraz lekceważenia interesów i związków wspólnotowych. Wykreowano liberalizm darwinowski, likwidując obowiązek międzyludzkiej solidarności na rzecz dobroczynności pełnej hipokryzji.

Zniszczenie tak dużego i spójnego ruchu jakim była „Solidarność” odbywało się w oparciu o poszczególne ustawy, rozporządzenia i decyzje kolejnych rządów. Tutaj chciałbym powiedzieć o trzech posunięciach szczególnie szkodliwych dla budowaniu demokratycznego państwa.

Pierwsze to pozostawienie banków w rękach komunistycznych. Hiperinflacja 1989 r. na poziomie 50-70% miesięcznie oraz utrzymywanie stałego oprocentowania kredytów bankowych w wysokości 8% doprowadziły do tego, że ci, którzy uzyskiwali kredyty jesienią 1989 r., musieli je zwrócić przed 1 stycznia 1990 r. jedynie w wysokości 1/3 realnej należności. Pozwoliło to na wykreowanie nowej klasy kapitalistów z grona nomenklatury i jej akolitów.

Drugą plagą, która zrywała więzy solidarności i sprzyjała przejmowaniu gospodarki przez postkomunistów, była wprowadzona przez Balcerowicza ustawa o podatku od wynagrodzeń ponadnormatywnych, tzw. „popiwek”. W państwowych zakładach pracy każda złotówka powyższej dla załogi skutkowałą koniecznością odprowadzenia do skarbu państwa 4 zł. Nomenklaturowi dyrektorzy znaleźli na to sposób. W warunkach liberalizującej się gospodarki utworzyli spółki prawa handlowego, które przejmowały produkcję zakładów państwowych i wykonując ją w oparciu o pracowników oraz sprzęt tych zakładów mogli wypłacać pracownikom godziwe wynagrodzenie. Wobec takich działań silna wówczas „Solidarność” była bezradna, załogi były korumpowane, a przedsiębiorstwa państwowe obrastały girlandami pasożytniczych spółek. Pogłębiało to nieefektywność przedsiębiorstw państwowych i promowało złodziejską koncepcję, że są one nic nie warte i można je oddać byle komu za symboliczną złotówkę. Wobec konieczności zaspokojenia doraźnych interesów poszczególnych załóg, Związek nie miał możliwości skutecznego i solidarnego przeciwstawienia się rozkradaniu majątku narodowego i uległ demoralizacji.

Ostateczne przełamanie solidarności nastąpiło w wyniku tzw. „grubej kreski”. Ustalała ona, że kat i ofiara są dla nowobudowanego państwa tak samo cenni, a wyrządzone przez człowieka dobro lub zło nie stanowi o jego wartości. Zniszczyło to morale i odpowiedzialność społeczeństwa. O ile specjalne emerytury dla funkcjonariuszy aparatu przemocy i „sprawiedliwości” zostały utrzymane, to ostrej krytyce i potępieniu poddano „tradycje i roszczeniowość styropianu”. Efekt jest taki, że o ile generałowie, sędziowie czy prokuratorzy, bezwzględnie tłumiący dążenia społeczeństwa do wolności, korzystają z wysokich, wielotyśięcznych emerytur, to ci, którzy wywalczyli wolną Polskę muszą się zadowolić kilkuset złotymi. Tak pękła „Solidarność” i taki jest jej stan po 25 latach.

Zbigniew Romaszewski



Proces podziemnego Radia Solidarność. Na ławie oskarżonych Zofia i Zbigniew Romaszewscy. Fot. archiwum Z. i Z. Romaszewskich

## Dziękujemy, nie skorzystamy

- oświadczenie Zofii Romaszewskiej  
i senatora Zbigniewa Romaszewskiego

W dniach 29, 30 i 31 sierpnia w Warszawie i Gdańsku odbędzie się Międzynarodowa Konferencja z okazji 25-lecia „Solidarności”. Uczestniczyć w niej będą znakomici przedstawiciele międzynarodowego świata politycznego i goście zaproszeni z Polski. Przewodniczącymi poszczególnych sesji są: prof. B. Geremek, prof. J. Buzek, T. Mazowiecki, Jan K. Bielecki, dr J. Onyszkiewicz, E. Smolar, A. Hall. Honorowymi uczestnikami konferencji są L. Wałęsa, A. Kwaśniewski oraz przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Durao Barroso. Goście zostaną zakwaterowani w Warszawie w hotelu Victoria, a do Gdańska w dniu 31 sierpnia zostaną przewiezieni wycarterowanymi samolotami. Na konferencję zostali zaproszeni m.in. Zofia i Zbigniew Romaszewscy. Do organizatorów konferencji przestali list wyjaśniający powód odmowy uczestnictwa w tej wielkiej imprezie.

Oto jego treść:

Bardzo dziękujemy za pamięć i zaproszenie, jednakże z niego nie skorzystamy. Niewątpliwie jest to promocja Polski, ale obraz, który się z niej wyłania jest całkowicie nieadekwatny do tego, czym była „Solidarność” roku 1980 i do rzeczywistości naszego kraju. Konferencja sprawia wrażenie święta beneficjentów przemian, my również do nich należymy, ale obchody 25-lecia Sierpnia wyobrażaliśmy sobie zupełnie inaczej. „Solidarność” to był jednak wielki ruch społeczny, którego beneficjentami stały się nieliczne elity, ogromna większość naszych kolegów, którzy byli internowani, więzieni, którym złamano kariery zawodowe, nie odnalazła się w świecie brutalnego neoliberalizmu organizującego dzisiaj życie społeczno-polityczne i gospodarcze naszego kraju. Walczyli wszak o co innego. Dziś pozostają bez pracy albo na kilkusetzłotowych emeryturach i nawet nie stać ich na uczestniczenie w jakichkolwiek obchodach. Niedostrzeżenie tego problemu w programie Konferencji stanowi sprzeniewierzenie się temu co niesie ze sobą słowo SOLIDARNOŚĆ.

W tej sytuacji przeznaczanie tak ogromnych środków na obchody rocznicy przez elity obraża pamięć tej „Solidarności”, którą tworzyliście 25 lat temu w zupełnie innym składzie.

Zofia i Zbigniew Romaszewscy

7 lipca 2005 r.



# Wierność i zdrada

**Wiesława Kwiatkowska**

W przeddzień wprowadzenia stanu wojennego, w Zarządzie Regionu fotografowaliśmy z Romanem Labą (Amerykanin, wykładowca socjologii) moją książkę o Grudniu '70, a ściślej tę część, którą udało mi się napisać. Przeczytał ją tego dnia u mnie w domu, a dowiedziawszy się, że nie mam kopii, zawiózł mnie do Gdańska i właśnie to nadrabialiśmy. Był wieczór, w budynku ledwie kilka osób, fotografowanie trwało długo i Roman powiedział, przedrzeźniając ówczesne doniesienia prasowe: „Do ostatniej chwili w gdańskim Zarządzie Regionu knuli amerykański szpieg i solidarnościowa ekstremistka”. Potem, już w kryminale, zastanawiałam się, dlaczego mnie to wtedy rozśmieszyło. Pewnie z tej samej przyczyny, dla której śmialiśmy się z piosenki „Wejdą, nie wejdą”. Żyliśmy na wulkanie, mieliśmy tego świadomość, a mimo to byliśmy szczęśliwi. I dumni, bo znaleźliśmy sposób przeciwstawienia się wrogowi, bez strzałów i zabijania. Mnie się wtedy wydawało, że wystarczy ujawnić prawdę, a nawrócą się nawet ludzie wysługujący się Kremlowi.

Gdzieś w połowie roku 1981 zwróciłam się do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku o dostęp do ich materiałów archiwalnych z grudnia 1970 roku. Sformułowałam pismo, podpisał je kierownik naszego zespołu Janusz Krupski i poszłam na Okopową. Człowiek w dyżurce na dźwięk słowa „Solidarność” natychmiast chwycił słuchawkę, zadzwonił wyżej, przybiegł jakiś inny facet, obejrzał mnie, a ja z uciechą przyglądałam się zamieszaniu, jakie to słowo wywołało. Facet, który mnie oglądał, wrócił i zaprowadził do pani major (chciałam rozmawiać z komendantem, ale powiedziano, że to niemożliwe). Pani major twarz miała ściągniętą, była zimna i oficjalna. Podałam jej pismo – przeczytała i powiedziała z rozluźnioną twarzą: jakie ładne pismo. Zbaraniałam. Było najzwyczajniejsze, zwykła prośba o dostęp do archiwum. Pani major opowiedziała mi, że mają własną kronikę z tamtego okresu, że wiele milicyjnych rodzin wtedy ucierpiało – wyraziłam chęć zapoznania się z tymi materiałami, ona na to, że musi przedyskutować z szefem itd. Była to już normalna rozmowa i w jej trakcie zrozumiałam, że milicjantka tak była nasączona propagandą o krwiożerczym stosunku „Solidarności” do MO, że w piśmie szukała obelg i kategorycznych żądań, dlatego tak ją zdziwiło zawarte w nim słowo „proszę”. Do następnego spotkania nie doszło, nie było też odpowiedzi w sprawie archiwum.

Gdy przy innej okazji rozmawiałam o Grudniu '70 z pewnym esbekiem, powiedział, że nasze domaganie się prawdy to zwykła obłuda, bo gdybyśmy naprawdę jej chcieli, napisaliby-

śmy, że zginęło wtedy wielu milicjantów. – Dlaczego nikogo z nich nie ma na tablicy przy pomniku? – spytał z goryczą. – Owszem, jest – odpowiedziałam – Marian Zamroczyński, zomowiec, wasi szefowie twierdzą, że więcej ofiar wśród milicjantów nie było. – No nie wiem – mruknął, a ja czując, że zachwiała się w nim wiara w prawdomówność szefów spytałam, z jakiej to racji na tablicy poświęconej poległym stoczniovcóm miałby być milicjant? On jednak nie podjął tego tematu.

Właśnie takie rozmowy, a było ich mnóstwo, kazały mi uwierzyć, że wystarczy ujawnić prawdę, a system sam się rozleci. Potwierdzała to także walka tocząca się na łamach gazet, z której jasno wynikało, jak bardzo komuniści boją się jej ujawnienia. I to nie jakichś tam przestępstw gospodarczych popełnianych przez wysoko stojących funkcjonariuszy państwowych, tylko prawdy o tym, że wszyscy oni są na usługach Kremla. Czy ten oczywisty fakt był dla kogoś w Polsce tajemnicą? Ani trochę, ale panujący strach kazał udawać, że jest inaczej, skupiać się na istniejących drobnych elementach suwerenności, traktować rządzących tak, jakby reprezentowali naród. Ten strach powodował np., że unikano rozmów o Katyniu. Gdy przed Sierpniem rozmawiałam z ludźmi na ten temat, mówili, że to chyba jednak zrobili Niemcy, zresztą no cóż, takie rzeczy się na świecie zdarzają, wojna to wojna. Po Sierpniu ci sami ludzie doskonale wiedzieli, kto popełnił ten mord i głośno domagali się sprawiedliwości. Wokół zbierała burza, z Kremla dochodziły grzmoty, a my czuliśmy rozpierającą serca radość wolności. I takiej wspólnoty, że dzielenie się jedzeniem, a nawet pieniędzmi, było rzeczą oczywistą.

Stało się wtedy coś jeszcze ważniejszego. W przeddzień stanu wojennego przyjechał do mnie z Nysy pewien mężczyzna, by z powodu zbliżającej się rocznicy Grudnia '70 zrobić artykuł do tamtejszej gazetki. Reprezentował tzw. ruch poziomy wewnątrz PZPR i chciał towarzyszący przybliżyć to, co się na Wybrzeżu wtedy działo. Spytałam, czy się nie boi tak jawnie występować przeciw partyjnemu betonowi. Odpowiedział, że się boi, ale ojciec był w AK, a on ma kilkuletniego syna i gdy zapyta go po latach: a gdzie ty wtedy był, tato – nie będzie się wstydził odpowiedzi. W ciągu paru miesięcy stracił znaczenie wykręt tak świetnie podchwytany przez Mariana Żałuckiego: „Mówią, że Pałac Kultury to szpeci, a ja nie, mnie się podoba, ja mam żonę i dzieci”. Wróciło poczucie honoru i odpowiedzialności.

Ów młody mężczyzna tłukł się pociągami kilkanaście godzin tylko po to, by napisać prawdę, bo – jak wyjaśnił – faceci, którzy w 1970 r. byli w wojsku, opowiadają jakieś bzdu-

ry. Wiem, co mogli opowiadać. Pracownik gdyńskiej stoczni, Adam Gotner, w grudniu 1970 r. trafiony został serią sześciu kul. Wieziony do szpitala odzyskał przytomność w momencie, gdy drzwi nyski, w której leżał z innymi rannymi, otworzył wymachujący pistoletem i ryczący coś po niemiecku podporucznik. Adam przeżył cudem (oraz dzięki wspaniałej postawie i umiejętnościom gdyńskich lekarzy), ale choć minęło 35 lat, przeżycie to jest dla niego nadal najsilniejsze. Nie to, że żołnierze do niego strzelali, był wtedy świeżo po wojsku i nawet ich w pewien sposób rozumiał, tylko to, że podporucznik ryczał po niemiecku. Jak silna musiała być w wojsku propaganda, skoro ten żołnierz uwierzył, że jedzie na Wybrzeże stłumić bunt podniesiony przez niemieckich autochtonów wspieranych przez CIA. To od wtedy zastanawiam się nad Wojciechem Jaruzelskim, który w 1970 r. był ministrem obrony narodowej, a wcześniej przez kilka lat naczelnym politrukiem. Bo w tej postaci kupiają się wszystkie komunistyczne kłamstwa.

Prawda jest prosta, nie wymaga objaśnień ani interpretacji. Każdy wie, że obowiązkiem żołnierza jest obrona ojczyzny i że należy mu się za to szacunek. Zapisane to jest nawet w naszym języku: ten, kto służy tylko za żołd, nazywany jest pogardliwie żołdakiem. Żołnierz musi być wierny – dlatego dezercja jest surowo karana, a jeśli przeszedł na stronę wroga, jest zdrajcą, renegatem. To są oczywistości zrozumiałe nawet dla tępaków. Jaruzelski przeszedł na stronę wroga, z nadania wroga został dowódcą polskich żołnierzy i wpajał im obowiązek służenia obcemu państwu gnębiącemu ich ojczyznę. Mimo to wielu ludzi uważa go za polskiego oficera.

Oficer to w polskiej tradycji osoba godna uznania, reprezentująca polskie poczucie honoru. „*Bóg mi powierzył honor Polaków i Jemu go tylko oddam*” – wołał książę Józef Poniatowski skacząc do Elstery. „*Wiemy, że sporo z nas zginie – lecz cóż z tego – nie ma po co żyć, jeśli nie ma Tej – dla Niej robimy wszystko, nie dla sławy, tylu a tylu zestrzeleń, nie dla Francuzów czy dla Anglików, ale dla Niej*” – pisał w 1940 r. kronikarz Dywizjonu 303 Mirosław Ferić. Tak samo rozumiał żołnierski honor Romuald Traugutt, który służył w armii carskiej, ale gdy tylko zaświtała szansa walki o Polskę, stanął na czele powstania styczniowego. Jaruzelski postąpił dokładnie odwrotnie: gdy zaświtała szansa walki o Polskę, wypowiedział wojnę własnemu narodowi. No to jak to się dzieje, że niektórzy Polacy nazywają go żołnierzem, generałem i do tego jeszcze patriotą?

Zaczęto go tak nazywać po roku 1989, wcześniej nikomu to nie przychodziło do głowy. Komunistom nie – bo patriotyzm zamienili na internacjonalizm, niekomuniści o patriotyzmie mówić się bali. Dopiero wtedy, gdy ludzie uważający się za przywódców „Solidarności” na powrót oddali władzę komunistom, w dodatku czyniąc Jaruzelskiego „pierwszym prezydentem wolnej Polski”, nastąpiło załamanie. Moje też, ja również zaczęłam myśleć, że skoro nawet autor książki „*Z dziejów honoru w Polsce*”, Adam Michnik, uważał to za najlepsze wyjście, widocznie nie rozumiem polityki, nie dorosłam.

„*Obserwowałem uważnie to, co się działo w Polsce po 13 grudnia* – pisał Gustaw Herling-Grudziński – *i twierdzę, że wprowadzenie stanu wojennego ma do dziś potworne konsekwencje. Jest źródłem strasznego schorzenia życia społecznego, życia zrzeszonego w Polsce przed 13 grudnia, a następnie, w konsekwencji skutków stanu wojennego, życia systematycznie psutego, rozkładanego, nawet gnijącego. Wiem doskonale, że istnieją dziś w Polsce obrońcy tego »mniejszego zła« i są wśród nich nawet ludzie wywodzący się z »Solidarności«. Pod tym względem stan wojenny generała Jaruzelskiego zakończył się na pewno sukcesem. Mówiąc zwięźle: Jaruzelski nauczył ludzi akceptacji »zła«,*

*nazwanego chytrze mniejszym i rozłożył życie ludzi zrzeszonych wokół idei, która odnowiła »Solidarność« – po prostu zniszczył ją. Zniszczył Cud »Solidarności. I to jest ta wiekopomna zasługa generała Jaruzelskiego. Dzisiaj oczywiście są też i tacy, którzy bronią decyzji wprowadzenia stanu wojennego. Rzecz w tym, że jedynie powtarzają słowa Jaruzelskiego*”.

Nazywanie Jaruzelskiego patriotą to właśnie skutek tego schorzenia. Schorzenia tak głębokiego, że niekwestionowany przywódca „Solidarności”, Lech Wałęsa prosi Jaruzelskiego o wydanie mu świadectwa moralności.

Zdanie „niekwestionowany przywódca »Solidarności«” jest w oczywisty sposób fałszywe, mimo to posługują się nim nawet uczciwi ludzie. A jako argument podają, że Wałęsa znany jest na całym świecie, więc w interesie Polski leży podtrzymywanie tego mitu. – To prawda, że Wałęsa to krętacz, prostak i współpracownik SB, ale w interesie Polski leży wmańwanie świata, że to on jest symbolem „Solidarności” – mówią i biegną do kościoła modlić się, by świat w to kłamstwo uwierzył. Tylko co to znaczy „świat”? Rządy państw wiedzą, co ogół Polaków myśli o Wałęsie, wystarczy spojrzeć na sondaże, a mają przecież i własny wywiad i artykuły w swoich gazetach. Kogo więc chcemy oszukać? I dlaczego narzędziem polityki międzynarodowej Polski katolickiej ma być kłamstwo?

W „Alfabecie Kisiela” na pytanie o Andrzeja Gwiazdę, Stefan Kisielewski odpowiedział, że osobiście go nie zna, wie tylko, że jest to człowiek, którego boi się Wałęsa. Boją się Gwiazdy także działacze „Solidarności” przygotowujący obchody 25 rocznicy, choć nie ma on dywizji. Jest sumieniem „Solidarności”, mówi nagą prawdę, więc lepiej go o zdanie nie pytać. I największe media rozmów z nim unikają. Bo świat ma wierzyć, że pierwsza i druga „Solidarność” to ten sam związek, choć druga powołana została po to, by zniszczyć pierwszą (wystarczy poczytać statuty obu tych związków, by to wyraźnie zobaczyć).

Ale już zdrowiejemy. Duchem „Solidarności” powiało w Warszawie podczas rocznicy Powstania Warszawskiego, a cała Polska namacalnie go poczuła podczas pogrzebu Jana Pawła II. Duch, który zstąpił odnowić oblicze tej ziemi, działa. Dowody rekonwalescencji zobaczymy wtedy, gdy gazety nie będą się bały rozmów z Gwiazdą, a politycy rzeczowej z nim polemiki.

Gdy zaś chodzi o Jaruzelskiego, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że naznaczony został czymś w rodzaju piętna Kaina. No bo popatrzmy: daty stanu wojennego i Grudnia '70 to kalki: 12/13 grudnia 1970 – 12/13 grudnia 1981. Ciało doradcze dyktatora nosiło skrót WRON – wrona to gapa, gapa była na hitlerowskich czapkach, dlatego na murach natychmiast pojawiły się napisy „wrona skona”. W dodatku dyktator nosił czarne okulary, lud nazwał go więc „Ślepowronem”, ani wiedząc, że to jego herb rodowy.

**Wiesława Kwiatkowska**

P.S. 3 lutego 1982 r. została skazana na pięć lat więzienia i trzy lata pozbawienia praw publicznych. Sąd uznał, że jestem tak bardzo niebezpieczna, że należy mnie na długo odizolować od otoczenia. W uzasadnieniu wyjaśnił, że zrobił tak dlatego, bo „w okresie od 13.12.1981 do 19.12.1981 zbierała materiały faktograficzne dot. wypadków na Wybrzeżu Gdańskim w 1970 r.”. W więzieniu dotarła do mnie wiadomość, że wznowiła działalność komisja KC PZPR powołana w 1981 r. przez Jaruzelskiego do zbadania kryzysów PRL. Komisją kierował Hieronim Kubiak, zwana więc była „komisją Kubiaka”. W Gdańsku zaś zajęli się tą sprawą towarzysze partyjni powołani przez dowódcę Marynarki Wojennej adm. Ludwika Janczyszyńskiego, członka WRON. Po dziesięciu latach dowiedziałam się, że to on kazał komisarzowi wojennemu sędziemu Andrzejowi Grzybowskiemu „przywalić” naszej grupie wysokie wyroki (Ewa Kubasiewicz – 10 lat, Jurek Kowalczyk – 9 lat, ja – 5 lat).

# Solidarność: za nami czy przed nami?

**Bernard Margueritte**

Nigdy nie zapomnę tamtych dni i nocy spędzonych w strajkujących stoczniach. To były szczególne momenty w mojej działalności zawodowej, ale i w życiu.

Przez ponad dwa tygodnie żyłem w stoczniach, spałem tam – co prawda nie na styropianie, lecz na łóżku polowym, które robotnicy oddali do mojej dyspozycji – ale właściwie nie spałem, bo dyskusje ze stoczniovcami toczyły się prawie non stop. I była to także lekcja pokory. Myślałem wówczas, że znam już Polskę i byłem przekonany, że polska klasa robotnicza była raczej apolityczna, nie bardzo się znała na sprawach świata, a tu miałem najciekawsze rozmowy, jakie kiedykolwiek toczyłem w życiu, ze wspaniałymi, inteligentnymi i świadomymi młodymi ludźmi!

Na początku było nas tylko trójka korespondentów zagranicznych: Renata Marsch z DPA, Chris Bobinski z „Financial Times” i ja. Dopiero kilka dni później pojawiły się całe ekipy z prasy światowej. My w pierwszych dniach nie mieliśmy jeszcze nawet kart prasowych, rozdawanych później, lecz jedynie stempel na przyciętym kartoniku. To nie było łatwe działanie dziennikarskie. Połączenia telefoniczne między Gdańskiem a światem były zablokowane. Musiałem więc dzień po dniu pędzić rano do Warszawy, napisać artykuł i wysłać go do Francji, aby natychmiast wracać jak szybko tylko można do Gdańska. Ale nie czuło się zmęczenia. Byłem przekonany, że jestem świadkiem nowego początku, nie tylko dla Polski, ale dla świata całego, nowego, zupełnie innego podejścia do spraw gospodarki i polityki, które wreszcie miały być oparte na szacunku dla godności człowieka!

15 sierpnia byłem w Częstochowie, aby wysłuchać kazania Prymasa Wyszyńskiego, który wspierał robotników nawołując jednocześnie do roztropności. Następnego dnia mój pierwszy faktyczny kontakt z rzeczywistością w stoczniach nastąpił przed drzwiami słynnej sali BHP. Tam ostro klócili się Lech Wałęsa z Andrzejem Gwiazdą. Wałęsa już ogłosił zakończenie strajku. Gwiazda był wściekły, chciał oczywiście kontynuować akcję. Krzyczeli na siebie. Na szczęście w tym momencie przyjechały delegacje z innych zakładów Wybrzeża, informując o tym, że zaczęły strajki solidarnościowe. Wałęsa zrozumiał i zmienił zdanie.

Było fantastycznie obserwować jak żądania się zmieniały, stały się coraz poważniejsze, mądrzejsze, głębsze. Na początku było żądanie przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz. Jej wyrzucenie było ewidentną prowokacją. Decyzja była powzięta podczas nieobecności dyrektora Gniecha przez kogoś z działu kadr. Jest rzeczą fascynującą, że wydarzenia, które zmieniły świat były na początku prowokacją ubecko-partyjną. Zresztą wszystkie niepokoje społeczne w Polsce komunistycznej, i w 1970, i w 1956, i w innych przypadkach, były zainicjowane prowokacjami, oczywiście padającymi na bardzo podatny grunt. Po prostu aparat partyjny nie miał innego, demokratycznego sposobu pozbycia się rządzącego przywódcy. Tak było też w 1980 r., gdy fala strajków zaczęła się w zakładach przemysłu wojskowego w Świdniku, pod ostrą kontrolą partii i SB.

Tak samo było na Wybrzeżu. Niełatwo o tym mówić i każdy tego unika. „Solidarnościowcy” nie chcą dopuścić do świadomości, że wydarzenia, które zmieniły świat zaczęły się dziać, choćby częściowo, w efekcie ubeckiej prowokacji; z drugiej strony postkomuniści nie chcą się do niej przyznawać. Faktem jest jednak, że istniała wówczas faktyczna zbieżność interesów między Wałęsą (który utożsamiał się z protestem robotniczym) a częścią aparatu SB i partii. Ci ostatni chcieli się pozbyć Gierka i myśleli, że akcja stoczniovców do tego doprowadzi. I doprowadziła. Nie liczyli się tylko z tym, co potem nastąpiło. Tak jak wiele lat później Gorbaczow się przeliczył zgadzając się na upadek Paktu Warszawskiego i samego Związku Radzieckiego, iluzorycznie myśląc, że to jedyny sposób na ratowanie istotnej części komunistycznej władzy.

A więc pierwszym żądaniem stoczniovców było przywrócenie do pracy pani Anny. Potem domagano się wzrostu płac, o 1000 a później o 2000 złotych, następnie postulat zalegalizowania niezależnych związków zawodowych, później słynne 21 postulatów, z wołaniem o uczciwość mediów na trzecim miejscu. Od żądania związane go z konkretną sprawą przeszli najpierw do postulatów ekonomicznych, później do politycznych (wolne związki), a wreszcie było wołanie o nową cywilizację człowieka. Stoczniovcy nie byli nawet przeciwko socjalizmowi, byli zupełnie obok, gdzie indziej. Oni jako pierwsi, a może jedyni, intuicyjnie pojmowali naukę Jana Pawła II. Była pełna osmoza między nimi a papieżem. Doprowadzili do rewolucji, nie tylko nie wybijając żadnej szyby, ale modląc się na kolanach i z Matką Boską na kłapie i w sercu!

Robotnicy z Gdańska czuli, że dokonują „dzieła boskiego”. Dlatego więc, jak nawoływał Ojciec Święty, nie bali się, nie znali już strachu. Wydawało się, że nie mają najmniejszych szans, że Polska jest rządzona przez partię komunistyczną, jest częścią Paktu Warszawskiego i że tak pozostanie. A oni domagali się Polski, gdzie zatriumfują wartości chrześcijańskie, gdzie nauka społeczna papieża stanie się faktem. Działali według zasady wyrażanej przez niemieckiego pisarza Hermana Hessego: „jeżeli chcesz osiągnąć to, co możliwe musisz dążyć do niemożliwego”. Dążyli i osiągnęli, nawet jeżeli na krótko.

Właściwie – i mówię o tym z bólem – sprawa zaczęła się psuć już 23 sierpnia, wraz z przyjazdem „ekspertów”, intelektualistów warszawskich. Nie dlatego, że nie byli ludźmi godnymi szacunku i że nie chcieli dobrze. Ale myśleli już utartymi schematami, do których przywykli wiele lat temu. Nie mieli tej świeżości myślenia stoczniovców, nie mogli jak oni intuicyjnie wyczuć sensu przekazu papieskiego. Od momentu, kiedy wzięli rzeczy w swoje ręce, sprawy zaczęły wracać jakby do „normy”, na utarte szlaki, niezwykłość wy-



buchu robotników zaczęła gasnąć. Poza tym, jak uczciwie opisała to Jadwiga Staniszkis, negocjacje zaczęły się toczyć wówczas już między „kolegami”, którymi byli eksperci z obu stron, rządowej i strajkującej. To był już przedsmak późniejszych negocjacji Okrągłego Stołu. Świeżość i niezwykłość akcji robotniczej została więc bardzo szybko jeżeli nie zdradzona, to przynajmniej zagubiona.

Mimo to program pierwszego zjazdu „Solidarności” w 1981 r. był jeszcze oryginalny i pryncypialny. Zgadzam się, ale tylko częściowo, z oceną Jana Skórzyńskiego, który pisze („Rzeczpospolita” z 30-31 lipca 2005 r.), że Samorządna Rzeczpospolita, o którą w tamtym programie chodziło, „miała wiele wspólnego z socjalistycznymi utopiami, znacznie mniej z modelem wolnorynkowej, zachodniej demokracji”. I tak, i nie. Tak mogli sądzić „doradcy”, myślący tradycyjnie, ale nie robotnicy. Jasne, że nie chcieli kapitalizmu zachodniego, ale na dobrą sprawę o socjalizmie właściwie przestali myśleć.

**Pamiętam szokującą rozmowę,  
którą przeprowadziłem w 1991 r.  
z ważną osobistością z Europy Zachodniej.  
Człowiek ten bez zażenowania powiedział  
mi już wtedy: „Czas aby Polacy skończyli  
z tą »Solidarnością«! Wspieraliśmy ten ruch,  
bo to była skuteczna broń w walce z komunizmem,  
ale bądźmy poważni, to nie ma już racji bytu!”.  
Właściwie – i chyba słusznie –  
Zachód był tak samo przerażony  
ideałami Sierpnia, jak komuniści...**

Byli już w pełnej osmozie z Janem Pawłem, który pisał w encyklice „Sollicitudo rei socialis”, że społeczna nauka Kościoła „jest krytyczna zarówno wobec kapitalizmu, jak i wobec kolektywizmu marksistowskiego. Rozpatrując bowiem rzecz z punktu widzenia rozwoju, trudno nie postawić pytania, jak i na ile oba systemy są zdolne do przemian i odnowy, tak aby ułatwić lub popierać prawdziwy i integralny rozwój człowieka i ludów we współczesnym świecie”. Tak jak papież napisze później („Centesimus Annus”), wyczuli już, że „nie do przyjęcia jest twierdzenie, jakoby po klęsce socjalizmu realnego, kapitalizm pozostał jedynym modelem organizacji gospodarczej”, zwłaszcza, że „niedostatki kapitalizmu w dziedzinie humanitarnej, prowadzącej do dominacji rzeczy nad ludźmi, bynajmniej nie zanikły”. W rzeczy samej, robotnicy od samego początku wiedzieli, w odróżnieniu od swoich doradców, że należy w ogóle przestać myśleć kategoriami typu „socjalizm – kapitalizm”, że należy wreszcie myśleć i działać na innej płaszczyźnie, gdzie alfą i omegą, początkiem i końcem, musi być po prostu dążenie do szacunku dla godności osoby ludzkiej, co wymaga i afirmacji zasad moralnych, i sprawiedliwości społecznej (co ludzie małej wiary i rozumu nazywają tendencjami raz „lewicowymi” a drugi „prawicowymi”). Jak pisał Jan Paweł II w „Sollicitudo rei socialis”: „nauka społeczna Kościoła nie jest jakąś »trzecią drogą« między liberalnym kapitalizmem i marksistowskim kolektywizmem, ani jakąś możliwą alternatywą innych, nie tak radykalnie przeciwstawnych wobec siebie rozwiązań: stanowi ona kategorię niezależną”.

Do takiego świata człowieka dążyli ludzie Sierpnia. Co mieliśmy potem? Wiadomo: stan wojenny, ponure lata i Okrągły Stół. Moment przełomowy, ale niejednoznaczny.

Kompromis (a w każdym kompromisie jest trochę kompromitacji) między „Solidarnością” a komunizmem. Dramatem jest, że na pewno nie było innej drogi do demokracji, a jednocześnie ta droga nosiła w sobie wszelkie załączki przyszłych ułomności i upadków. Niestety demokracja przyszła do Polski nie wtedy, gdy o to walczyła, ale kiedy „Solidarność” była mocno osłabiona. Nie była w żadnym wypadku zwycięstwem opozycji (nie warto utrzymywać na ten temat fałszywej legendy), lecz „podarunkiem” skończonego i wykończonego systemu, który wręcz implodował.

„Solidarność” zwyciężyła nie odniósłszy zwycięstwa. Pozwoliła postkomunistom kontrolować (jak mamy dziś) 2/3 nowego biznesu i połowę administracji. Robak był od początku w jabłku. Z drugiej jednak strony Polska otrzymała 15 lat imponującego rozwoju i stała się uznaną demokracją, ważnym krajem Unii Europejskiej. Skok przełomowy, którego znaczenia i wartości nikt nie kwestionuje. A jednak!

A jednak niewiele zostało z ideałów Sierpnia. I stało się tak przy walnym udziale Zachodu. Pamiętam szokującą rozmowę, którą przeprowadziłem w 1991 r. z ważną osobistością z Europy Zachodniej. Człowiek ten bez zażenowania powiedział mi już wtedy: „Czas aby Polacy skończyli z tą »Solidarnością«! Wspieraliśmy ten ruch, bo to była skuteczna broń w walce z komunizmem, ale bądźmy poważni, to nie ma już racji bytu!”. Właściwie – i chyba słusznie – Zachód był tak samo przerażony ideałami Sierpnia, jak komuniści...

Zamiast gospodarki i polityki opartej na szacunku dla godności człowieka mieliśmy i mamy więc cywilizację konsumeryzmu, materializmu, hedonizmu i zagubienia. Mamy postęp materialny, ale coraz większe nierówności społeczne. Mamy 15% zamożnych i połowę rodzin żyjących poniżej minimum socjalnego. Mamy plagę 20% bezrobocia. Mamy najlepsze fabryki sprzedane potentatom z Zachodu, mamy banki i media pod kontrolą kapitału zagranicznego. Mamy wszechogarniającą korupcję. Czy tego chcieli wspinali stoczniovcy Gdańska i Szczecina?

Ale czy to już koniec? Przemawiając w Sejmie w 1999 r., Ojciec Święty podkreślił, że owszem należy „podziękować Bogu za zmiany, które nastąpiły w Polsce /.../ w imieniu wolności i solidarności”, ale zaraz dodał: „zasady moralne tych walk [o wolność] muszą NADAL inspirować życie polityczne, tak aby demokracja została ugruntowana na mocnych wartościach moralnych, jak rodzina, życie ludzkie, praca, oświata, troska o najsłabszych”. Papież w tym samym przemówieniu powiedział też, że pamięć o etosie „Solidarności”, „winna DZIŚ oddziaływać w większym stopniu na jakość polskiego życia zbiorowego, na styl uprawiania polityki czy jakiegokolwiek działalności publicznej”. A więc program mamy. I to program na przyszłość! „Solidarność” bowiem nie jest za nami. Jest przed nami!

Nie wątpię, że tak samo jak ongiś „Solidarność” rozprawiła się z nieludzkim materializmem komunistycznym, tak samo „Solidarność” jutro rozprawi się z nieludzkim materializmem neoliberalnym. Ta walka nas czeka.

Polska przecież wyznaczyła nowe drogi rozwoju dla całego świata, i poprzez ideały Sierpnia, i poprzez naukę Jana Pawła II, obie nierozzerwalnie połączone. Czas aby na nowo Polska stała się Polską, czyli przykładem i inspiracją dla świata, świata, który coraz bardziej odczuwa potrzebę, głód cywilizacji człowieka, cywilizacji solidarności, cywilizacji miłości. Utopia? Tak, ale nie bardziej niż utopią była walka stoczniovców pewnego upalnego sierpnia 25 lat temu.

**Bernard Margueritte**

# Wielki ruch, mierni przywódcy

Wojciech Turek

Z perspektywy 25 lat wyraźnie widać, że „Solidarność” nie miała szczęścia do przywódców. Można posłużyć się obrazowym przykładem statku, którego ster dzierżyli ludzie nie mający pojęcia o zasadach żeglugi, a na dodatek wcale nie troszczący się o to, by statek dopłynął do celu oczekiwanego przez załogę i pasażerów. „Solidarność” była wielkim ruchem, któremu zabrakło wielkiej myśli.

Spontanicznie ukształtowany na fali strajków sierpniowych, dziesięciomilionowy związek był wielkim narodowym zrywem, wyrazem odrodzenia moralnego, kondensacją ogromnej i rzadko spotykanej w dziejach energii obywatelskiej. Niestety, rozwój programowy „Solidarność” zatrzymał się na poziomie pierwiastkowych 21 postulatów oraz utopijnych koncepcji samorządowych. Z tego względu, w miarę upływu czasu pogłębiał się rozdźwięk między potocznym obrazem ruchu, wyrażającego aspiracje milionów Polaków, a dynamicznie zmieniającą się rzeczywistością. Ostateczne pęknięcie nastąpiło w latach 1988-1989, kiedy – paradoksalnie – pogrzebane zostały idee „Solidarność”, choć ludzie stojący na czele Związku znaleźli się na szczytach władzy. Odtąd mamy do czynienia z wielką mistyfikacją polegającą na tym, że przywódcy prawicy dążą do objęcia władzy i do zrealizowania obcego większości społeczeństwa projektu liberalnego, ale oba te cele mniej lub bardziej starannie ukrywają pod hasłami wspólnotowymi, „reformatorskimi” i antykomunistycznymi.

Chcę wyraźnie zaznaczyć, że zdecydowanie pozytywnie oceniam pierwszą „Solidarność” z lat 1980-1981. Był to, zdaniem prof. Zdzisława Krasnodębskiego, wolnościowy ruch republikański, uznający prymat więzi narodowej nad podziałem na władzę i społeczeństwo. Z kolei Roman Baecker podkreśla dwie cechy ówczesnej „Solidarność”: prymat moralności nad polityką oraz demokratyzm. Bez wątpienia, wielomilionowy ruch był zjawiskiem różnorodnym i złożonym. Występowały w nim niekiedy tendencje sprzeczne ze sobą. Jednakże pewne cechy były dominujące i one stanowiły o istocie tego ruchu. „Solidarność” wyznawała zasadę solidaryzmu społecznego, a zatem myślenia i działania w kategoriach wspólnotowych. „Solidarność” była ruchem patriotycznym i obywatelskim, a dopiero na drugim planie – demokratycznym. „Solidarność” była ruchem kierującym się zasadami rozważań i odpowiedzialności, poszanowania praw człowieka i wolności twórczej. Największą słabością ówczesnego ruchu był brak koncepcji gospodarczych. Utopijne idee „Rzeczypospolitej samorządnej” prowadziły donikąd.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, elity wywodzące się z „Solidarność” i aspirujące obecnie do rządzenia państwem, porzuciły dawniej wyznawane poglądy i wartości. Najpierw przejęły wzorce liberalizmu gospodarczego, utożsamiając „reformy” z operacjami finansowymi na wielką skalę, a następnie zaczęły kierować się zasadami materializmu i pragmatyzmu w dziedzinie politycznej.

Pierwsze pęknięcie miało miejsce już jesienią 1981 roku. W tym momencie nastąpiło przewartościowanie stosunku

do władzy, którą uznano za najważniejszego przeciwnika. Po wprowadzeniu stanu wojennego, antykomunizm stał się prymarnym wyznacznikiem linii politycznej, usuwając na drugi plan poczucie więzi narodowej. Uznanie władzy za wroga prowadziło do odejścia od fundamentów pierwiastkowej „Solidarność”, dążącej do pojednania narodowego, do zgody pomiędzy wszystkimi Polakami. „Posłanie do narodów Europy Wschodniej”, uchwalone na I zjeździe „Solidarność”, w ówczesnych warunkach oznaczało zerwanie z zasadą rozważań i odpowiedzialności. Radykalizm rozmiął się z realiami i nosił znamiona niebezpiecznego awanturnictwa. W przeddzień wprowadzenia stanu wojennego, Jacek Kuroń lansował koncepcję stworzenia „Rządu Tymczasowego”.

Nie mam najmniejszego zamiaru usprawiedliwiać czy wybielać poczynań ówczesnego rządu komunistycznego. Tragedia „stanu wojennego” polegała na tym, że obie strony konfliktu popełniały rażące błędy i wykazały się małością, jeśli nie „karłowatością” polityczną. Charakterystyczne jest to, że broniąc się przed krytycznymi osądami, obecnie obie strony gotowe są nawet do przezwyciężenia wzajemnych urazów i wzajemnego wspierania się, czego symbolicznym przykładem była tegoroczna rozmowa telewizyjna Lecha Wałęsy z Wojciechem Jaruzelskim, podczas której legendarny przywódca Związku usiłował uzyskać od generała Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego... „świadczenie moralności”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego, reżim wojsko-milicyjny zdławił wielomilionowy ruch obywatelski. Zepchnięta do podziemia „Solidarność” była już tylko szkieletem dawnego ruchu. Przez 7 lat działaczom „Solidarność”, „Pozostawało trwanie, uparte dążenie do zachowania tożsamości, do przechowania rudymenarnych elementów podmiotowości społecznej, czekanie na lepsze czasy, być może ad calendas Graecas” (Roman Baecker). W sprzyjających okolicznościach 1988 r. przystąpiono do odgórnej rekonstrukcji ruchu. Jednak wykreowana pod szyldem „Solidarność” elita, która sięgnęła w 1989 r. po władzę, niemal całkowicie odeszła od idei wyartykułowanych w Sierpniu '80. Zdaniem Zdzisława Krasnodębskiego, projekt III Rzeczypospolitej nie nawiązywał już do idei „Solidarność” i myśli dawnej opozycji politycznej. Elita wywodząca się z dawnej „Solidarność” przejęła jako swoją, koncepcję liberalizmu gospodarczego, realizowaną już przez rządzących komunistów, o czym świadczy wprowadzona w 1988 r. przez Mieczysława Rakowskiego ustawa o wolności gospodarowania. Sejm, w którym większość mieli członkowie PZPR, uchwalił pakiet reform Leszka Balcerowicza. Począwszy od 1989 r. związek zawodowy „Solidarność” popierał i firmował rządy realizujące program liberalny. Dość powiedzieć, że za rządów Akcji Wyborczej Solidarność nastąpiła gigantyczna, największa w historii III RP wyprzedaż państwowych przedsiębiorstw.

Zanim przystąpię do generalnej charakterystyki systemu zbudowanego 25 lat po Sierpniu, chcę podkreślić, że

dzięki sprzyjającym okolicznościom geopolitycznym, Polacy zyskali niepodległość oraz możliwość zaprowadzenia ustroju demokratycznego. Niezależnie od tego, czyja to zasługa, odejście od modelu komunistycznej gospodarki sterowanej, było bezwzględną koniecznością. Nawet zastąpienie marksizmu *quasi*-religią liberalną było zmianą na lepsze.

Pisałem już w innym miejscu, że dzisiejszy światopogląd liberalny nosi w sobie wiele cech świeckiej religii. Religie głoszą objawione i niepodważalne prawdy. W dzisiejszej Polsce każdy, kto ośmieli się skrytykować *guru*, czyli Balcerowicza, podlega atakowi i potępieniu jako heretyk, a każdy, kto nie wykazuje odpowiednio „pobożnej” postawy względem liberalizmu jest „socjalistą”, jak niedawno oświadczył Donald Tusk, lider Platformy Obywatelskiej. W Polsce po 1989 r. miejsce „Solidarnościowej” wspólnoty zastąpiła „liberalna” jednostka, miejsce „Solidarnościowej” samorządności – „liberalne” „reguły rynku”, a „Solidarnościową” podmiotowość społeczną „niewidzialna ręka rynku”, wprawiana w ruch przez „odgórną politykę rządu”. W konsekwencji, jak trafnie pisze Jerzy Mikołowski-Pomorski: *„Polacy zaczęli dbać o swoje jednostkowe, rodzinne czy klasowe interesy, przypisanie stało się ważniejsze od osiągnięć, zaś dążenie do przyspieszonego bogactwa wniosło zjawisko korupcji na większą skalę”*. Reasumując, III Rzeczpospolita jest państwem pod wieloma względami lepszym od PRL, ale nie jest państwem zbudowanym w oparciu o idee pierwszej „Solidarności”.

**Pokusa szybkiej kariery, zmęczenie statusem obywateli drugiej kategorii, rozmaite uwikłania: oto podglebie, na którym wyrosli dzisiejsi liberałowie i „wybitni” – we własnym mniemaniu – przywódcy. „Solidarność” została spacyfikowana. Najpierw autentyczną tożsamość „Solidarności” zastąpiono tożsamością narzuconą. Potem nastąpiło „wkomponowanie” działaczy opozycyjnych w skład elity rządzącej.**

Zapewne inne rozwiązanie nie było możliwe. „Solidarność” wyłoniła grono przywódcze spośród ludzi skażonych komunizmem i PRL-em. Byli to ludzie o często szlachetnych intencjach, ale nie potrafiący się poruszać w skomplikowanej sferze polityki, nie mający odpowiedniego hartu ducha, by sprostać trudnym wyzwaniom lat 80. i 90. Po siedmiu latach posuchy, ludziom tym niejako podarowano władzę „na talerzu”, bo tylko oni mogli zagwarantować pokojowy charakter transformacji ustrojowo-gospodarczej. Pokusa szybkiej kariery, zmęczenie statusem obywateli drugiej kategorii, rozmaite uwikłania: oto podglebie, na którym wyrosli dzisiejsi liberałowie i „wybitni” – we własnym mniemaniu – przywódcy. „Solidarność” została spacyfikowana. Najpierw autentyczną tożsamość „Solidarności” zastąpiono tożsamością narzuconą. Potem nastąpiło „wkomponowanie” działaczy opozycyjnych w skład elity rządzącej.

Uważam, że można bronić poglądu, iż ze zrozumiałych względów w latach 90. nie było alternatywy dla rządów elit wywodzących się na przemian z PZPR lub z „Solidarności”. Natomiast zdumienie budzi fakt, iż ludzie, którzy stanęli na czele „Solidarności” w 1980 roku, wciąż – po upływie 25 lat – pozostają prominentnymi postaciami polskiego życia publicznego. Z upływem lat coraz rzadziej wspominają

o ideach Sierpnia i o milionach osób współtworzących ówczesną „Solidarność”, natomiast coraz częściej eksponują dokonania własne oraz kilku swoich kolegów. Każda władza potrzebuje legitymizacji. Ludzie obecnej prawicy posługują się szyldem „Solidarności”, choć w praktyce głoszą poglądy mające niewiele wspólnego z ówczesnym ruchem.

Rozmiary owej gigantycznej mistyfikacji powiększają się z każdym rokiem. Rządy Akcji Wyborczej Solidarność miały być antidotum na bratający się z komunistami rząd Tadeusza Mazowieckiego, oskarżany o korupcję rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego, nieudolny rząd Jana Olszewskiego, mgławicowy rząd Hanny Suchockiej, nie mówiąc już o rządach koalicji SLD-PSL w latach 1993-1997. W praktyce rząd Jerzego Buzka zrealizował najczarniejszy scenariusz, jeśli chodzi o skalę nieudolności (nieudane „reformy”), korupcję, brak wizji politycznej. Ten rząd – firmowany przez „Solidarność” – kontynuował liberalną politykę poprzednich rządów prawicowych, ale jednocześnie otaczał opieką machinę biurokratyczną. Dzisiejszy liberalizm polega bowiem na walce z ideą solidarności społecznej i redystrybucji dóbr, ale wcale nie jest walką z biurokratycznym państwem. Biurokratyczne państwo, gąszcz przepisów, skomplikowane i zmieniające się jak w kalejdoskopie procedury, tworzą labirynt, po którym sprawnie poruszają się jedynie wybrani, mający dostęp do władzy i transferujący pieniądze publiczne do prywatnych kieszeni. Wielkie fortuny i wielkie kariery w Polsce powstają przeważnie na styku polityki z gospodarką. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że związek „Solidarność” oraz ZChN dość skutecznie stępiały ostrze liberalnej polityki, choć w żaden sposób nie umniejszały skali korupcji i psucia państwa.

Pod koniec kadencji politycy, którzy odgrywali znaczącą rolę w AWS, dokonali jeszcze większej mistyfikacji, opuszczając Akcję i tworząc nową partię polityczną, Platformę Obywatelską. Dzięki temu udało im się uniknąć poniesienia politycznej odpowiedzialności za lata rządów AWS; obecnie aspirują oni do objęcia władzy w Polsce. W odróżnieniu jednak od wcześniejszych wyborów, tym razem z otwartą przyłbicą głoszą hasła liberalne, nawet nie zamydlając ich koncepcjami „masowej i powszechnej prywatyzacji”. Ich liberalizm wyraża się pragmatyzmem aż „do bólu”. Na koniec zadajmy jeszcze pytanie, dlaczego Platforma przyjęła do swego grona osoby jednoznacznie kojarzone z AWS, np. Jerzego Buzka czy Marka Biernackiego. Albo osoby te, pełniąc wcześniej funkcje rządowe, były sympatykami liberalizmu, czyli mówiąc wprost: wprowadzały w błąd opinię publiczną i wyborców, albo też osoby te gotowe są zmieniać swe poglądy, byle tylko utrzymać się „na fali”. Obie odpowiedzi bardzo źle świadczą o Platformie Obywatelskiej: albo jest to partia, której zwolennicy (*vide*: Buzek i Biernacki) odgrywali w AWS dominującą rolę, albo też jest to partia, w której nie traktuje się poważnie przywiązania do poglądów politycznych.

Wkrótce po jesiennych wyborach, 25 lat od Sierpnia władzę w Polsce najprawdopodobniej obejmą liberałowie „z krwi i kości”. Nie zabraknie w ich gronie licznych przywódców „Solidarności”. Inni historyczni przywódcy Związku i prawicy dołączą do nich jako partia współrządząca. W ten sposób dotychczasowa elita utrzyma swą pozycję. Nie ulegną zmianie mechanizmy funkcjonowania systemu. Partie będą partiami tylko z nazwy, bo w rzeczywistości są bezprogramowymi i pozbawionymi dalekosiężnych wizji komitetami wyborczymi. Jak długo jeszcze?

Wojciech Turek

# KONIEC MITU?

**„Solidarność” była nadzieją na trzecią drogę między etatyzmem Wschodu a kapitalizmem Zachodu. Stała się jednak parawanem dla operacji uwłaszczenia nomenklatury, a dziś, gdy wszystko się już dokonało, jest zbędna nawet jako dekoracja w spektaklu władz. W razie problemów ze społeczeństwem zawsze można wyciągnąć islamskiego terrorystę i udawać, że nie wiemy skąd się wziął.**

A skąd wzięła się „Solidarność”? Według oficjalnej wersji, robotnicy zrobili strajk zakończony powstaniem „Solidarności” pod wpływem agitacji KOR itp. czy wiadomości o protestach w kraju z Radia Wolna Europa. Z kolei Kościół twierdzi, że „Solidarność” powstała pod wpływem wyboru papieża-Polaka i jego pielgrzymki do kraju. Inni mówią, że była to prowokacja władz, a ściślej tej część, która chciała pozbyć się Gierka i zająć jego miejsce, a nawet zmienić system (uwłaszczyć nomenklaturę) i potrzebowała „protestu społecznego” w walce o wpływy, licząc na to, że tak jak w ’56 i ’70 wkrótce wszystko wróci do (nowej) „normy”.

Gdy idzie o inspirację poza-systemową, trzeba jednak spytać, dlaczego nie działało to w innych częściach kraju, szczególnie tam, gdzie sięgał wpływ KOR (Radom, Ursus, Warszawa) czy miała miejsce wizyta papieża, lecz stało się właśnie na Wybrzeżu, szczególnie w Gdańsku? Lawrence Goodwyn w pracy „Jak to zrobiliście?” twierdzi, że Sierpień ’80 i jego elementy, takie jak strajk okupacyjny, międzyzakładowy komitet strajkowy i żądanie wolnych związków zawodowych, to owoc doświadczeń 35 lat walki robotników z komuną. Nikt im tego nie mógł podpowiedzieć, przeciwnie, i KOR etc., i Kościół robiły wszystko, by strajk poddać, a przynajmniej ograniczyć radykalizm żądań (dowodem cytaty z wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego i Kuronia, który jeszcze długo potem mówił, że myślał, iż to niemożliwe i nadal tak myśli).

Nie było więc żadnej inspiracji z ich strony, w najlepszym razie nie przeszkadzali, normalnie rzecz biorąc „samo-ograniczali rewolucję”, w najgorszym byli agenturą systemu. To samo odnosi się do teorii prowokacji ze strony bezpieki, bo nawet jeśli miała miejsce, ruch był już na tyle silny, że sam zaczął pisać scenariusz wydarzeń i trzeba było stanu wojennego i zdrady (agenturalnej części) kierownictwa Związku, by sytuacja wróciła do „normy” i spektakl potoczył się, choćby w przybliżeniu, wg scenariusza władz (układ w Magdalence zaprezentowany przy „okrągłym stole”, uwłaszczenie nomenklatury, zniszczenie miejsc pracy etc.), a i to nie w pełni (nie udało się im zachować, jak w Chinach, pełni władzy i muszą grać w demokrację).

**Janusz P. Waluszko**

Robotnicy uczyli się ze swych doświadczeń, dlatego w Radomiu, Ursusie i Płocku w ’76 wyszli na ulice, ale w Gdańsku wtedy i w ’80 (dzięki doświadczeniu ’70) woleli strajkować, czego próbowali już w drugiej fazie ’70 i w ’71. Jak wyglądała samoedukacja? Jej początek to „wydarzenia poznańskie” ’56, jednak – inaczej niż w klasycznym ujęciu – walki uliczne to nie początek, lecz koniec tej fazy ruchu. Nie był to spontaniczny protest, a owoc długiej walki, jaką załoga zakładów Cegielskiego toczyła z władzą, od kierowników wydziałów i dyrekcji zakładu po władze lokalne i rząd. Dopiero negocjacje w ministerstwie i złamanie słowa przez ministra zdecydowało o wyjściu na ulice, by przeciw polityce władz zaprotestować „na oczach świata” przy okazji międzynarodowych targów. O ile załoga Cegielskiego zorganizowała się w ciągu miesięcy sporów, inni uczestnicy protestu nie byli doń przygotowani. Część zakładów miała kontakt z Cegielskim, dzięki czemu błyskawicznie przyłączyły się do pochodu, w centrum miasta jednak nikt nie opanował tłumu, co doprowadziło do rozruchów i wyjścia wojska na ulice.

Mimo stłumienia protestu, napięcie w kraju trwało, co wewnątrzpartyjna opozycja wykorzystała w celu usunięcia ekipy rządzącej i zastąpienia jej Gomułką. Na fali walk w łonie partii reaktywowano i ideę samorządu, ale szybko okazało się, że komuna nie lubi „władzy rad”. Obok niechęci Gomułki, który likwidował je i w latach 40., zadecydowała o tym słabość załóg, ich brak doświadczeń i możliwości dzielenia się tym z innymi. To na niszczeniu organizacji społeczeństwa i wymiany między różnymi grupami polega cenzura – nie tylko na kontroli mediów, jak widzi to zainteresowana wolnością słowa inteligencja. W efekcie na ogół udało się bez oporu zmanipulować, potem zlikwidować rady. Potrzebny był inny pomysł, organizacja ludzi na skalę już nie zakładu, lecz miasta czy całego kraju. Poznań był już na to za słaby, nowa jakość ruchu zjawiała się na Wybrzeżu.

O jego roli decydował charakter pracy w portach – kontakty z robotnikami z innych krajów, co jest regułą w świecie (ruch robotniczy w portach ma radykalniejszy charakter niż w innych zakładach, co dotyczy i górników, ale ci nie są tak otwarci jak portowcy). Pierwsze protesty miały miejsce już w drugiej połowie lat 50., gdy na Wybrzeżu doszło do antyradzieckich wystąpień oraz do strajków ekonomicznych, a nawet groźby akcji solidarnościowej stoczniovców w obronie rybaków, co starczyło, by władze odstąpiły od represji za strajk. Do prawdziwego wybuchu doszło w ’70, gdy w reakcji na podwyżki cen żywności stoczniovcy wyszli na ulice, podpalono komitet partii, rabowano sklepy, doszło do walk z milicją. I tu zaszło coś dziwnego – działacze partii w stoczni, nie chcąc dopuścić do ponownego wyjścia ludzi na miasto, rzucili hasło strajku okupacyjnego.

Była to mało już znana broń robotników polskich, odkryta w latach 30. (wraz z Polonią dotarła wówczas do USA, gdzie tę formę walki nazywa się „strajkiem polskim”).

Paradoks polega na tym, że to, co miało ograniczyć ruch protestu, stało się potem jego główną siłą. W Stoczni Gdańskiej robotnicy szybko przejęli władzę w utworzonym przez partię komitecie strajkowym, w Gdyni w ogóle nie wyszli na ulice, od razu zaczęli strajk, powołali też międzyzakładowy komitet strajkowy, choć nieco na wyrost – podobnie jak w Szczecinie, opierał się on na sile paru zakładów, nie całego regionu. MKS rozpoczął układy z władzą lokalną, ale władze centralne aresztowały obie strony, wzywając jednocześnie na przemian do pracy i pozostania w domu, co było najpewniej celową prowokacją – do idących do pracy zaczęto strzelać, doszło do rozruchów, podobnie jak w Szczecinie, choć tam szybko doprowadzono do układów władzy lokalnej z MKS, wojsko i milicja robotnicza wspólnie zaczęły patrolować miasto, a w efekcie sporów w partii Gomułkę zastąpił Gierek, który zrazu pró-

się tylko jeden człowiek) i obawa przed represjami wobec nielicznych działaczy sprawiły, że KOR wycofał się z tego, a nawet wystąpił przeciw komitetom założycielskim WZZ na Śląsku i w Gdańsku. Chcąc dogadać się z reformatorami w partii, robotnikom proponował, by dążyli do opanowania oficjalnych związków (nie mając ich doświadczeń, nie rozumiał, iż to ślepa uliczka, o czym robotnicy przekonali się wiele razy). Tymczasem WZZ i gdańska opozycja wybrali inną drogę niż proponowana przez Warszawę, tworząc własny związek (aż po jego jawne struktury), organizując wydawnictwa i akcje protestacyjne.

Gdy w '80 doszło do kolejnych strajków w reakcji na następną podwyżkę cen, byli oni – inaczej niż reszta kraju – gotowi do walki o swe postulaty, znacznie wychodzące poza żądania płacowe. W innych ośrodkach (nawet gdy strajk ogarniał całe miasto, jak w lipcu w Lublinie) wystarczyło dać trochę kasy, by protest się skończył. Natomiast w Gdańsku od razu zażądano, obok podwyżki płac, uczczenia ofiar '70 i legalizacji WZZ. Stocznia dostała swoje dość szybko

ko i po dwóch dniach chciano skończyć strajk, ale na prośbę mniejszych zakładów podjęto wbrew nadziei władz strajk solidarnościowy, tworząc MKS, w którym już pierwszego dnia afiliowało się ponad 100 zakładów pracy z regionu gdańskiego. Ważnym momentem była odmowa negocjacji z władzami poza Stocznia oraz włączenie radiowęzła dla ich transmisji, by cała załoga wiedziała, co jest grane (tego właśnie brakło w stanie wojennym, „Solidarność” mogła mimo represji mówić do społeczeństwa, ale społeczeństwo nie mogło mówić do swych przywódców, w efekcie czego układy z władzą stały się dla nich ważniejsze niż realizacja postulatów ludzi, z który-

mi przestano się liczyć). Pozwoliło to uniknąć manipulacji, budując wzajemne zaufanie strajkujących i dając poczucie siły. Inny element tej organizacji to sieć kurierów, których MKS wysyłał w Polskę. Gdy decydenci pod wpływem rosnącego zasięgu strajku, czyli uderzenia w punkt najczulszy dla władzy opartej o kontrolę produkcji, zdecydowali się na negocjacje z MKS, ten zażądał jako warunku wstępnego zaprzestania represji (zatrzymań i pobić) wobec kurierów i ponownego uruchomienia połączeń telefonicznych z krajem, bo wiadano, że tylko jawny obieg informacji może uniemożliwić władzy manipulację i rozbić strajku przez brak zaufania i solidarności (zabawne, że nieświadomy niczego Kuroń myślał, iż obrona „osób wspierających strajk” dotyczy jego i innych członków opozycji a nie kurierów, o których roli mało kto wie do dziś).

Władza musiała ustąpić wobec fali strajków ogarniających cały kraj, ale nie miała zamiaru pogodzić się z istnieniem społeczeństwa zorganizowanego, czyli istniejącego na serio. Sposoby były dwa – sztucznie wywołane przez rząd trudności w zaopatrzeniu (aż po granice głodu) i utrudnienia działań niezależnych oraz ataki na działaczy Związku z prowokacją bydgoską w marcu '81 na czele



fol. Archiwum J. i A. Gwiazdów

bował zmanipulować robotników (słynne „pomóżcie?”) i nie odwołał podwyżki, ale kolejne strajki w Gdańsku, Szczecinie i Łodzi (styczeń i luty) wymusiły ustępstwa. Partia nie zgodziła się na wolne związki zawodowe (już wtedy padło to żądanie), za to dokonano częściowo wolnych wyborów władz oficjalnych związków, dzięki czemu do ich kierownictwa weszli prawdziwi działacze niezależni.

Okazało się szybko, że tak jak w latach 40. i 50. decydowanie przez robotników na dole (rady zakładowe) niewiele znaczy wobec tego, że lepiej zorganizowana partia może swą wolę narzucić na poziomie centralnym, a tam, gdzie nie udawała się manipulacja stosowano represje (działaczy wyrzucano z pracy, zmuszano do emigracji, czasem i zabijano). Z drugiej strony, w Gdańsku zaczął się tworzyć niezależny ruch robotniczy, m.in. na bazie obchodów rocznicy masakry na Wybrzeżu w '70. Po rozruchach w '76, do których doszło w kilku miastach (znacznie liczniejsze były, o czym mało się wie, strajki w całym kraju) oraz represjach wobec robotników Radomia i Ursusa, opozycja inteligencka w Warszawie zorganizowała najpierw pomoc dla ofiar prześladowań, następnie rzuciła hasło tworzenia WZZ, jednak brak efektów (w Radomiu zgłosił



(szło o pobicie członków zarządu regionu „Solidarności” obecnych na spotkaniu z władzą lokalną). O ile na dole Związku prowadziło to do radykalizacji (dążenia do objęcia kontroli nad produkcją przez oddanie zakładów pracy samorządom pracowniczym, jak w latach 40. i 50., czy wręcz pomysły akcji bezpośredniej w postaci strajku czynnego), góra była skłonna do ugody i „samo-ograniczania rewolucji”, w dużym stopniu pod wpływem tzw. doradców (dziś już wiemy, że nie tylko strach był źródłem takiej postawy, ale i praca dla bezpieczeństwa). Owocowało to demobilizacją Związku, m.in. przez ciągle odwoływanie strajku generalnego – warto tu dodać, że strajk generalny, tak jak idea solidarności i organizacja regionalna związku zamiast branzowej, to elementy typowe dla syndykalizmu.



fot. Archiwum J. i A. Gwiazdów

To właśnie ugodowa postawa przywódców opozycji, spopularyzowana pod wpływem agentury, skłoniła władze do ataku na społeczeństwo 13 grudnia 1981 r. (czasem mówi się o „mniejszym złe”, większym była rzekomo interwencja radziecka, ale wg badań nic nie wskazuje na to, by ktoś w Moskwie był do niej gotów, a rzeczywiście „większym złem” w oczach władzy było zorganizowane społeczeństwo i to je wówczas likwidowano). Stan wojenny przerwał po raz kolejny komunikację społeczną. To oraz represje – od strzelania, bicia i więzienia za czynną walkę po głodzenie całego narodu i wydzielanie na „kartki” jak za okupacji wszystkiego, co potrzebne do przeżycia – w ciągu 7 lat doprowadziło do osłabienia samo-organizacji i woli oporu. Gdy władze uznały, że społeczeństwo dojrzało już do operacji, a dłużej czekać się nie da wobec pojawienia się i radykalizacji młodej opozycji, rozpoczęto spektakl „okrągłego stołu”.

Mówię o „spektaklu”, bo wszystko było nie tak: w ‘80/81 władze stawiały zbrojny opór 10-milionowemu Związkowi,

w ‘88/89 podjęły negocjacje mimo poddania paru niewielkich strajków w Nowej Hucie i Gdańsku. 13 grudnia Jaruzelski wydał rozkaz strzelania do rodaków w imię „socjalizmu bronionego jak niepodległości”, a w końcu lat 80. sam go likwidował, zastępując neoliberalizmem – najbardziej agresywną formą kapitalizmu: interwencją państwa w interesie biznesu kosztem całej reszty – w postaci „planu Messnera → Rakowskiego → Balcerowicza”, gdy na serio to „Solidarność” z lat 80/81 była jedyną realną szansą na „władzę rad” (mówił o tym jej program „Samorządna Rzeczpospolita”). Dawna „Solidarność” rodziła się oddolnie, natomiast ta druga – z nominacji Wałęsy i tych, którzy za nim stali – robiła za parasol (pamiętamy go z plakatu wyborczego), dzięki któremu można było przeprowadzić operację sprzedaży za bezcen naszych zakładów nomenklaturze partii i opozycji oraz obcemu kapitałowi, a następnie je zlikwidować wszędzie tam, gdzie stanowiły konkurencję dla ich biznesu (nieliczne przypadki, gdy ludzie nie dali się oszukać, próbując samorządności czy oporu przeciw prywatyzacji, łamano siłą, jak w białostockim MKK czy później w Ożarowie).

We współczesnym świecie brakuje formacji demokratycznych – komuna oskarżała kapitalizm o niesprawiedliwość społeczną i bezrobocie, on ją o łamanie praw człowieka i obywatela, a oba systemy zwalczały demokrację pod pozorem, że służy drugiej stronie czy anarchii (dziś służy temu „walka z terroryzmem”). Nie doceniała ruchu robotniczego i inteligencja, wierząc, iż chodzi mu o kasę, a nie o wolność i demokrację. Dla inteligencji „lewicowość” polega nie na obronie biednych, lecz na potępianiu systemu za jego konserwatyzm w sprawach obyczajowych, więc starczy być za przerywaniem ciąży i ślubami gejów, by uchodzić za lewicę nawet wtedy, gdy broni się neoliberalizmu, jak np. SLD. Dziś, póki co, jest inaczej – trochę biedą a trochę manipulacją mediów doprowadzono do tego, że robotnicy walczą o kasę na konsumpcję, co jest akceptacją systemu (gdyby szło o demokrację w ekonomii, samorządną rzeczpospolitą – znów grałoby to zasadniczą rolę w walce z systemem). Zatem zadymy i niezależne media (to w praktyce to samo) nic nie dają, bo wolno to robić – pogłębia się tylko szum informacyjny rynku.

Pomysłem byłaby solidarność, strajki o zasadę a nie kasę, ale nie ma na to chętnych. Równie trudno ją uzyskać z drugiej strony, jako konsument (nie producent) w postaci bojkotu rynku. Dziś w system łatwiej byłoby ugodzić takim „strajkiem”, być może „czynnym” (samodzielne robienie tego, czego potrzebujemy, zamiast kupować na rynku), co idzie zresztą ku przywróceniu bazy dla dawnej demokracji, gdzie człowiek sam dla siebie produkował towary, kulturę i system. Póki co ogół woli ofertę rynku – „kup”! W efekcie nie tylko inteligencja nie umie już sama wydawać „bibuły” i czeka na dotacje od rządu czy fundacji, albo że ktoś jej coś wyda i opłaci prawa autorskie etc., ale i rolnik „umiera z głodu”, gdy nie kupi jedzenia w sklepie. Stąd i skupienie słabnącego ruchu związkowego na walce o kasę na konsumpcję (czy przeżycie?) zamiast walki o samorząd pracowniczy. Czy idea „Solidarności” jest już tylko historią i największa szansa ustanowienia rzeczywistej demokracji stała się kolejnym mitem (a może i to nie, przynajmniej u nas, przez rozczerwanie tym, co się stało po ‘89)?!

Janusz P. Waluszko

# NIEZWYKŁA IDEA

## zachowana w sercach zwyczajnych ludzi

Ewa Bugno-Zaleska

Ktoś powiedział, że nie wojny, lecz wielkie idee zmieniają świat. Taką ideą była i pozostała „Solidarność”, której nie należy utożsamiać jedynie ze związkową strukturą. To jest IDEA, która wybuchła w sierpniu 1980 r. i żyła do „okrągłego stołu”. Potem rozpoczął się „wyścig szczurów”, które rozdeptały ten bezcenny skarb.

Komuniści bali się zmian, więc musieli zniszczyć „Solidarność”. To był bardzo starannie przygotowany proces rozpoczęty 13 grudnia 1981 roku. Ogłoszenie stanu wojennego umożliwiło niszczenie zbudowanych demokratycznie struktur „pierwszej »Solidarności«” a uzgodnienia przy „okrągłym stole” dały początek niszczenia tego, co w nas przetrwało mimo stanu wojennego – przetrwała niezwykła idea, okupiona ofiarami zwyczajnych ludzi.

Po 1989 r. nastał czas tzw. konstruktywnej opozycji, która otrzymała możliwość zasiadania w parlamencie. Nobilitacja solidarnościowych elit sprawiła, że zarejestrowana na nowo „S” uwierzyła, iż zdobyła władzę, ale nie sądzę, by nadal wierzyła w sens idei... Jakże prawdziwe są słowa, jakie kiedyś przeczytałam „buszując” po niezależnych stronach Internetu:

*Kto w twierdzy wyrósł nie pragnie ogrodu  
Kto krew ma w oczach nie zniesie błękitu  
Sytość zabije nawykłych do głodu  
Myśl upodlona nie dźwignie zaszczytów.*

Wałęsa zajął się „wojną na górze” i umacnianiem „lewej nogi”. Społeczeństwo stało się jedynie przedmiotem, z którym już nikt się nie liczył. „Solidarność” została wydana na pastwę polityki. Przytłoczona ciężarem transformacji, systematycznie dyskredytowana przez polityczne elity, utrzymała się w świadomości społecznej jako przyczyna wszelkiego zła III RP.

Z pewnością liderzy opozycji zasiadający przy „okrągłym stole” wiedzieli, że druga strona jest wspierana przez tajne służby, nie wiem tylko, czy mieli świadomość tego, że sieć agentów zwerbowanych w stanie wojennym odda bezcenne usługi konstruktorom III RP.

Na podstawie złożonych w IPN raportów SB twierdząc, że „Solidarność” była nie tylko inwigilowana przez bezpiekę – służby specjalne od początku sprawowały pełną kontrolę nad władzami Związku. Przytoczę fragment raportu zachowanego w teczce 2 z 9 pod kryptonimem „Związek”, karta 307: „W okresie od I WZD [Walnego Zjazdu Delegatów] nie prowadziliśmy akcji zmierzających do eliminowania w ZR [Zarządzie Regionu] poszczególnych działaczy; wynika to z faktu, że do ZR nie weszły osoby o ekstremalnych poglądach”. Bardzo ciekawe są raporty z 1982 r., czyli po zakazaniu działalności związkowej, gdzie wymienia się nazwiska

osób przewidywanych przez SB na funkcje przewodniczących zakładowych organizacji związkowych. Oprócz tych raportów są plany działania przeciwko osobom niepokornym, które utrudniały sterowanie niezależnymi grupami społecznymi. Od początku stanu wojennego trwało werbowanie TW na wielką skalę. Używając przemocy lub szantażu, SB łamała ludzkie sumienia i wymuszała współpracę. Budowana po raz drugi „Solidarność” nie miała szans. Była pod presją ogromnej ilości agentów, którzy po 1989 r. mogli działać już nie tylko w Związku, ale także w polityce. Bezpieka ulokowała agentów wszędzie, jednak najważniejsze zadanie wykonali ci, którzy skanalizowali NSZZ „Solidarność” po to, aby unicestwić ideę i na długie lata zniechęcić obywateli do solidarnej postawy. Oni zostali moderatorami „transformacji ustrojowej”.

Tak się złożyło, że bardzo szybko doświadczyłam układów wynikających z paktowania przy „okrągłym stole” i w wyborach nie uczestniczyłam. Gdy 4 czerwca 1989 r. większość Polaków cieszyła się ze zwycięstwa, mnie dręczyły różne wątpliwości. Ostatecznie moc mediów, a zarazem ufność w zbiorową mądrość Narodu sprawiły, że mimo wszystko postanowiłam włączyć się w „przywracanie normalności”. Niestety, były to „szybyłowe prace”.

Ogłoszona przez Mazowieckiego „gruba kreska” była aktem politycznym i nie miała nic wspólnego z chrześcijańskim gestem. To nie przypadek, że lustracja nie objęła banków oraz wymiaru sprawiedliwości – mafijne grupy interesu mogły bezkarnie rozkradać majątek narodowy. Nowa władza niezależnie od tego, czy zaliczała się do prawej, czy do lewej strony, zgodnie uznała cudowne działanie „niewidzialnej ręki rynku”. Dziś wiemy, że ta „niewidzialna ręka rynku” jest jedynie postkomunistyczną strukturą, która się wciąż reprodukuje i wpływa na rozmaite dziedziny życia społecznego. Rozbicie tej struktury jest zadaniem o wiele trudniejszym niż rozbicie komunizmu i dlatego Polska wciąż potrzebuje wojska „Solidarności”, ale tej oczyszczonej z agentów.

W III RP toczy się walka o symbole dobra, o historyczną pamięć. Wbrew pozorom to nie jest kwestia przeszłości, jak twierdzi społeczeństwo pozostające pod wpływem medialnych emocji. Trwając w niebывалym zamęcie pojęciowym nie rozumiemy, że przeszłość ma kapitalne znaczenie dla teraźniejszości. Zamęt umysłowy i nieprawdopodobna pokora obywateli wolnego przecież kraju nie pozwala nam wyrwać się z obowiązujących w III RP układów.

Być może jest tak dlatego, że jak mówił Bernard Shaw – „wolność to odpowiedzialność, dlatego ludzie się jej boją”. W III RP władze związkowe nie chciały brać żad-



nej odpowiedzialności za drugiego człowieka i utrwały biurokratyczny charakter organizacji, działającej głównie na użytek polityków. Zaniechano wszystkiego, co było siłą „pierwszej »Solidarności«, a przecież NSZZ „Solidarność” w III RP miał wszelkie warunki, by stanąć w obronie solidarności społecznej – jednak nie zrobił tego. Dlaczego? Moim zdaniem dlatego, że „S” utraciła wymiar ideowy, stała się zależna od układów politycznych. Wciąż jest tak, że w jeden dzień strajkują pielęgniarki, innym razem kolejarzy itd. Jedność jest tylko wówczas, gdy liderzy postanowią użyć struktur związkowych niczym trampoliny do indywidualnych karier. Jednak nie ma to nic wspólnego z ideą, która może zmienić świat globalnego wyzysku człowieka.

Nie zmieni się nic, póki nie zrozumiemy, że feta pod patronatem Wałęsy i Kwaśniewskiego nie ma nic wspólnego z Jubileuszem „Solidarności”. Popieram Andrzeja Gwiazdę, sygnatariusza listu w sprawie obchodów 25-lecia „Solidarności”. Potrzeba rzetelnych badań nad historią „S”. Nie wolno utrzymywać kłamstw dotyczących transformacji ustrojowej w Polsce. Utrzymywanie stanu, w którym jedni są prawi, drudzy lewi, a wszyscy bez kręgosłupa i bez poglądów – służy tylko politycznym potrzebom agentury. Podział powinien przebiegać między przyzwoitymi a nieprzyzwoitymi. Najwyższy czas oddzielić jednych od drugich – łączyć może nas tylko pamięć.

Nie możemy wciąż mylić postaw z poglądami, idei ze strukturami, bezkarności nazywać wolnością, w której można ukraść nie tylko pierwszy milion. Nie może być zdrowym kraj, w którym kompletnie zaciera się przeszłość, a ludzie bezkarnie fałszują swoje biografie. Nie może być tak, że prześladowcy i prześladowani pozostają bezimienną grupą, w różny sposób wpisaną w polityczne układy, bo nie dokonała się nawet moralna ocena ich postaw i prawdziwi winowajcy są nadal bezpieczni. Musimy nauczyć się

rozpoznawania źródeł współczesnego zła i zabiegać o zrozumienie, czym naprawdę była „Solidarność”.

To był spontaniczny, obywatelski opór przeciwko kłamstwu władz i zniewalaniu sumień. **To była przede wszystkim postawa – i symbol – patriotyzmu i obywatelskiego zaangażowania.** Ta postawa zdecydowanie wykraczała poza struktury „S” i była skierowana przeciwko władzy lękającej się nawet krzyża z kwiatów, patriotycznych rocznic, pielgrzymek i papieża wskazującego na wspólnotowy charakter naszej idei: „jedni drugich brzemiona noście”. Byłam i jestem zafascynowana nauką Jana Pawła II, który rozpoczynając swój pontyfikat wołał: „Nie lękajcie się...”. Wezwanie Ojca Świętego przyjąłam i uwierzyłam, że mogę czerpać z mocy Chrystusa obecnego w solidarnościowym, wspólnotowym wymiarze działań. Może dlatego nie lękałam się ani prześladowań, ani przegranej – nie kalkulowałam, czy trwanie w opozycji się opłaca. Pragnęłam wolności, ale jakaż to wolność, gdy ludzie panicznie się boją głównie o to, aby nie utracić bezcennego miejsca pracy.

Naprawdę „nie ma wolności bez Solidarności” – solidarność jest przeciwieństwem samotności. Jeśli człowiek wie, że nie jest sam, to przestaje się bać. Strach zawsze paraliżuje i ogranicza możliwości człowieka. Solidarność wyzwala, uczy odpowiedzialności, bo wszyscy są odpowiedzialni za wszystkich. Druga „S” nie zdała egzaminu z wolności, skoro wciąż tkwi w układach i pozwala niszczyć bezcenne wartości. Jest tak, że już nikt nikomu nie ufa. Liczy się tylko wielka forsa, sukces, układy, jakby z „tamtych lat” nie zostało nic poza ukrytymi w archiwach IPN aktami SB.

Gdy wybuchła „Solidarność”, miałam 30 lat i dwoje dzieci. Dziś mam 56 lat, troje dzieci i dwie wnuczki – najstarszy syn i córka ukończyli już studia i są samodzielni, natomiast najmłodszy syn studiuje historię na UAM w Poznaniu. „Solidarności” – Polsce oddałam najlepsze lata mojego życia. Mając dwójkę dzieci włączyłam się w wir solidarno-

ściowych działań. Zauroczyła mnie idea, którą – niestety – w wolnej Polsce zniszczono. Gdy podczas grudniowej nocy zostałam wraz z mężem internowana, miałam wrażenie, że runął cały mój świat. Mimo lęku nie pogodziłam się z przemocą i starałam się budować wolny świat wokół siebie nawet wówczas, gdy byłam w więzieniu. Dwukrotnie aresztowana i zawsze ostro represjonowana spędziłam pół roku w celi sama – to była kara za niepokorną postawę. Jakież było moje zdumienie, gdy sądy III RP uznały, że nie ma podstaw, abym mogła ubiegać się o odszkodowanie, bo wszystko odbywało się zgodnie z prawem – surowym, ale obowiązującym prawem. W uzasadnieniu wyroku sędzia podkreślił, że przecież nic złego mi się nie stało, bo np. nie jestem chora psychicznie (!). Ostatecznie, dwa lata po wyroku w Sądzie Najwyższym, wszystkie moje akta sądowe zaginęły. Przypadek? Nie wierzę w przypadki – mimo 15 lat wolności nie rozliczyliśmy się z systemem, który łamiąc sumienia dysponował (i nadal dysponuje) siecią agentów, aby budować obecną, mroczną rzeczywistość. Przeszłość wciąż wlecze się za nami jak cień, od którego nie da się uciec w świetle prawdy.

Jestem przygnębiona, bo po 15 latach wolności czuję się jak bezużyteczny, wbity w ziemię kamień polny, po którym przetoczyła się lawina historii. Mój wysiłek na rzecz tego, co wspólne, okazał się bezsensowny. W nowej rzeczywistości miarą wszystkich rzeczy jest pieniądz, celem władzy umacnianie wpływów agentury. Rosną fortuny ludzi żyjących z przestępczości, panuje potworna bezsilność wobec globalnej maszyny i licznych skandali korupcyjnych. Prawica akceptuje model życia, w którym dominuje bogactwo nielicznych, a 60% ludzi żyje w nędzy. W czasach „pierwszej »Solidarności«” taka sytuacja byłaby niemożliwa. W czasach „drugiej »Solidarności«” działacze związkowi wspierają polityczny kapitalizm, w którym polityka miesza się z biznesem. Wydaje się, że jedyną troską liderów Związku jest to, aby obsadzić rady nadzorcze swymi kolesiami, tymczasem zwyczajni ludzie muszą dźwigać wstyd za „lewiznę” tzw. rządzącej prawicy.

Jaskrawość moich poglądów wywołuje dyskomfort, bo w polityce obowiązuje pragmatyzm – spontaniczność i bezinteresowność są niepożądane. W takich warunkach trudno jest zabiegać o pamięć i roztropne wykorzystanie naszych doświadczeń. Chciałabym te doświadczenia

zostawić (zamiast testamentu) nie tylko moim dzieciom i dlatego zgodziłam się na propozycję „Obywatela”, aby napisać kilka słów z okazji Jubileuszu „Solidarności” – tej, która wpisała się w mój życiorys jako druga po łasce wiary wartość. Nie jestem pewna, czy moje dzieci zechcą pamiętać i cenić tę wartość, wszak moje zbyt upolitycznione życie nie jest dla nich zachętą. Na szczęście praca nie jest dla nich problemem, więc stronią od polityki i chcą już tylko pracować, a nie zastanawiać się nad etosem pracy, nad tym, dlaczego wokoło rosną fortuny, a większość ludzi ma problem jak przeżyć „do pierwszego”.

Moje refleksje zakończę osobistym akcentem. Był wiecór, połowa lat dziewięćdziesiątych. Jechałam do Poznania z najstarszym synem, który jest programistą. Syn nie ukrywał radości, bo w ramach premii dostał dobrej marki samochód. Wspomniął, że podczas zakupów uwielbia wypełniać po brzegi koszyk, a potem ładować wszystko do auta. Rozmawialiśmy o tym, co „tu i teraz”. Wyraziłam żal, że tylu wspaniałych ludzi doczekawszy upragnionej wolności, nie może korzystać z jej owoców. Mówiłam również, o moich problemach w spółdzielni mieszkaniowej, trudnościach z pracą, a właściwie jej brakiem. Nagle syn zapytał: *i co mamo? Warto było tak się poświęcać?*

Pytanie tak zabolalo, że przez chwilę czułam się jak znokautowany zawodnik. W milczeniu połknęłam pierwsze łzy i stanowczo stwierdziłam: *WARTO, bo mimo wszystko coś się zmieniło. Masz paszport w szufladzie i otwarte granice, korzystasz z kilkunastu programów telewizyjnych, Internetu... Nie musisz spędzać czasu w „kolejkach po życie” i możesz robić zakupy o każdej porze i w każdym miejscu. Ja robiłam to wszystko dla was, bo marzyła mi się Polska, w której bezpieczeństwo nie będzie natchodzić najlepszych studentów, aby werbować ich do służby przeciwko człowiekowi. Dziś już nikt nie będzie zmuszał Cię do tajnej współpracy.*

Milczeliśmy, a ja błogosławiłam wieczorną porę, bo w mroku nie było widać łez, które wciąż spływały mi po policzkach. Faktem jest, że mój syn nie poznał rzeczywistości politycznej PRL-u. Gdy wybuchła „Solidarność”, miał 9 lat i mógł tylko pamiętać, jak wyglądały sklepy i zakupy na kartki... Po chwili zreflektował się, że głupio wyszło i mnie przeprosił...

Ewa Bugno-Zaleska

#### REKLAMA:



**Oczami bezpieki** to zbiór kilkunastu artykułów i rozpraw naukowych poświęconych różnym aspektom działalności aparatu bezpieczeństwa PRL. Na wybranych przykładach autor ukazuje walkę bezpieki z polską emigracją polityczną, Polonią amerykańską, opozycją antykomunistyczną w kraju i z Kościołem katolickim. Odsłania też rolę agentury jako podstawowej metody pracy operacyjnej UB/SB. Pozyskane w Instytucie Pamięci Narodowej archiwalia weryfikuje z dokumentacją PZPR i innymi dostępnymi źródłami. Z prezentowanych tekstów wyłania się obraz Polski Ludowej rządzonej przez ludzi bezpieki, których rola nie zakończyła się wraz z upadkiem komunizmu.

Sławomir Cenckiewicz, *Oczami bezpieki*, wydawnictwo ARCANA, seria Arkana Historii

# O Sierpniu - antysentymentalnie

Dla osób, które – jak autor tych słów – przechodziły inicjację polityczną po 31 sierpnia 1980 r., refleksyjny powrót do rozpoczętych wtedy wydarzeń wiąże się z dwojakim niebezpieczeństwem. Przypominając sobie gorączkę na korytarzach siedziby regionalnego zarządu „Solidarności”, czar z pozoru zgrzebnej biało-czerwonej plakietki, jaką się bardzo chciało nosić, niekoniecznie mając po temu formalne uprawnienia, stoiska z książkami przyciągającymi smakiem owocu zakazanego, spotkania z ludźmi, których nazwiska brzmiały co najmniej tak samo sensacyjnie, jak Stirlitz albo J-23, a przede wszystkim podmuchy wiatru wielkiej historii, kołyszącego zarówno telewizyjną anteną, jak i flagami na bramach zakładów pracy czy ulotkami rozrzuconymi na ulicach – łatwo ulec pokusie idealizacji. Co z tak świeżymi i szczerymi emocjami zostało przeżyte – podpowiada w takim wypadku nostalgiczna pamięć – musiało być słuszne i dobre.

Z drugiej strony, nic dzisiaj prostszego, jak uzmysłwić sobie, że w zarządach, do których zaglądali z respektem szarzy sympatycy, toczyła się gra antypatycznych nieraz koterii, że mówcy witani podnieconymi owacjami częstokroć opowiadali androny, zaś lokalne lub powszechne pogotowia strajkowe obwoływano zwykle bez cienia kalkulacji strategicznej. Nade wszystko, ciepłą atmosferę nostalgicznych wspomnień zakłócają ludzie. Przez minione 15 lat widywało się ich czasami z przerażeniem, a jeszcze częściej – z odrazą. Czy szpetne mogło kiedyś być piękne? Wkraczając tym tropem, przeciwko idealistycznemu upiększaniu występuje demaskacja, która niczego nie chce oszczędzać.

Aby wobec tej podwójnej presji zdobyć się na minimum obiektywizmu, należy – sądzę – w miarę możliwości wziąć w nawias wszelkie, tak gorące, jak i wrogie emocje. Zamiast nich, do zorientowania się w materiale historycznym lepiej przyczyni się chirurgiczny chłód.

Sierpniową rewoltę w zakładach pracy – a już zwłaszcza jej główny efekt, to jest oczywiście powstanie „Solidarności” – powszechnie oceniano jako zaskoczenie. Początek nie odbiegał jednak od normy, która zdążyła się już ustalić w politycznych realiach PRL. Od grudnia 1970 r. zapowiedzi wzrostu cen żywności niemal automatycznie prowadziły do masowych strajków. Godne uwagi, że na progu sezonu letniego roku 1980 rządząca ekipa starała się za wszelką cenę uniknąć wstrząsów, którymi niemiłe doświadczył ją czerwiec sprzed czterech lat. Wystrzegając się oficjalnej decyzji o znienawidzonych podwyżkach, szczególnie poszukiwane i łatwo znikające z rynku gatunki mięsa przesunięto do tzw. sklepów komercyjnych. Na pierwsze protesty, które zaczęły wybuchać w Lublinie i okolicach, władze szczebla lokalnego i centralnego odpowiadały ustępstwami płacowymi.

Kwestia mięsa i jego cen od co najmniej dziesięciolecia stanowiła jednakże Archimedesowy punkt oparcia, dzięki któremu przeciwnicy ekipy zbyt długo utrzymującej się na szczytach mogli ją nie tylko poruszyć, ale i obalić. Sieć taj-

**Jacek Zychowicz**

nych współpracowników Służby Bezpieczeństwa w zakładach, która w założeniu służyła utrzymywaniu pod kontrolą nastrojów i zachowań zatrudnionych tam pracowników, w takim nadzwyczajnym wypadku czyniła coś dokładnie odwrotnego. Mianowicie, rozniecała bunt zamiast go paraliżować. Ci spadkobiercy „Solidarności”, którzy do dzisiaj się skarżą, że ruch już na samym początku został zinfiltrowany przez agenturę SB, niechętnie zauważają, iż bez udziału tej – w powierzchownej ocenie – z gruntu wrogiej siły, jego narodziny, o ile w ogóle możliwe, byłyby znacznie trudniejsze.

Z dzisiejszej perspektywy, w trafnych na krótką metę kalkulacjach zwierzchników służb specjalnych w aparacie PZPR – na czele ze Stanisławem Kanią i jego mentorem, Mieczysławem Moczarem – uderza znaczna domieszka ślepoty. Nie dostrzegali oni, że sytuacja strajkowa stanie się podłożem sprzyjającym błyskawicznemu rozrostowi znaczenia nowych czynników w ówczesnej polskiej polityce, które – poddając się nawet doraźnemu wykorzystaniu – w rezultacie wymkną się spod kontroli. Latem 1980 r. opozycyjna cyganeria inteligentka miała prawo przypomnieć sobie, z okresu niechętnie wspominanej młodości, należące do klasyki rewolucyjnej powiedzenie o iskrach, z których wybucha płomień. W dwuznacznych warunkach dekady gierkowskiej, ugrupowania dysydenckie były wprawdzie nękane szykanami policyjnymi, lecz w istocie cieszyły się nieformalnie im przyznaną tolerancją. Bardziej od rewizji i zatrzymań dolegał im nikły odzew społeczny na głoszone hasła.

Mimo słabości swego zaplecza kadrowego, opozycja – zwłaszcza w jej odłame firmowanym przez KSS „KOR” – zdołała się włączyć do strajkowego ruchu protestu. Przy tej sposobności, potwierdziło się nienowe prawo socjo-



fot. ze zbiorów IPN, udostępniona przez Sławomira Cenckiewicza





logiczne, zgodnie z którym na ruch zarazem liczny i słabo wykrystalizowany nieproporcjonalnie duży wpływ jest w stanie wywierać gremium stosunkowo niewielkie. Bogdan Borusewicz był w stanie przyprowadzić do Stoczni Gdańskiej zaledwie kilkunastoosobową grupę działaczy, którzy jednak – w przeciwieństwie do tysięcy robotników – znali zarówno język pozwalający sformułować postulaty wobec władz, jak i reguły negocjowania.

Z laickimi dysydentami rywalizował niechętny im Kościół katolicki. Jego hierarchowie i duchowni po raz pierwszy od dziesięcioleci jawnie wystąpili do walki o polityczny rząd dusz. Bramy strajkujących stoczni i kopalń zwieńczyły portrety Jana Pawła II i krzyże, pod którymi odbywały się improwizowane tłumne msze. W instytucji zarządzanej centralnie takie działania z pewnością nie zostałyby podjęte bez dyskretnego aprobaty z najwyższego szczebla.

„Robotnicy 80”, którzy w kwestii tak zakończenia strajków, jak i upierania się przy postulacie nowych związków, potrafili nie słuchać udzielanych im rad Jacka Kuronia, inteligentnych ekspertów pod wodzą Tadeusza Mazowieckiego, a nawet prymasa Stefana Wyszyńskiego, zasługują jednak, żeby wziąć ich pod uwagę jako czynnik w znacznym stopniu autonomiczny bądź nawet decydujący. Po krótkim zastanowieniu, ich nagła aktywizacja nie może dziwić. W kolejnym już pokoleniu nie znali oni tak oczywistych – i od pewnego czasu w Polsce znowu aż za dobrze poznanych – środków wymuszania dyscypliny, jak bezrobocie czy drastyczna pauperyzacja. PRL-owski zakład był nie tylko miejscem wykonywania obowiązków służbowych, lecz również bazą dla szeroko pojmowanej aktywności społecznej. I wreszcie, wielką naiwnością grzeszyło oczekiwanie kierowniczych gremiów PZPR, iż klasa w oficjalnych deklaracjach przodująca, w nieskończoność zadowolona tym, że partia, która urzędowo przypisała sobie reprezentowanie jej interesów, będzie mniej lub bardziej ugodnie działała dla niej, ale zarazem bez niej.

Inaczej niż partia rządząca, ale równie głęboko, pomylili się entuzjastyczni obserwatorzy wystąpień robotniczych na Wybrzeżu, Górnym Śląsku oraz w słabiej dostrzeganej reszcie kraju. Elity PRL-owskiej inteligencji twórczej dosłownie z tygodnia na tydzień zmieniały adres swej lojalności pragmatycznej oraz idących w ślad za nią hołdowniczych deklamacji. Zaglądając dziś do słynnego w swoim czasie reportażu Ryszarda Kapuścińskiego o strajku w Stoczni Gdańskiej, łatwo zauważyć, że idiom środowisk opiniotwórczych zwykle tam lekceważył robotnik zastąpił obiecującego sekretarza KC. Marksisci roz-

czarowani do realnego socjalizmu, których wtedy się jeszcze w Polsce trochę uchowało, witali – tak dawno i długo nadaremnie prorokowane przez ich nauczyciela i mistrza – przeobrażenie się proletariatu z biernoj i wskutek tego wyzyskiwanej „klasy w sobie” w śmiało upominającą się o swoje „klasę dla siebie”. Z ich reakcjami współbrzmiały wyrazy podziwu, napływające od zachodnich radykałów, którzy na chwilę uwierzyli, że historia, nieskłonna oszczędzać im rozczarowań, powraca wreszcie na kurs zgodny z ich myśleniem życzeniowym.

Kto nie chciał przezwyciężyć obcości wobec symboliki rewolucyjnej o marksistowskim rodowodzie, mógł bez trudu odwołać się do nienajgorzej jeszcze pamiętanych formuł Żeromskiego, Brzozowskiego czy Norwida. Czyżby piękne słowa o ludzie i pracy, zużyte recytowaniem ich z oficjalnych trybun, nareszcie oblekały się ciałem? Dziś wolno już powiedzieć, wprawdzie nie bez żalu: niestety, tak się nie stało. W okresie bezpośrednio następującym po strajkowym sierpniu, pozytywnie uderzała zdolność robotników do samoorganizacji. Związki zawodowe, nazywające się zobowiązująco niezależnymi i samorządnymi, powstały natychmiast i niemal wszędzie.

Na nieszczęście, w rozkwicie idei związkowej tkwił już zarodek jej przyszłej katastrofy. Według dotychczas obowiązujących założeń, związki miały reprezentować codzienne interesy robotników wobec monopolistycznej partii rządzącej, która podejmowała się zadbać o społeczną całość. Polecano im upominać się o – tak określane w ówczesnym języku publicznym – sprawy bytowe i załatwiać je w miarę możliwości. Jednocześnie zaś, odpędzano je na gwałt od współzrządzenia nawet na szczeblu zakładowym, o wyższych piętrach już nie wspominając. O tych ograniczeniach, z którymi robotnicy chcąc nie chcąc godzili się w ciągu lat i dekad, kazał zapomnieć widok wicepremierów przybywających do Gdańska, Szczecina i Jastrzębia z nieograniczoną gotowością do ustępstw płacowych. Zwycięstwo w odniesieniu do ideologicznie i politycznie przełomowych pierwszych punktów z listy postulatów strajkowych dopełniło resztę. Robotnicy odnaleźli się w roli hegemonów.

Nie wystarczy jednakże nabrać poczucia siły. Musi towarzyszyć mu zdolność do tworzenia warunków, w których przeświadczenie danej grupy czy klasy o swej zdolności do kierowania krajem spełniałoby się i potwierdzało praktycznie. Tymczasem, wzrost przeciętnej płacy o mniej więcej 20%, który – prawdę mówiąc – przyciągał do „Solidarności” w co najmniej równej mierze jak ideał wspólnego decydowania o sobie, doprowadził wkrótce do огоłocenia rynku. We wspomnieniach o kartkach na mięso i occie na półkach, którymi w obecnej Rzeczypospolitej do znudzenia ośmiesza się jej poprzedni ustrój, pobrzmiwa ironiczny chichot historii. Pustki rynkowe były bowiem nie tyle prostym skutkiem zasad i praktyki realnego socjalizmu – dlaczego bowiem rzadko kiedy spotykało się je za południową granicą? – co przykrą zapłatą za euforię sierpniową.

Ani w lecie 1980 r., ani jeszcze wiele miesięcy później, chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, jak burzliwymi prądami podskórnymi poruszyły ówczesne wydarzenia. Za rządów Gierka utrzymywano chwiejną równowagę pomiędzy ciągle się rozbudzającymi dążeniami konsumpcyjnymi jednostek oraz egalitarnym systemem ich zaspokajania. I bez „Solidarności”, prędzej czy później musiałoby jednak wyjść na jaw, że wszystkim – za sam fakt, iż są obywatelami i pracownikami – udaje się od biedy zapewnić dobra elementarne w rodzaju pogardzanych dziś niewielkich mieszkań, zgrzebnych ubrań czy pralki „Frania”. Dostęp do automatycznej następczyni tej

ostatniej wymagał już zróżnicowania wyznaczanego rykowymi kryteriami zasługi i sukcesu.

Czasami werbalnie porywający program „Solidarności” już u swojej kolebki obciążony był grzechem pierworodnym niemożliwości jego spełnienia. Zawarte w nim aspiracje ograniczały się bowiem do sfery płacy i podziału. Jeżeli nauczycielki lub pielęgniarki nie są w stanie wywalczyć dla siebie podwyżek – mawiał wtedy Zbigniew Bujak – to „Ursus” im solidarnie pomoże. Niewyjaśnione pozostawało, kto wytworzy towary, na których producentom traktorów zależało na równi z opiekunkami ich dzieci.

Hasłom „odnowy” i „reformy”, krążącym wówczas od Bałtyku po Tatry, nieuchronnie dolegała pustka treściowa. Co gorsza, pytanie o racje i kierunek przebudowy ustroju zastąpiono mniej wymagającą intelektualnie kwestią, jaka grupa liderów ma dojść do władzy, albo – jeszcze lepiej – kto komu da radę. Z tego konfliktu żadna strona nie wyszła zwycięsko. Dla „Solidarności” długofalowo bolesna okazała się nie tyle sama operacja wprowadzenia stanu wojennego, co raczej fakt, że jej członkowie w zdecydowanej większości przyjęli ją biernie. Prawdopodobnie, wyczerpała się im wiara, że pożądany dobrobyt osiągną eskalacją żądań i decyzji strajkowych. Władza, z kolei, musiała przyjąć do wiadomości, że aktywne jednostki i grupy nie wiążą już nadziei z oficjalnie reprezentowanym i bronionym przez nią ustrojem. Ta obustronna klęska ułatwiła porozumienie przy Okrągłym Stole: wyczerpani bokserzy musieli wreszcie zakończyć walkę. Z drugiej strony „Solidarność” i PZPR, w miarę ich słabnięcia, zapomniały tak o „podstawach socjalizmu”, jak o „Samorządnej Rzeczypospolitej”, na które ich szefowie powoływali się od święta. Po roku 1989 r., polityków obydwu tych formacji stać było już tylko na powielanie sugestii neoliberalnych ekspertów z metropolii zachodnich.

Fatalnemu obrotowi spraw dałoby się może zapobiec, gdyby Polska nie stała się jednym z najgorętszych frontowych odcinków zimnej wojny. Związek Radziecki potrzebował zamrożenia systemowych stosunków i zależności na głównym szlaku zaopatrzeniowym swojej czterystutysięcznej armii w Niemczech Wschodnich. Amerykanów, z kolei, Polska interesowała głównie w powierzonych im funkcji ciemia, który miał drażnić – a jak się uda, to i okuliwać – rosyjskiego niedźwiedzia. Budzi gorzkie refleksje, że przywódcze elity „Solidarności” – szczególnie po zaniku jej masowego charakteru, który nastąpił po grudniu 1981 – chętnie realizowały to zamówienie, wyrzekając się poszukiwania bardziej samodzielnego miejsca.

Presji zimnej wojny towarzyszył, wzajemnie się z nią wzmacniając, przypływ emocji typowych dla epoki restau-

racji. Trudno nie przyznać, że realny socjalizm miał swoje rachunki krzywd. Związane z nimi emocje i resentymenty musiały eksplodować, kiedy tylko, po sierpniu 1980, uniosła się pokrywa urzędowo zadekretowanej jednomyślności. W historycznych rozliczeniach coraz częściej wylewano jednak dziecko z kąpielą. Uzasadnione deklaracje wrogości godziły rykoszetem we względną równość materialną i masowy awans społeczny. Przestało być jasne, co posierpniowi opozycjoniści mieli za złe zwalczanej przez nie PRL: czy to, że rewolucja, z której państwowość ta się wywodziła, została narzucona przez mocarstwo zwycięskie w II wojnie światowej, czy może raczej fakt, iż ta rewolucja w ogóle się odbyła, obalając przedwojenne społeczeństwo stanowe.

Sierpień 1980, rozbudzając piękne nierzadko mity, w dłuższej skali czasowej przyniósł ich powszechną śmierć. Wiara w romantycznie pojmowany lud bądź proletariat nie zawsze ma za sobą solidne racje. W ówczesnym kontekście, proroczo brzmi myśl Lukacsa, że historię XX wieku określiła dezorientacja klasy robotniczej. Ponadto, z łatwością przychodzi na myśl, że poczynając od najwcześniejszych rewolucji mieszczańskich, zbiorowość plebejska trudziła się i walczyła, lecz plon jej wysiłków zbierał ktoś inny. Natomiast jej najbardziej rzutcy przedstawiciele, zamiast solidaryzować się z towarzyszami niedoli, przenoszą się do obozu zwycięzców.

Patrząc zazdrośnie na pluralizm, kwitnący – jak się nam zdawało – na Zachodzie, nie wiedzieliśmy (nie chcieliśmy wiedzieć?), jak niewiele warte jest zróżnicowanie, które polega głównie na tym, że identyczny co do zawartości treściowej komentarz ukazuje się równocześnie w pięciu wysokonakładowych gazetach. Nie ma demokratycznej polityki bez jej gruntownego umocowania w bycie społecznym, którego kapitalizm – wbrew kursującym legendom ideologicznym – nie tylko nie gwarantuje, lecz na odwrót: wypacza je i niszczy. W latach 1980-81, mieszkańcy Polski wierzyli, że losy padające w ich kraju ważą na szalach historii powszechnej. Wtedy jeszcze nie podejrzewali, czym jest podział świata na centrum i peryferie albo kapitalizm zależny.

Porzucając chylący się ku upadkowi realny socjalizm, uczestnicy ruchu „Solidarności” dotarli do brzegów nowego ustroju, który dla większości z nich okazał się krajem spustoszonego. A więc na tej pustyni nic nie przetrwało bez stu kwiatów Sierpnia 1980? Jeżeli znajdują się ludzie, którzy przed naporem piasku i kamieni będą się bronili dobrowolnym zrzeszaniem, to – być może – razem z teraźniejszością uratują sierpniową przeszłość.

Jacek Zychowicz



fot. ze zbiorów IPN, udostępniona przez Sławomira Cenckiewicz

# I 980

Jarosław Tomasiewicz

Gdy miałem naście lat i komunistyczne przekonania, wymarzyłem sobie robotniczą rewolucję w gierkowskiej Polsce. Rewolucję walczącą o urzeczywistnienie prawdziwie komunistycznych, proletariackich ideałów. Wyobraziłem sobie, że robotnicy zastrajkują, a na fabrycznych bramach zakwitną czerwone sztandary. I rewolucja wybuchła. Ale na bramach pojawiły się krzyże i flagi narodowe.

Stałem w obliczu wyzwania intelektualnego, odpowiedź na które zdeterminowała moją dalszą drogę życiową. W obliczu paradoksu – klasa robotnicza, mająca być opoką i beneficjentem socjalizmu, występuje przeciw temu socjalizmowi – musiałem wybrać: czy jestem z klasą robotniczą, czy z komunizmem. Wybrałem: uznałem, że pierwszeństwo mają realni ludzie przed abstrakcyjną ideą – i temu drogowskazowi pozostałem już wierny po dziś dzień. Oczywiście przełom nie nastąpił raptownie, nie stałem się Pawłem z Szawła w jedną noc. Początkowo łagodziłem szok zerwania z dotychczasowym światopoglądem wierząc, że to, przeciw czemu walczą robotnicy, to nie jest „prawdziwy socjalizm”, a oni prędzej czy później dojrzeją do ideologii marksistowskiej. Chciałem im w tym pomóc (choć, w ostatecznym rozrachunku, sam zostałem nawrócony).

Piszę to, by podkreślić, że mój stosunek do „pierwszej „Solidarności” był ambiwalentny, sympatia i podziw mieszały się z niechęcią. Skrupulatnie wyszukiwałem wszelkie lewicowe, demokratyczne, egalitarne wątki w „Solidarności” i jej otoczeniu, tropiłem w jej szeregach trockistów, anarcho-syndykalistów czy bodaj socjaldemokratów z równą pasją, co reżimowi propagandyści. Nie potrafiło to jednak zmienić faktu, że wśród członków i sympatyków „Solidarności” czułem się obco, niczym misjonarz na Czarnym Lądzie. Odstępowała mnie religijność postrzegana jako dewocja, raziły tendencje niepodległościowe i antyradzieckie, kojarzące mi się z nacjonalizmem, mierziło prozachodnie nastawienie ruchu. To rozdwojenie sprawiło, że nie dawałem się ponieść bez reszty fali ogólnonarodowego entuzjazmu – w tej masowej pieśni moje ucho wychwytywało zgrzytliwe dysonanse.

Grzechem pierworodnym „Solidarności” był w moich oczach zwłaszcza jej wynikający z niedojrzałości, zachłystnięcia się sobą, naiwności po prostu – radykalizm. Trudno się dziwić – nie da się w ciągu kilkunastu miesięcy nadrobić braków w demokratycznej i społecznej edukacji, która wszak na Zachodzie ciągnęła się przez dwa stulecia. Uczyliśmy się na błędach, błąkając po manowcach hiperdemokracji (jak na strajku studenckim, gdzie absolutnie wszystkie sprawy były rozstrzygane głosowaniami na niekończących się, chaotycznych wiecach). Ludzie wierzyli, że wszystko jest możliwe, że np. uwolnienie gospodarki spod dyktatu PZPR i ZSRR zapewni automatyczny dobrobyt. W pewnym dowcipie załoga jednego z zakładów przegłosowała, że pracować będzie tylko we wtorki; natychmiast po ogłoszeniu tej decyzji z tylnych rzędów pada pytanie: „We wszystkie?”. Do tego dochodził antysowietyzm i antykomunizm przyjmujący formy wręcz paranoiczne – za prawdziwą uważano najbardziej absurdalną wiadomość, byle była niekorzystna dla Tamtych (np. jeden z moich znajomych z pełną wiarą opowiadał mi, jak to

z czaszki Lenina wylała się cuchnąca zielonkawa ciecz, która wypełniała jego puszkę mózgową). Przekonanie, że wystarczy tupnąć, by imperium sowieckie rozsypało się jak domek z kart, tragicznie zaważyło na losach „Solidarności”. Postępujące w coraz szybszym tempie upolitycznianie ruchu i jego radykalizacja sprawiały, że zaczynał tracić on kontakt z coraz bardziej zmęczonym społeczeństwem. W tym dopatruję się względnej słabości oporu wobec stanu wojennego.

Przeminięło interludium jaruzelszczyzny, ale z „Solidarnością” czasu Okrągłego Stołu jeszcze trudniej było mi się utożsamiać. Tu w pełni sprawdziło się znane powiedzenie Marksa, że historia się powtarza: za pierwszym razem jako opera, za drugim jako operetka. Nowa „Solidarność” była cieniem starej – cieniem wyblakłym, wyjałowionym, anemicznym, pozbawionym tego żaru i mocy, jaka cechowała poprzedniczkę. To wszystko sprawiło, że w pełni z ideami „S” z lat 1980-81 utożsamiałem się dopiero kilkanaście lat po Rewolucji Sierpniowej, gdy ta „Solidarność” zniknęła już w mroku historii. Niestety – wciąż się spóźniam. Zazdroszczę tym, co zawsze szli z duchem czasu: przed dekadą Gierka byli marksistami (choćby „rewizjonistycznymi”), w latach 80. katolikami niepodległościowcami, w Trzeciej Rzeczypospolitej neoliberalami, a dziś zaczynają dyskretnie łypać okiem ku „alterglobalizmowi”. Zawsze na fali – nigdy nie poczuwający się do odpowiedzialności za swoje czyny w poprzednich wcieleniach. A ja, pod prąd modzie, wygrzebuje z zakamarków szaf zakurzone samizdaty z lat 80., wyczytuję z nich myśli może czasem naiwne i nieporadne, ale wciąż oryginalne.

Ideologia pierwotnej „Solidarności” była czymś wyjątkowym. W pamięć zapadło mi zdanie jakiegoś zachodnioniemieckiego publicysty – skwapliwie cytowane przez „Trybunę Ludu” – że dla takiego ruchu nie ma miejsca na scenie politycznej RFN: dla lewicy jest nazbyt nacjonalistyczny i klerykalny, natomiast dla prawicy to lewacki anarcho-syndykalizm. Ale to, co w oczach doktrynerów (w tym także moich w tym czasie) wygląda absurdalnie, przez zwykłych ludzi odbierane jest jako oczywistość. Niedługo przed Sierpniem omawiano w „Polityce” wyniki badań socjologicznych, konstatując ze zdumieniem, że światopogląd przeciętnego Polaka to eklektyczna mieszanina elementów egalitarno-socjalistycznych, narodowo-chrześcijańskich i liberalnych. „Solidarność” tworzyli właśnie tacy zwykli ludzie, bez politycznego doświadczenia, bez ideologicznych kłapek na oczach. Brak kompleksów – wynikający właśnie z tej ideowej dziewiczości – pozwolił im spontanicznie wypracować ideologię, która odpowiadała polskiemu warunkom. Ani socjaldemokratyzm KOR, ani wojowniczy nacjonalizm KPN, ani oazowa religijność nie były w stanie samodzielnie zapewnić sztandaru społeczeństwu zorganizowanemu w „Solidarności”. Chorągiew, która załopotiała nad dziesięciomilionowym ruchem, była pozyszwana z fragmentów najróżniejszych flag.

„Solidarność” ówczesna czerpała, zapewne bezwiednie, z nie mniej niż czterech źródeł: katolicyzmu, liberalizmu, socjalizmu i nacjonalizmu (czy też patriotyzmu, jak kto woli). „Solidarność” była chrześcijańska nie tylko w sferze symboliki, nie tylko w przywiązaniu do tradycyjnej obczy-

jowości; była też chrześcijańska „z ducha”: z tego wyrastał zarówno jej pacyfizm, jak i specyficzny moralizatorski ton, „ethos”. Liberalny filar „S” to obrona praw człowieka i egzekwowanie swobód obywatelskich, samoorganizacja społeczna, a docelowo upodmiotowienie społeczeństwa poprzez przywrócenie mu suwerenności w państwie. Socjalistyczny był w „Solidarności” egalitaryzm i dążenie do upodmiotowienia pracy poprzez samorządność – cechy zapomniane w czasach, gdy „człowiekiem Sierpnia” okazał się być Balcerowicz. Pierwiastki narodowe wreszcie to obrona historyczno-kulturalnej tożsamości narodu i jego politycznej niepodległości; warto tu zwrócić uwagę, że „Solidarności” udało się trudna sztuka odcezenia ksenofobii od patriotyzmu.

Leszek Kołakowski zapytał kiedyś, jak być liberalno-konserwatywnym socjalistą. Miała to być w zamierzeniu błyskotliwa prowokacja intelektualna, prowadząca wszakże do konstatacji, że twór taki w praktyce nie jest możliwy. „Solidarność”, rzecz można, odpowiedziała pozytywnie – i to na skalę masową! – na pytanie postawione przez filozofa. Czyżby miała to być najwyższa synteza wszystkich wielkich idei, kończąca erę wojen między ideologiami? Tak zdawał się sugerować Wojciech Giełżyński w swej niesłusznie zapomnianej książce „Ani Wschód, ani Zachód” z 1987 r., pisząc o „zaczynie syntezy”. Do owej syntezy jednak nie doszło. Chyba najbardziej dopracowaną formułę tej ideologii zaprezentowała w latach 80. Solidarność Walcząca i jej polityczna przybudówka Wolni i Solidarni. Dziś jednak już nikt o nich nie pamięta...

Prawa polityki są bezwzględne – w miarę dojrzewania, krzepnięcia dochodzi do polaryzacji. Wchodzący w świat polityki nowi aktywiści nie zaprzatają sobie głowy tworzeniem oryginalnej ideologii (czy bodaj jej pielęgnowaniem), tylko sięgają po sprawdzone wzory, wchodzą w utarte koleiny. W rezultacie w „Solidarności” też zaczęły się krystalizować różne nurty (socjaldemokratyczny, katolicki, niepodległościowy, nacjonalpopulistyczny), ale do stanu wojennego pozostała ruchem pluralistycznym i wielonurtowym, bodaj jedynym, w którym obok trockistów działali endecy.

Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. Ale zraszanie z tego powodu łzami pożółkłych szpargałów nie ma najmniejszego sensu. Muzea są potrzebne jako punkty odniesienia, ale nie można w nich spędzać życia. „Trzeba z żywymi naprzód iść!”. Sentymalna Panna S. była piękna nie dlatego, że w taki właśnie a nie inny zestaw idei była odziana. Fascynowała intelektualistów i porywała masy, bo była autentyczna i spontaniczna, nie zawracała sobie głowy dogmatami, wyrastała z realiów, z życia. Przyniosła niezapomniane poczucie wspólnoty, szczególnie cenne w naszych czasach atomizacji i egoizmu, w tej Nowej Epoce Lodowcowej.

Jarosław Tomaszewicz



Wielu ludzi krytykuje dzisiejszą NSZZ „Solidarność” za działania części jej przywódców, za znaczne odejście od ideałów roku 1980. Trudno im nie przyznać racji. Doskonale wiemy, jak bardzo brakuje demokracji w naszym Związku, jak duża jest władza biurokracji związkowej, jak często lokalni przewodniczący eliminują mechanizmy demokratycznej kontroli, wchodzą w zażyłe układy z pracodawcami, nie zwołują statutowych władz Związku, utajniają dokumenty, fałszują protokoły, eliminują wartościowych ludzi. Jednak odważył się napisać, że jest to w tej chwili najbardziej demokratyczna organizacja społeczna i polityczna w Polsce. Jedyna, która odwołuje się do doświadczenia jawności w najtrudniejszych sytuacjach.

Demokracja nie jest kwestią deklaracji i haseł, lecz praktyki. Historia „Solidarności” jest ważną lekcją nie tylko tego, jaką siłę stanowi solidarność międzyludzka, lecz także tego, jakie czynniki doprowadziły do kryzysu ruchu „Solidarności” i jego częściowej porażki. Porażką niewątpliwie było – i jest nadal – społeczne odrzucenie w wyniku „reformy gospodarczej” (zwanej reformą Balcerowicza) znacznej części obywateli III RP. Lekcja ta jest ważna szczególnie dzisiaj.

## I. NSZZ „Solidarność” i upadek systemu PRL

Strajki latem 1980 r. zaczęły się od postulatów podwyżki płac. W Stoczni Gdańskiej dodano postulat przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy. Stocznia stanęła, do niej zaczęły się przylączać inne zakłady pracy Wybrzeża. Bunt w imię „chleba” stał się zagrożeniem dla systemu. Po kilku dniach, 15 sierpnia 1980 r., władza ustąpiła. Zgodziła się na podwyżkę płac w Stoczni o 1500 zł. Powiedziano: „Zwyciężyliśmy, rozchodzimy się do domu”. Wtedy pojawiły się delegacje z sąsiednich zakładów: „zostawiliście nas, zdradzili”. Alina Pieńkowska i Anna Walentynowicz zatrzymały wychodzących stoczniovców. Następnego dnia strajkujący wrócili, powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i słynne 21 postulatów. Pierwszym punktem była teraz: „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych”. „Podwyżka płac o 2000 zł, jako rekompensata wzrostu cen”, wróciła jako punkt 7. Ostatecznie wynegocjowano 800 zł, ale już dla całego kraju. Stała się cała Polska, wszyscy nasłuchiwali, co się dzieje w Gdańsku, potem Szczecinie i Jastrzębiu.

W Stoczni Gdańskiej, sala BHP została zajęta przez liczącą już ponad 100 osób MKS. Z delegacją rządową negocjowało wybrane Prezydium MKS. Jawnie, na oczach całego MKS-u. Głośniki przekazywały negocjacje bezpośrednio do wszystkich na terenie całej Stoczni. Tu nie można było dogadać się w cztery oczy, tu trzeba było mówić otwarcie, aby gra była uczciwa. Charakterystyczna sytuacja zdarzyła się już prawie na końcu. Rząd nie chciał się zgodzić na postulat 4: zwolnić wszystkich więźniów politycznych, w tym członków Komitetu Obrony Robotników. Lech Wałęsa i doradcy nie wierzyli, że się uda, Andrzej Gwiazda nie chciał ustąpić, słysząc było narastające niezadowolenie całej sali BHP i stoczniovców na zewnątrz. Premier Jagielski ustąpił, nie miał wyboru. Taka demokracja oparta na jawności była siłą MKS-u. To najważniejszy wniosek z tej lekcji historii.

Zwycięstwo. Wszyscy przestaliśmy się bać. Podnieśliśmy głowę. Po kilku miesiącach do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” należało już 9,5 miliona ludzi. PZPR-ia i ich poplecznicy już nie byli tacy butni. Zresztą, sporo szeregowych członków PZPR wstąpiło do naszego Związku. Euforia – „festiwal Solidarności”.

I nastąpił 13 grudnia 1981. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRONA) ogłosiła stan wojenny. Naszą odpowiedzią było gromadzenie się w dużych zakładach pracy i strajki okupacyjne. Taktyka ta, z jednej strony, wynikała z chęci uniknięcia ofiar takich, jak

# Nie ma wolności bez solidarności

Julian Srebrny,  
Marian Srebrny

w 1970 roku, z drugiej, niestety, ułatwiała koncentrację ZOMO i wojska do tłumienia poszczególnych strajków okupacyjnych. Internowano i aresztowano ponad 6 tys. osób. Zostało zamordowanych kilkadziesiąt, w tym kilku księży. Do dzisiaj większość zabójców pozostaje bezkarna.

W lutym 1982 r. pod osłoną stanu wojennego ogłoszono ogromną podwyżkę cen: podstawowe produkty podrożały o kilkaset procent. Szybko pojawiły się nielegalne gazetki, „Solidarność” zesłała do podziemia. Najaktywniejsi ludzie skupili się na wyciąganiu swoich kolegów z więzień i internowania. Sprawa „wolności” przeważała nad „chlebem”. Ale na razie nie było ani chleba, ani wolności.

**Długo trwała konspiracja siłą rzeczy zniszczyła demokrację wewnątrzwiązkową.** Nie można było przeprowadzać regularnych wyborów, zebrań, konsultacji. Wszystkie decyzje musiały być podejmowane przez wąskie grupy ludzi, im mniej liczne, tym trudniejsze do wykrycia. Nie można było jawnie, publicznie podejmować decyzji. Nie mogło być mowy o demokratycznej kontroli członków „Solidarności” nad decyzjami przywódców. Dziewięć milionów związkowców nie mogło aktywnie konspirować. Można było czytać bibułę i płacić składki związkowe, ale niewiele więcej. Terror WRON-y, trudne warunki życia i zmasowana propaganda zrobiły swoje. W roku 1988 było już przede wszystkim zmęczenie narodu. Sukcesem władzy, choć nie zdobyła ona wiarygodności, było doprowadzenie do zubożenia, do znacznego zmniejszenia aktywności społecznej. Z jednej strony konieczność „okrągłego stołu”, porozumienia elit, dążenie do pokojowego przejścia choćby części władzy. Z drugiej strony, zupełnie niespodziewanie dla podziemnej „Solidarności”, nierozwiązane problemy, przede wszystkim nie wystarczające na utrzymanie niskie zarobki, stały się w roku 1988 motorem następnej fali strajków. W Nowej Hucie i w Stoczni w Gdańsku strajki rozpoczynali robotnicy o niemal 10 lat młodszy od pokolenia 1980 roku.

Wywalenie prawa do ponownej legalizacji NSZZ „Solidarność” oraz częściowo wolnych wyborów do Sejmu i całkowicie wolnych do Senatu, zmobilizowało cały naród. Dowodem był masowy udział w wyborach w czerwcu 1989 r. i całkowite zwycięstwo wyborcze obozu solidarnościowo-niepodległościowego.

Niestety, po bezapelacyjnej wygranej w wyborach czerwcowych 1989 r., zwycięskie elity polityczne zrobiły wszystko, aby nie dopuścić do demokracji i jawności – mówiło się, że „ciemne masy” nie zrozumieją liberalnej reformy gospodarczej i będą przeszkadzać. Nie był potrzebny silny Niezależny Samorządny Związek Zawodowy

„Solidarność”. Ideologowie liberalnej reformy nawoływali, aby nie wstępować do naszego Związku, bo... „to nie ten sam ruch społeczny, co w 1980 roku”, „teraz nie jest potrzebny związek zawodowy”. Nasiliło się to szczególnie po odebraniu „Gazecie Wyborczej” prawa do znaku „Solidarności”. Zaczęło się propagowanie krańcowego indywidualizmu. Ideałem mieli być ci, którzy potrafili ukraść pierwszy milion, oni mieli być motorem rozwoju Polski. Elity okrzyknęły strajkujących związkowców „hamulcowymi”: stoczniovców, górników, pielęgniarki, nauczycieli... A oni nie chcieli poświęcać się dla idei wolnego rynku, ponieważ groziła im bieda lub utrata pracy. Władza robiła wszystko, by nie dopuścić do protestów. A przecież strajk to też element wolnego rynku. Strajkujący okazują siłę kapitału ludzkiego.

W reaktywowanym NSZZ „Solidarność” było nas ok. 3 miliony. To była duża siła. Pierwszy po stanie wojennym Krajowy Zjazd Delegatów w 1990 r. nie wysłuchał sprawozdania ustępujących władz, nie zaproszono nawet członków Komisji Krajowej. Sądźmy, że jednym z powodów takiego złamania zasad demokracji wewnątrzwiązkowej była chęć niedopuszczenia Związku do oceny „reformy Balcerowicza”. Była to reforma całkowicie inna niż dotychczasowy społeczno-gospodarczy program „Solidarności”. Stanowiło to swe go rodzaju zamach stanu wewnątrz „Solidarności”.

Pierwszym sygnałem nieufności pracowników wobec tej reformy było wystąpienie Małgorzaty Calińskiej z wrocławskiego Polar, ostatniej nocy Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”. Około piątej nad ranem Małgorzata powiedziała: *„Wy sobie nawet nie wyobrażacie jakie strasznie rzeczy nam oni szykują...”*. W dobranym Prezydium Komisji Krajowej zadban o, by w imieniu Związku trzymać parasol nad tą reformą gospodarczą. Zrobiono wszystko, aby Związek nie wypowiedział się na temat reformy. Zaś Sejm w ekspresowym tempie (przez 11 dni) zaakceptował 10 całkowicie nowych ustaw wprowadzających „reformę”. Posłowie w większości nie wiedzieli do końca, za czym głosują. Szczegółowe relacje Ryszarda Bugaja odsłaniają mechanizmy nacisków ze strony natchnionych ideologicznie popleczników tej reformy. Parasol polegał m.in. na umożliwieniu Leszkowi Balcerowiczowi uchylecia się od dyskusji. Ceną za to są nie tylko 3 miliony bezrobotnych, ale także znaczna utrata dobrego imienia przez NSZZ „Solidarność”.

Narastające niezadowolenie społeczne pierwszy w środowisku elit politycznych wyczuł Lech Wałęsa. W maju 1990 r. na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego oświadczył, że *„wojna na górze” jest potrzebna, „bo /.../ jeżeli spokój jest u góry, to na dole jest wojna. Dlatego zachęcam państwa do wojowania”*. Widocznym sygnałem narastającego niezadowolenia był wynik pierwszej tury wyborów prezydenckich w grudniu 1990. Przypadkowy kandydat Stan Tymiński, wyraźnie kwestionujący ten kierunek gospodarczych prze-



mian, otrzymał około 25% głosów i wygrał z Tadeuszem Mazowieckim, urzędującym premierem i symbolem zmian. Elity polityczne całkowicie nie zrozumiały tego sygnału. „Naród oszalał” – powiedział jeden z czołowych polityków.

Także NSZZ „Solidarność” zaczął „zdejmować parasol znad reformy”. Podajemy kilka faktów w postaci kalendarium:

- Marzec 1990 – w Warszawie doszło do jedynej w ciągu ostatnich 15 lat publicznej konfrontacji z wicepremierem L. Balcerowiczem. Brali w niej udział przedstawiciele Komisji Zakładowych przemysłu Regionu Mazowsze. Zarzucano rządowi dążenie do likwidacji wielu gałęzi polskiego przemysłu i wywołania bezrobocia na dużą skalę. Leszek Balcerowicz już nigdy więcej do takiej konfrontacji nie dopuścił. Do dziś nie było ani jednej publicznej dyskusji Balcerowicza z jakimkolwiek ekonomistą o poglądach innych niż liberalne (co ciekawe, w relacji z tamtego spotkania Polskie Radio w programie I przekazało wyłącznie wypowiedzi wicepremiera).
- Luty 1991 – na obradach Komisji Krajowej dyskutowano o ewentualnym ogłoszeniu strajku generalnego w związku z pominięciem postulatów „Solidarności” przy nowelizacji „popiwku”. „Popiwek” był jedną z trzech kotwic tej reformy, mechanizmem utrzymania niskich płac pracowników przedsiębiorstw państwowych, niezależnie od ich wyników ekonomicznych. Miał sztucznie doprowadzić do wymuszenia zgody załóg na prywatyzację (jakąkolwiek). Powołano komisję do rozmów z rządem oraz postulowano przyspieszenie prac parlamentarnych nad pakietem ustaw związkowych.
- Maj 1991 – pod hasłami przyspieszenia reform i osłony najuboższych, rozliczenia komunistycznej nomenklatury, przedstawienia społeczeństwu realnych perspektyw rozwoju kraju oraz podjęcia przez rząd „rzeczowych rozmów” z „Solidarnością”, odbył się ogólnokrajowy dzień protestu. Na apel Komisji Krajowej odpowiedziało ok. 80% komisji zakładowych (oflagowanie zakładów, wiece i krótkie strajki).
- Początek 1993 – spór zbiorowy i strajk pracowników sfery budżetowej. Długotrwały upór rządu i brak woli porozumienia doprowadził, na wniosek „Solidarności”, do upadku rządu premier Hanny Suchockiej.

Aktywność NSZZ „Solidarność” w obronie pracowników rosła i malała w zależności od „odległości” jego przedstawicieli wobec struktur władzy. Po podjęciu decyzji o nieangażowaniu się w działania bezpośrednio polityczne, Związek aktywniej angażuje się w obronę praw pracowniczych. Powoli odzyskuje autorytet. Podstawowa działalność Związku dotyczy obecnie negocjowania układów zbiorowych i wysokości płac, przeciwdziałania likwidacji zakładów pracy, a przede wszystkim walki z niepłaceniem należnych wynagrodzeń oraz łamaniem innych praw pracowniczych. Nacisk 800 tys. pracowników należących do NSZZ „Solidarność” powoduje, że biurokracja związkowa musi się wykazać zainteresowaniem tymi problemami i próbami ich rozwiązywania, choćby pozorowanymi. Przykładem pozytywnym może być założenie organizacji zakładowych NSZZ „Solidarność” w wielu hipermarketach, gdzie poniżanie i elementarne oszukiwanie pracowników jest zjawiskiem niemal powszechnym. Udało się to m.in. dzięki kontaktom ze związkami zawodowymi działającymi w tych samych sieciach hipermarketów w Europie Zachodniej. Przede wszystkim jednak dzięki tradycji NSZZ „Solidarność”.

## II. Solidarność międzyludzka – przezwyciężenie systemu III RP

Aby przeciwstawić się agresywnej propagandzie egoizmu, potrzebny jest powrót do wartości roku 1980. Są to: solidarność międzyludzka, wspólne działanie i wzajemne wspieranie się, jawność działania oraz przezroczystość wszystkich struktur organizacyjnych (związkowych, administracyjnych, samorządowych itp.). To jest droga do ograniczania wszechobecnych dziś „przekrętów” i korupcji.

Musimy pokazać, że pomagając sobie wzajemnie, jesteśmy mocniejsi, że każdy z nas dzięki temu sam też będzie miał lepiej. Trzeba to pokazać na poziomie pojedynczego człowieka, a nie wielkich partii czy systemów politycznych. Należy zacząć od solidarności w skali lokalnej – wśród kolegów w pracy, sąsiadów w bloku, pracowników instytucji, studentów w akademiku i na wydziale w uczelni. Nie muszą to być jednolite struktury. Można próbować wewnątrz NSZZ „Solidarność” czy choćby w oparciu o lokalne struktury „Solidarności”. Można w samorządzie studenckim lub osiedlowym. Wbrew pozorom, w spółdzielczości mieszkaniowej prawo i formalne reguły gry są bardzo demokratyczne. Ze względu na nikłą aktywność poszczególnych mieszkańców spółdzielni, zarządy i rady nadzorcze są opanowane przez większych i mniejszych cwaniaczków, często wywodzących się ze starej nomenklatury spółdzielczej. Można jednak domagać się jawności decyzji i informacji finansowych. Zawiadomienie o tym choćby tylko mieszkańców swojego bloku może być początkiem samoorganizacji społecznej. Porozumienie uczciwych ludzi z kilku bloków może zagrozić lokalnym mafiom i nomenklaturze spółdzielczej. Musimy tylko przełamać niechęć i strach przed wspólnym działaniem, zanegować popularne powiedzenie, że w Polsce wszyscy kradną i dają łapówki. Kluczowe i nośne jest dbanie o jawność wszystkich decyzji i przezroczystość ich podejmowania.

Powróćmy do tego, co działo się w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 w czasie negocjacji z rządem. Przykład jawnych obrad Sejmowej Komisji Śledczej w sprawie afery Rywina dowodzi, że już sama jawność obrad ma olbrzymi wpływ na opinię publiczną i na elity polityczne. Teraz jest łatwiej niż w 1980 roku, ponieważ formalnie trudniej nam coś zakazać. Poza tym, łatwiej drukować informację, szczególnie w małym nakładzie. Można też wykorzystać Internet, a nawet SMS-y do szybkiego przekazywania wiadomości. Przeszkodą jest przede wszystkim powszechne zobojętnienie i atomizacja, brak wiary w przyszłość i nieufność wobec ludzi podejmujących działalność społeczną.

Pamiętajmy, że „Nie ma wolności bez solidarności”, ale też „Nie ma wolności bez chleba” oraz „Nie ma chleba bez wolności”. Bez wolności ekonomicznej i politycznej system jest całkowicie niewydajny, nie jest w stanie zapewnić „chleba”. Wolność, którą podobno teraz się cieszymy, dla większości społeczeństwa jest fikcją. Człowiek zagrożony utratą pracy lub już bezrobotny i pozbawiony „chleba”, nie może korzystać z należnych mu praw. Niepotrzebna mu demokracja lub po prostu w nią nie wierzy. W sytuacji, w której państwo oraz środki masowego przekazu nie są już instrumentem gwarantowania prawa do godnego życia, lecz stają się narzędziami tylko elit władzy, jedynie solidarność międzyludzka może doprowadzić do autentycznej zmiany, doprowadzić do podważenia obecnej struktury władzy.

Julian Srebrny, Marian Srebrny

# Myśląc o Sierpniu

**Tomasz Szczepański**

Z perspektywy 25 lat wydarzenia 1980 r. jawią się jako jeden z najważniejszych faktów w burzliwej polskiej historii XX wieku. Myślę, że tak samo będą oceniane z perspektywy tysiącletniej, kiedy to nieunikniona skrótość spojrzenia wymusi na przyszłych pokoleniach pominięcie nie tylko szczegółów, lecz także wielu pierwszoplanowych dla tego zdarzenia postaci i zredukuje ten złożony fakt historyczny do kilku symboli.

Myśląc dzisiaj o Grunwaldzie nie pamiętamy, że zwycięstwo to było politycznie zmarnowane przez ówczesne kierownictwo państwa w osobie Jagiełły – myśleliśmy tylko o psychologicznym przełomie i początku końca naszego śmiertelnego wroga. Podobnie, myśląc o Sierpniu przyszłe pokolenia nie będą pamiętać np. tego, że trzej główni przywódcy komitetów strajkowych, którzy podpisali porozumienia z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia byli agentami SB. Znaczenie tych wydarzeń przerasta osoby, które brały w nim udział.

Myśląc o Sierpniu winniśmy mieć na uwadze, że był on przejawem tych cech, które w naszej zbiorowości przejawiają się rzadko i właśnie dlatego ich masowe wystąpienie powinno być pamiętane. W trakcie wydarzeń sierpniowych i późniejszych lat wystąpiły też cechy inne – te, które od XVI w. ciągną w dół naszą zbiorowość, ale ich działanie jest naturalne, a zatem nie może budzić ani zdziwienia, ani podziwu. Z tych negatywnych cech można wymienić przesadne zaufanie do przywódców, płynące nie tylko z faktu, że polska kultura polityczna jest kulturą gestu, lecz prawie zawsze będące odbiciem braku wiary zbiorowości i jej członków w siebie samych.

Pierwszą cechą godną uwagi jest roztropność, jaką okazali nie tylko liderzy Sierpnia – niektórzy z nich bowiem często, jak Wałęsa czy jego inteligentni doradcy, dawali w gruncie rzeczy pokaz małoduszności – lecz przede wszystkim masy strajkujących. Rozwaga ta płynęła także z krwawych doświadczeń wcześniejszych robotniczych protestów. Także groźba sowieckiej interwencji nakazywała umiar wszystkim – nawet ekipie rządowej, bo interwencja byłaby także jej końcem. Niemniej rys umiaru podczas wydarzeń sierpniowych jest wyraźny i godny podkreślenia.

Zauważalne jest w Sierpniu wyciągnięcie przez jego uczestników wniosków z historii. Decyzja robotników o pozostaniu w zakładach pracy i niewychodzeniu na ulice, była efektem doświadczeń roku 1956 i zwłaszcza 1970. Ale ostrożność i chęć porozumienia ze strony związkowców pomimo prowokacji w wykonaniu PZPR miała za podkład inne doświadczenia narodu w XX w., nakazujące mu dokładne liczenie ubytków i zysków, i zalecające pamięć o stratach, jakie mogą powstać w razie błędów w rachubie. Nad Sierpniem '80, będącym w istocie swoich skutków bezkrwawym powstaniem narodowym, unosił się cień warszawskiego Sierpnia '44.

Sierpień to także demonstracja jedności narodu ponad podziałami klasowymi i regionalnymi. Ci robotnicy, którzy do swoich postulatów dopisywali żądania środowisk nie mogących strajkować z racji specyfiki zawodowej (jak np. pielęgniarki) dali dowód myślenia nie tylko w kategoriach wąsko rozumianego interesu własnej branży czy nawet grupy społecznej. To samo dotyczy postulatów swobód kulturalnych i religijnych, mających jednak charakter ponadklasowy.

Pamiętajmy, że działo się to w systemie, którego oficjalna ideologia przez 35 lat wpajała wagę identyfikacji klasowej, pomniejszając narodową. Dodatkowo czysto pragmatycznie (a z punktu widzenia interesu narodowego – skrajnie nieodpowiedzialnie) ekipy rządzące z PZPR manipulowały wykorzystując uprzedzenia regionalne, np. między Śląskiem a resztą kraju. To wraz z powyższym znaczeniem doświadczenia historycznego, uwidocznionym w Sierpniu, wyraźnie pokazało, że dla człowieka większe znaczenie ma tworzona przez jego zbiorowość rzeczywistość historyczna i płynące z niej wnioski niż rozwiązania wynikłe z rozważań filozofów, wierzących (jak marksiści), że znaleźli klucz do sensu dziejów. Zwłaszcza, że te rozważania kasta rządząca z nadania obcych wykorzystywała czysto instrumentalnie.

Sierpień '80 z perspektywy lat jawi się jako doświadczenie ważne nie tylko dla Polaków, lecz także dla całego świata. To jedno z nielicznych wydarzeń, dzięki którym nasz naród wpłynął na oblicze planety. Wydarzenia te zapoczątkowały bowiem erozję komunizmu, systemu, który jeszcze w latach tuż przed omawianymi wydarzeniami miał nadzieję na podbój świata. Pamiętajmy, że poprzez swoje obietnice, pewną atrakcyjność intelektualną, a także powiązanie doktryny z prawdziwymi problemami społecznymi, marksizm był ruchem poważnie traktowanym jako propozycja społeczna w wielu częściach świata, zwłaszcza tam, gdzie nie panował. Jego masowe odrzucenie przez robotników, których interesy rzekomo wyrażał, w kraju, gdzie rządzono w jego imieniu przez dziesięciolecia – było ciosem w samo serce tej ideologii. Stan wojenny rozbił wyrosły z Sierpnia '80 ruch robotniczy i społeczny, ale ideologia, której jedynym argumentem są czolgi, sama daje dowód swojej martwoty.

Ponieważ komunizm zagrażał całemu światu, zadanie mu tak mocnego ciosu w Polsce miało znaczenie dla wszystkich, a przynajmniej dla tych cywilizacji, którym zagrażał realnie. W tym sensie ruch wyrosły z polskich problemów zdobył znaczenie ogólnoludzkie.

Z tym wszystkim, co powiedziałem, Sierpień, a także to, co zostało z jego spuścizny, jest jednak także dowodem na przyrodzoną Polakom jako zbiorowości umiejętność marnowania szans i niezdolność do działań konsekwentnych i długofalowych. Nie zdołaliśmy wykreować w świecie mitu Sierpnia, będącego naszą wizytówką z braku Nokii czy Mercedesa. Symbolem upadku komunizmu jest w świecie upadek muru berlińskiego, wydarzenie późniejsze i zaistniałe przecież także dzięki naszemu Sierpniowi. 15 lat po odzyskaniu swobody ruchów w tej dziedzinie, nie prowadzimy „polityki historycznej” – jak byśmy nie wiedzieli, że w świecie mediów mniej liczy się prawda niż masowe wyobrażenie o niej. I jak byśmy nie mieli przykładów narodów, które z wykreowanych mitów historycznych uczyniły jeden z elementów swojej potęgi. Polak zbiorowy jeszcze raz okazał się zdolny do wspaniałego zrywu, lecz słabszy w działaniach wymagających pracy, konsekwencji i wytrwałości.

**Tomasz Szczepański**

# 25 LAT Bezdroża „Solidarności”

- z prof. Tadeuszem Kowalikiem  
rozmawia Andrzej Zybała

Był Pan przy narodzinach „Solidarności”, uczestniczył Pan w gremiach doradczych Związku. Co przetrwało z wartości, które w latach 80. towarzyszyły ludziom zaangażowanym w jego funkcjonowanie?

T.K.: Z pierwszej „Solidarności” pozostało bardzo niewiele, tylko gdzieś na marginesach ludzie dopominają się o jej wartości. Paradoksalnie, mit „Solidarności” najgłębiej pozostał zakorzeniony na Zachodzie. O „Solidarności” mówi się, że był to bezprecedensowy ruch społeczny, który poderwał Polaków do życia politycznego i dał dobry przykład kompromisu i zawierania porozumień społecznych. Oczywiście, nie odbyło się to bez „spłaszczenia”: amerykańska propaganda – także władz USA – postrzegała i przedstawiała „Solidarność” tylko jako ruch narodowo-wyzwoleńczy, a nie pracowniczy. Ale i taki ruch był dostrzegany i popierany, zwłaszcza przez bardziej lewicowe związki zawodowe. Natomiast jeśli chodzi o kraj, to pod koniec lat 80. nawet Wałęsa uważał, że zbyt silna „Solidarność” będzie przeszkodą w przeprowadzaniu radykalnych reform. Dlatego inni przywódcy zarzucali mu, że nie był zainteresowany odtwarzaniem „Solidarności” w takiej skali, w jakiej mogłoby to mieć miejsce.

Ale odradzająca się „Solidarność” była inna także z dwóch odmiennych powodów. Po pierwsze, jak dowiódł Karol Modzelewski, nielegalna „Solidarność” z natury rzeczy przeobraziła się w kadrowy ruch o charakterze głównie antykomunistycznym. Po drugie, wielu przywódców i doradców „Solidarności” odeszło ze Związku, a następnie przeszło do struktur władzy i struktur partyjnych, osłabiając intelektualnie organizację. Została ona niejako pozbawiona głowy. Gdy pisałem artykuł o tym, dlaczego opcja socjaldemokratyczna przegrała w Polsce, redaktor zbioru, w którym tekst miał się ukazać, podpowiedział mi słowo: „decapitated”, czyli pozbawiona głowy. Chodziło nie tylko o zmianę miejsc, o powstałe wówczas powiedzenie, że „punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia”. Pamięta Pan zapewne wyznanie Modzelewskiego, że długo nie mógł się oswoić z gwałtowną zmianą, o 180 stopni, poglądów jego wielu kolegów-działaczy. A to dotyczyło samej czołówki. I co więcej, nie tylko intelektualistów, ale także np. Zbigniewa Bujaka, choć jeden z jego zygzaków pozwolił mu napisać słynne: „Przepraszam za Solidarność”. Ale ostatecznie znalazł się w Unii Wolności. Co więcej, „na wejściu” pojawiła się książka ultraliberała F. A. Hayeka! Zresztą dla symetrii, to samo działo się po stronie (post)komunistycznej, czego przykładem był Mieczysław Wilczek, wicepremier w rządzie M. Rakowskiego albo Andrzej Wróblewski, minister finansów.



foto Archiwum

A zatem druga „Solidarność”, odtworzona po 1989 r., od początku była dość cherlawa. W dodatku, zarówno „Solidarność” jako związek zawodowy – podobnie jak i OPZZ – była manipulowana przez partie polityczne. No i mieliśmy dużo niezdrowej rywalizacji między samymi związkami zawodowymi. Dlatego na początku tak wiele było strajków i demonstracji poza strukturami formalnymi, bo właśnie związkowcy nie rozumieli interesów i konfliktów, które zaczęły się rodzić w trakcie transformacji.

A co z solidarnością przez małe „s”?

T.K.: Tej pozostało bardzo niewiele. Mówi się i pisze powszechnie o gwałtownym wzroście egoizmu. A jeśli Polacy przypominają o niej, to wytykając krajom zachodnim, że straciły chęć pomocy nam, zasłużonym Polakom, którzy obalili komunizm. Zapomina się u nas przy tym o istniejącym tam konflikcie między solidarnością z innymi a solidarnością, której wyrazem jest państwo opiekuńcze, o partycyjnym kodeksie pracy.

U nas „Solidarność” rozumiana jako mit egalitarny, pracowniczo-solidarnościowy, samorządny jest zmarginalizowana. Natomiast utwierdzają się dwie inne koncepcje tradycji związanej z „Solidarnością”. Jedna w duchu iście amerykańskim – tu „Solidarność” pojmowana jest jako droga do wolności, głównie zresztą gospodarczej. Druga, ta bardziej narodowa (nie tylko księdza Rydzyka) upowszechnia obraz „Solidarności” jako ruchu walki o narodową suwerenność, a zarazem antykomunistyczny. Nie muszę znać programu obchodów 25-lecia, by wiedzieć, które imprezy będą zdominowane przez jedną z tych dwóch orientacji. Nie wiem, jak głębokie i trwałe są te tendencje. Smutno mi, bo nie widzę możliwości powrotu do wartości dawnego ruchu „Solidarności” z okazji 25-lecia związku. Spodziewam się raczej wielkiej gali i tego, że prócz Wałęsy główni aktorzy będą raczej izolowani czy nawet niedopuszczani.

**Został Pan jednak zaproszony na oficjalne obchody.**

T.K.: Tak. Miałem duży problem z zaakceptowaniem zaproszenia, właśnie z tego względu. Ale przeważało u mnie zainteresowanie historyka i kombatanta.

Ale jeszcze o jednej tradycji muszę wspomnieć. Ilekroć pytam Chińczyków, skąd się wzięła ich autorytarno-rynkowa koncepcja transformacji, odpowiadają: „wyciągnęliśmy wnioski z negatywnego doświadczenia polskiej »Solidarności«...”

**Duża część ludzi »Solidarności« po 1989 r. dość szybko przesiadła się w fotele władzy i bardzo im się to spodobało, w każdym razie bardziej niż reprezentowanie interesów ludzi, którzy tego od nich oczekiwali.**

T.K.: Oni chyba nie tyle zaczęli reprezentować władzę, co raczej trzymać parasol ochronny nad władzą i jej reformami, nad „szokową terapią” Leszka Balcerowicza. Myśląc o skarleniu „Solidarności”, nie możemy zapominać o wielkim paradoksie: oto najbardziej masowy i najpotężniejszy ruch pracowniczy w Europie drugiej połowy XX wieku wypromował jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społeczno-ekonomicznych, o największym bezrobociu i ciągle rosnącej biedzie. Musiał więc zapłacić ogromną cenę. W Polsce poparcie dla szokowej terapii dano władzom „na talerzu”. Natomiast w Czechosłowacji, a potem w Czechach Vaclav Klaus musiał walczyć o poparcie społeczne. Dlatego prowadzono tam politykę gospodarczą znacznie bardziej pro-społeczną mimo skrajnie wolnorynkowej retoryki.

**Czesi budowali w gospodarce liberalny model, ale bardziej narodowy. Chcieli zachować gospodarkę pod kontrolą wewnętrzną.**

T.K.: Tylko początkowo. Potem otwarto kraj na kapitał obcy, bez polityki selektywnej. Najważniejsza jednak była troska o niskie bezrobocie i o znacznie wyższe niż w Polsce zabezpieczenie społeczne.



**Prof. Tadeusz Kowalik** (ur. 1926)

– ekonomista, wykładowca akademicki, zajmuje się m.in. analizą porównawczą systemów ekonomicznych, pracował m.in. w Polskiej Akademii Nauk, w roku 1968 wystąpił z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w latach 1956-1957 redaktor naczelny „Życia Gospodarczego”, od roku 1989 profesor nauk humanistycznych, od 1992 r. profesor ekonomii. Wykładał na uniwersytetach w Toronto, Nowym Jorku i Oksfordzie.

W latach 1956-1962 uczestnik Klubu Krzywego Koła. W latach 70. sygnatariusz kilku apeli do władz w obronie represjonowanych działaczy opozycyjnych. W sierpniu 1980 r. był doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, a następnie doradcą Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. W latach 1989-1992 współtwórca Solidarności Pracy, w roku 1992 współzałożyciel Unii Pracy i członek Rady Programowej tej partii. W roku 1998 współtwórca Stowarzyszenia Studiów i Inicjatyw Społecznych. Zwolennik socjaldemokratycznego modelu gospodarczego.

**A zatem wartości pierwszej „Solidarności” przestały mieć dawne znaczenie. Widać u nas gołym okiem, iż zwyciężyło przekonanie, że każdy powinien zabiegać o siebie. Stąd chyba pochodzi geneza tego rozszarpywania majątku, który pozostał po komunie.**

T.K.: Tak, to jest wpływ gospodarki wolnorynkowej, ona rozprasza siły społeczne, zmusza do egoizmu, do izolacji. Ludzie skazani są na samych siebie, na samoobronę.

**Ale nie wszędzie rywalizacja rynkowa przynosi takie skutki, jak u nas.**

T.K.: To prawda, lecz u nas zdołano zniszczyć związki zawodowe, praktycznie nie ma ich w prywatnym sektorze. Wobec tego nie ma forum, gdzie mogłyby się ujawnić istotne bolączki.

**Jak Pan interpretuje skrajny przeskok od ustaleń Okrągłego Stołu, gdzie nie było mowy o tak silnie liberalnych rozwiązaniach, do planu Balcerowicza, który montował ekipę przygotowującą drastyczne reformy. Co się stało?**

T.K.: Zobrazuję to sceną, która była dla mnie szokiem. Latem 1989 r. powróciłem z wykładów w nowojorskiej New School of Social Research. Nie tylko w tej uczelni, ale wśród inteligencji nowojorskiej w ogóle, Republikanie są traktowani jak reakcyoniści. I od razu trafiam do sali kolumnowej w Sejmie na wielką debatę programową zorganizowaną przez Obywatelski Komitet Parlamentarny (uważający się za emanację „Solidarności”). Na podium siedzą republikański senator, późniejszy kandydat na prezydenta Robert Dole z małżonką – też politykiem tej partii. Obok nich przez półtorej godziny peroruje Jeffrey Sachs zachęcając do wielkiego skoku w gospodarkę wolnego rynku... I jeszcze Jacek Kuroń broniący koncepcji Sachsa, chociaż z odmiennych pobudek (desperackiego optymizmu). A wyjeżdżałem kilka tygodni wcześniej z Warszawy mając w głowie porozumienie Okrągłego Stołu. Na ogół w takich sytuacjach zabieram głos, ale tym razem byłem tak zaszokowany, że zamurowało mnie.

W dokumentach Okrągłego Stołu przeważają rozwiązania związane z partycypacją pracowniczą, ochroną dochodów pracowniczych itp. Ale były tam też bardzo wolnorynkowe pomysły. Na przykład, zamierzano w ciągu dwóch lat stworzyć giełdę. A to oznaczało, że dopuszczano szybką prywatyzację, aby na tę giełdę coś wstawić. Miał się nią zająć Fundusz Majątku Narodowego. Ogólnie jednak nic nie zapowiadało polityki „skoku”.

Zasadnicza reorientacja nastąpiła między wyborami z 4 czerwca 1989 r., a wrześniem-październikiem. I zadziały różne czynniki. W nowych elitach władzy widoczny był zawrót głowy od sukcesów. Wiercono, że tak łatwo zdobyta władza przełoży się na wielki skok w gospodarce. Istniało przekonanie, że jeżeli otworzymy się gospodarczo na świat i pójdziemy w tym daleko, pozwalając na kontrolę międzynarodowym instytucjom finansowym – głównie Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu – to dostaniemy dużą pomoc. Domagano się wtedy 10 miliardów dolarów pomocy za cenę oddania kontroli zarówno w sferze stabilności, jak i zmian własnościowych w naszej gospodarce. W sens tych rozwiązań wierzyli nawet tak umiarkowani ludzie, jak prof. Witold



fot. ze zbiorów Zenona Kwoki

Trzeciakowski, który uczestniczył w opracowaniu memorandum brukselskiego z lipca 1989 r., w czym też Amerykanie odgrywali dużą rolę. Zresztą, był to już okres istnej powodzi amerykańskich doradców na ogół o podobnym zabarwieniu politycznym. Pamiętam, że nawet pewien doktorant chciał przeze mnie dotrzeć do rządu, bo miał receptę na reformy.

Oczywiście, w tym, co się działo miał swój udział także przypadek. Wybór padł na Leszka Balcerowicza jako wicepremiera ds. gospodarczych i ministra finansów, ponieważ wcześniej odmówił Witold Trzeciakowski, Cezary Józefiak i inni. A i sam Balcerowicz dopiero stawał się fundamentalistą rynkowym.

**A więc żeby skonstruować tak radykalny program, trzeba było dopiero człowieka w rodzaju Leszka Balcerowicza, który miał silnie ideologiczne podejście i patrzył na gospodarkę przez okulary podręcznikowych teorii.**

T.K.: No właśnie, ale nie była to tylko kwestia roli Balcerowicza. W grudniu 1989 r. rząd jednomyślnie przyjął jeden z trzech wariantów zaproponowanych przez ekipę Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Opowiedzieli się za nim też umiarkowany W. Trzeciakowski i Jerzy Osiatyński, który wtedy był jeszcze pod wpływem Michała Kaleckiego – ale wszyscy wybrali najostrzejszą, najdalej idącą wersję. Wierzyli, że im plan radykalniejszy, tym bardziej skrócony zostanie okres wyrzeczeń i oporu społecznego. Nie zapominajmy też, że program owego skoku został niemal jednomyślnie przyjęty przez kontraktowy Sejm, w którym większość należała do partii starego układu. Było to wielkie, ahistoryczne złudzenie, że tą metodą można stworzyć nowy ład społeczny oparty na zdrowych podstawach. A tymczasem metodą skoku i szoku może powstać tylko przez nikogo niechciany, chory, skorumpowany, klientelistyczny system, łamiący podstawowe reguły współżycia społecznego.

Również w dziedzinie zwalczania inflacji nie było potrzeby szokowej operacji. Nieco później ukazały się dwa opracowania, które podważają sens tak pojętej stabilizacji.

Michael Bruno (późniejszy zastępca szefa Banku Światowego), a potem Stanisław Gomulka wykazali, że na przełomie lat 1989 i 1990 nie było już pustego pieniądza na rynku, że popyt i podaż znalazły się w równowadze. Oczywiście ciśnienie na inflację było jeszcze spore, ale też szybko spadało. Dane za kolejne miesiące są bardzo wymowne. Inflacja w październiku – 53 procent, w listopadzie – 23 procent, w grudniu – 18 procent, czyli można było iść drogą stopniowych zmian także w kwestii zmniejszania inflacji. Niepotrzebne były tak gwałtowne wzrosty cen nośników energii o kilkaset procent.

#### Kto do Polski wprowadzał ludzi takich, jak Sachs?

T.K.: Co ciekawe, Sachsa do Polski zapraszał na początku 1989 r. jeszcze rząd Rakowskiego. Ale ten odmawiał, z powodu braku legalizacji „Solidarności”. Gdy sytuacja zmieniła się, przywiózł go George Soros, który sfinansował wyprawę. Ale znamienne, że nawet Soros opowiadał się – inaczej niż Sachs – za stopniową przemianą, co pamiętam z tekstu w „Życiu Gospodarczym”. Radził: najpierw uporać się z inflacją, potem przejdźmy do dalszych zmian.

**Problemy, które dzisiaj mamy, to w znacznym stopniu rezultat sposobu myślenia o Polsce, ale także wypadkowa tego, jacy ludzie zabrali się za transformację. Pan zna osobiście wiele osób, które tworzyły struktury władzy po 1989 roku.**

T.K.: Współpracowałem z wieloma z nich w tzw. Łatającym Uniwersytecie (Towarzystwie Kursów Naukowych) – z Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremkiem, który był przez wiele lat moim bliskim przyjacielem. Wszyscy – z mojej inicjatywy – znaleźliśmy się wśród doradców strajkujących w Stoczni Gdańskiej. Miałem także propozycje objęcia wysokich stanowisk. Odrzucałem je nie tylko dlatego, że znam swoje możliwości, ale także dlatego, że już po wysłuchaniu *expose* nowego premiera, nasze drogi drastycznie się rozeszły. Odrzucałem tę drogę transformacji.



Wydaje się, że wielu ówczesnych przywódców miało dość blade pojęcie o tym, jak mają wyglądać reformy gospodarcze. Jerzy Baczyński, szef „Polityki”, pisze, że gdy Balcerowicz próbował tłumaczyć premierowi Mazowieckiemu na czym polega pakiet reform, to ten szybował wzrokiem po suficie...

T.K.: Mam bardzo wysokie mniemanie o Mazowieckim jako człowieku, o jego aksjologii. To był personalista, człowiek o dużej wrażliwości społecznej, ale istotnie, on nie rozumiał tego, na co się godził, jak wyznał, że ściśniętym sercem. Pamiętamy jednak, że nikt z twórców planu, łącznie z Balcerowiczem czy szefem doradców premiera Waldemarem Kuczyńskim, nie antycypował ogromnej rozbieżności między założeniami planu i jego wykonaniem. Przystępowano do tej operacji zmian przy założeniu, że bezrobocie będzie tymczasowe, nie większe niż kilkaset tysięcy osób, a skończyło się na trzech milionach bezrobocia permanentnego; że w styczniu 1990 r. ceny wzrosną nie więcej niż o 45 procent, a wzrosły o ponad osiemdziesiąt; że dochód narodowy spadnie o 3 procent, produkcja przemysłowa o 5 procent – a negatywy okazały się o kilkaset procent wyższe.

Mazowieckiego zgubiło ogromne zaufanie, jakim obdarzył Waldemara Kuczyńskiego, który przywiózł z Francji przekonania monetarystyczne w skrajnej wersji.

**A zatem, Pańskim zdaniem, w realiach takich zmian ekonomicznych, dziedzictwo „Solidarności” nie mogło zostać zachowane.**

T.K.: Mamy do czynienia z wielkim dramatem, głównych aktorów – pracowników wielkich przedsiębiorstw, którzy najbardziej przegrali, choć byli podstawową siłą walki z komunizmem. Ale przegranych jest bardzo wiele grup społecznych. Cała służba medyczna, nauczyciele. Nastąpiło ogromne zubożenie...

**A jak ocenia Pan reakcję intelektualistów na bieg wydarzeń w Polsce?**

T.K.: Przez wiele lat byłem pełen goryczy, że to środowisko tak bardzo poszło na lep władzy, pogoniło za pieniędzem. Pamiętam rozmowy z Ryszardem Bugajem jesienią 1989 roku, kiedy sądziliśmy, że będziemy malutką grupką ludzi bez możliwości przebic się w mediach. To się dziś zmieniło. Parę lat temu przekonałem się, że grupa wolnorynkowców jest mała. Popierana przez fundacje i banki, panuje w środkach masowego przekazu, na kluczowych stanowiskach w gospodarce. Stąd wrażenie, że dominuje faktycznie i jest duża. Idąc w 2001 roku na kongres ekonomistów (Polskie Towarzystwo Ekonomiczne), gdzie sam się wprosiłem, obawiałem się, że będę izolowany. A tymczasem za zasadniczą krytykę polskiej transformacji dostałem ogromne brawa. Gdzie nie pojadę, okazuje się, że liczba fundamentalistów rynkowych jest bardzo mała, co więcej – większość z nich jest rozgoryczona. Wprawdzie niewielu jest takich, którzy mają receptę na odwrócenie sytuacji, ale w diagnozie panuje dość powszechna zgoda.

Gdyby jednak wziąć pod uwagę szersze środowisko inteligencji, nie tylko ekonomistów, to trudno znaleźć zbyt wielu ludzi krytycznych, którzy chcą zrozumieć, jak to się stało, że reformy doprowadziły do tak daleko

idącej marginalizacji tak znacznej części społeczeństwa. Jak, Pańskim zdaniem, tacy ludzie, jak np. Bronisław Geremek, analizują tę rzeczywistość, czy nie widzą tak dramatycznych problemów społecznych związanych ze zubożeniem, malejącymi szansami życiowymi tak znacznego odłamu społeczeństwa, w tym ludzi młodych, których publicznie zachęca się do wyjazdu z kraju? A przecież możliwa jest inna optyka. Na przykład Marcin Kula był w stanie mocno ocenić początki transformacji już w 1991 r. Pisał wtedy: „Żaden kraj w dziejach /.../ nie wyszedł z takiego dołka gospodarczego jedynie mocą liberalizacji gospodarki /.../ Żaden zacofany kraj /.../ nie wyszedł ze swojego stanu jedynie mocą puszczania wszystkiego na szerokie fale. Żaden kraj nie może liczyć na wzięcie pod uwagę przez kapitał zagraniczny długofalowych interesów /.../ tego kraju”. Profesor Kula obawiał się wówczas, że tak określona polityka gospodarcza zaprowadzi nas do „sytuacji trzecioświatowej”.

T.K.: Bronisława Geremka można i należy „recenzować” jako osobę publiczną, polityka. Ale nie znam jego poglądów. Programowo nie próbuję utrzymywać kontaktów z moimi byłymi przyjaciółmi, gdy są wysoko. Przekonałem się bowiem, że jeśli ktoś wchodzi w buty polityka, to zaczyna mówić to, co mówić należy, co nakazuje mu funkcja, którą chce zachować. Nie wiem więc, jakie są poglądy Geremka na masowe bezrobocie, rosnącą biedę. Może nadal, jak u początków transformacji, uważa, że to są konieczne koszty wielkiej przemiany. Że droga do dobrobytu wiedzie przez wyrzeczenia. Niestety, żniwa ciągle nie nadchodzą, tak jak w systemie komunistycznym...

Ale zanim wymienię jego główny wyczyn, który mnie ciągle zdumiewa, przytoczę dwa fakty. Oba świadczą, że Geremek uchodził za lewicowca. Jesienią 1990 r. zrezygnowałem z wyjazdu na Kongres Międzynarodówki Socjalistycznej, na rzecz waszyngtońskiej imprezy pacyfistów i ekologów, spokojny, że Polskę będzie reprezentował – jak podała prasa – właśnie Geremek. Gdy w rok później znalazłem się w Szwecji i chciałem jako ktoś z Solidarności Pracy nawiązać współpracę z tamtejszymi socjaldemokratami, zażądano ode mnie *credentials* od... Geremka. Jego największym wyczynem było natomiast przeobrażenie początkowo socjal-liberalnego w swej większości OKP, a potem Unii Demokratycznej w klasyczną partię wolnego rynku, co miało ogromne znaczenie dla kształtu całej transformacji. Kartka wyborcza wymierzyła jednak tej partii sprawiedliwą karę...

Ale skoro mówimy o historykach, chcę zwrócić uwagę na trzy optymistyczne przemiany. Bronisław Łagowski jeszcze tak niedawno otwarcie bronił nierówności, książkę z 1997 r. nazwał prowokacyjnie „Szkice antyspołeczne” (!). Ale realia wymogły na nim zmianę – stał się ostrym krytykiem „antyspołecznej” wersji polskiego kapitalizmu. Andrzej Walicki do niedawna uchodził (chyba tego chciał) za konserwatywnego liberała – teraz piętnuje darwinizm społeczny *à la* Witold Gadowski. A czy pamięta pan Marcina Króla ostre potępienie władz za „skandal” miliona, może dwóch milionów głodujących lub niedożywionych dzieci? Ma pan więc intelektualistów, którzy protestują. Niestety, zanikł zwyczaj zbiorowych wystąpień intelektualistów w ważnych sprawach społecznych.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, lipiec 2005 r.

# Solidarność Walcząca,



## czyli po niepodległość bez kompromisów

Artur Adamski

Między sierpniem 1980 a grudniem 1981 r. postulaty niepodległości i zmiany ustroju były tonowane siłą okoliczności. Środowisko Kornela Morawieckiego było zdania, że polskie sprawy trzeba konsekwentnie posuwać w kierunku zrzućenia sowieckiego jarzma, zarazem będąc przygotowanym do działania w warunkach konfrontacji. Kiedy w pierwszym dniu stanu wojennego ZOMO demolowało drukarnie „Solidarności” a wiązki kabli telefonicznych padały pod siekierami – „ludzie od Kornela” uruchamiali pierwszą podziemną poligrafię i organizowali łączność.

13 grudnia na wrocławskich Krzykach zaczęła działać pierwsza w Polsce stanu wojennego podziemna drukarnia. Dzięki niej ukazała się z datą przypadającą na kolejny dzień pierwsza w kraju wolna prasa czasu wojny polsko-jaruzelskiej, gazeta Regionalnego Komitetu Strajkowego „Z Dnia na Dzień”, redagowana przez Kornela Morawieckiego, Romualda Lazarowicza i Tadeusza Świerczewskiego. Strajki w ciągu kilku dni zostały rozbite czołgami, a Dolny Śląsk stał się terenem najbardziej masowych internowań. Ludzie wydawanego od 1979 r. „Biuletynu Dolnośląskiego” stanowili jedyną strukturę przygotowaną do działania w nowych warunkach. Kontakt z nią przewodniczącego RKS był na tyle wąty, że przekazał on Morawieckiemu uprawnienie do wydawania oświadczeń i podpisywania ich swoim nazwiskiem.

Drugiego dnia ruszyła drukarnia w domu Świerczewskiego, wkrótce pracowały też dwa punkty poligraficzne – w oddzielonych od siebie kilkoma domami willach. W obydwu równocześnie przygotowywano matryce o tej samej treści. Uruchomiono bowiem łączność między dwiema drukarniami – ciągnąc kabel ukryty w płotach kolejnych posesji.

Pomimo maksymalnej aktywności bezpieki bardzo sprawnie działały struktury kolportażowe. ZOMO pastwiło się nad sprzętem zgromadzonym w siedzibie „Solidarności” przy ul. Mazowieckiej, lecz gazetki Związku docierały do tysięcy odbiorców niemal bez zakłóceń. Między 13 grudnia 1981 a czerwcem 1982 r., kiedy wydawaniem „Z Dnia na Dzień” zajmowała się struktura Morawieckiego – pismo ukazywało się trzy razy w tygodniu w nakładzie ok. 40 tys. egz. Spełniły swą rolę zapasy papieru, sprzętu, nieznane esbecji siatki dystrybucji. Nieocenioną rolę odegrały dziesiątki rodzin udostępniających swoje mieszkania.

Już w drugim miesiącu stanu wojennego zaczęły zarysowywać się różnice stanowisk między Władysławem Frasyniukiem a Morawieckim i jego kręgiem. Przewodniczący regionu był przeciwny twardszym formom protestu. Wnioskował, by na łamach „Z Dnia na Dzień” wzywać do akcji w rodzaju kwadransów milczenia czy kilkuminutowych strajków. Rozbieżność ocen dała o sobie znać także, gdy 5 lutego 1982 r. ukazał się pierwszy w stanie wojennym „Biuletyn Dolnośląski”. Swoją rolę próbowała odegrać i SB. Nie zdołała ona zniszczyć niezależnych wydawców, więc

emitowała fałszywe „Z Dnia na Dzień”, co zapewne miało na celu sianie dezorientacji i antagonizmów.

W ocenie znacznej części podziemia stanowisko władz związku było zbyt umiarkowane. A dolnośląska „Solidarność” nie wezwwała nawet do demonstracji w dniu 3 maja. Wielu konspiratorów uważało takie stanowisko za kolejny z serii błędów i widziało potrzebę utworzenia organizacji, która wyrażałaby jasne cele polityczne. 1 czerwca 1982 r. Kornel Morawiecki złożył rezygnację z członkostwa w RKS, co zostało zaakceptowane przez Frasyniuka.

### Organizacja

Idea utworzenia wywodzącej się z „Solidarności” organizacji otwarcie artykułującej swój antykomunizm, dążącej do obalenia porządku PRL oraz odzyskania niepodległości szybko zyskała grono zwolenników. Należeli do nich m.in. współpracownicy „Biuletynu Dolnośląskiego”, często działający w opozycji wiele lat przed rokiem 1980. Kilkadziesiąt osób wywodziło się z samej Politechniki Wrocławskiej, na której Morawiecki był znany i cieszył się autorytetem. Pacyfikacja strajku na tej uczelni w grudniu 1981 r., w czasie której pobito m.in. prof. Wiszniewskiego a jedna osoba poniosła śmierć, pozbawiała złudzeń. Gotowi do współpracy pojawiali się też na innych uczelniach Wrocławia, w zakładowych organizacjach związkowych, wśród studentów, w różnych nurtach opozycji. Szybko w Solidarności Walczącej znalazła się np. struktura biuletynu „Wiadomości Bieżące”, który okazał się jednym z rekordzistów pod względem liczby wydanych numerów. Dziś, gdy znane są nazwiska i późniejsze drogi wielu założycieli pierwszych ogniw „Solidarności Walczącej”, wiemy, że organizację tworzyli zarówno konserwatyści, jak i ludzie patriotycznej lewicy, liberałowie i rzecznicy solidaryzmu. Te różnice stanowiły przedmiot dyskusji, ale nie osłabiały spójności. Cel – niepodległość Polski i obalenie komunizmu – dla wszystkich był bezsporny i zapobiegał podziałom.

Struktura Morawieckiego nie mogła liczyć na pomoc materialną ze strony Związku. Nigdy nie trafiło do niej nic z funduszy napływających za jego pośrednictwem z zagranicy. Organizacja przyjęła nazwę wskazującą swój rodowód i akcentującą postawę czynną. Deklarowała poparcie dla NSZZ „Solidarność” i nie kwestionowała jej pierwszoplanowej pozycji. Zastrzegając sobie jednak prawo do polemiki i własnej inicjatywy. Już 13 czerwca 1982 r. doprowadziła do starć z siłami reżimu. Wrocławska demonstracja przekroczyła tego dnia najśmielsze oczekiwania. Jej skala zaskoczyła ZOMO, które nie było w stanie opanować sytuacji do późnych godzin nocnych. Barykady wzniesione

na Lwowskiej i Pereca odpierały kolejne szturmy, a kiedy ulice te zostały wreszcie zdobyte przez milicję – znalazła się ona pod gradem kamieni rzuconych z okien i dachów. Kolejny dzień protestu zaplanowano już na 28 czerwca. Uliczne wystąpienia, do czerwca powstrzymywane przez regionalne władze „Solidarności”, stały się teraz wrocławską specjalnością. Dochodziło do nich spontanicznie np. po mszach w katedrze 13 dnia każdego miesiąca. Stolica Dolnego Śląska stała się ośrodkiem rosnącego w siłę podziemia i permanentnych zmagających ulicznych.

W kręgu Morawieckiego postanowiono, że demonstracje i walki uliczne nie powinny być pozostawiane jedynie żywiołowej grze nieprzewidywanych wypadków. Analizowano taktykę ZOMO i starano się jej przeciwdziałać. Przygotowano grupy, które były w stanie zakłócić manewry atakujących – przebijając koła samochodów, stawiając skuteczne zapory i broniąc ich, nie ulegając psychologicznym „sztuczkom” zomowców. Niejednokrotnie okazywało się, że wyćwiczone na poligonach szyki sił milicyjnych szły w rozsypkę, gdy napotykały grupy działające niestandardowo.

27 czerwca 1982 r. pierwszą audycję nadało Radio „Solidarność Walcząca”. Od tego czasu kolejne programy emitowane były zwykle dwa razy w tygodniu. Średni czas audycji wynosił 8 minut, gdyż tyle uznano za granicę bezpieczeństwa. SB na pojawienie się podziemia w eterze zareagowała tworząc grupę radiopelengatorów, które krążąc po mieście, usiłowały namierzyć nadawców. W analogiczną aparaturę uzbrojono helikopter, a na wieży Poczty Głównej zainstalowano aparaturę zagłuszającą. Przed którąś z audycji w odbiornikach dało się natomiast słyszeć rozmowy po rosyjsku, jednoznacznie wskazujące, że jednostki radiowe największej armii świata także przystępują do zagłuszania Radia „SW”. Ono jednak zaczęło zmieniać taktykę, coraz częściej wchodząc na pasmo Programu III PR. Audycje nadawano też np. z Wzgórz Trzebnickich, nadajniki wnoszono na szczyty wzniesień górujących nad Wałbrzychem, audycję dla Zakopanego i okolic nadano z Gubałówki. Reakcją na aresztowanie małżeństwa Romaszewskich, którzy w Warszawie emitowali audycje Radia „Solidarność”, była decyzja o przynajmniej częściowym kontynuowaniu ich dzieła. Uznano, że może mieć to nie tylko znaczenie natury moralnej, ale i zdjąć z oskarżonych część odpowiedzialności. Do stolicy udała się ekipa radiowa Janusza Krusińskiego i wyemitowała szereg audycji w różnych punktach aglomeracji.

Od połowy lat 80., głównie w Trójmieście, Solidarność Walcząca skutecznie wchodziła ze swym programem w fonię telewizji, a emitowany obraz „Dziennika Telewizyjnego” przesłaniała nadawanym wizerunkiem plansz z hasłami. Działalność SW w eterze mobilizowała znaczne siły bezpieczeństwa, lecz pomimo aresztowań i konfiskat sprzętu – radio funkcjonowało bez dłuższych przerw aż do czasu utworzenia rządu Mazowieckiego.

## Jednoznaczny antykomunizm

W sierpniu 1982 r. ogłoszony został sztandarowy tekst pt. „Kim jesteśmy, o co walczymy”, wyrażający cele Solidarności Walczącej. Stwierdzał on, że SW nie zmierza do uzyskania jakichkolwiek ustępstw ze strony władz, z którymi rozmawiać może wyłącznie na temat ich ostatecznej rezygnacji z rządzenia Polską. Deklaracja nie roztrząsała złudzeń o szybkim upadku komunizmu. Bez względu na to,

jak długo miała trwać z nim walka, celem było definitywne obalenie totalitarnego ustroju. W zmaganiach tych wybierano metody pokojowe, ale nie wykluczano sięgnięcia do czynnej samoobrony, jeśli okoliczności będą ją uzasadniały. Do jakichkolwiek działań zbrojnych nigdy nie doszło, ale wyartykułowany został czytelny sygnał, że działania „wet za wet” mogą zostać uruchomione, jeśli reżim komunistyczny uciekać się będzie do krwawego terroru.

SW głosiła chęć współpracy z wszystkimi, których celem była walka z komunizmem, bez względu na różnice programowe. Zasada udzielania wsparcia wszystkim działającym przeciw komunizmowi była realizowana pomimo własnych niedostatków. Wielokrotnie druk przez struktury SW nakładów dla organizacji młodzieżowych, studenckich, rolniczych czy zakładowych komórek „Solidarności” nie był nawet zaznaczany w stopkach pism, a zwykle był wykonywany za darmo, na własny koszt i ryzyko. W 1983 r. kwartalnik „Obecność” zamieścił listę ponad stu tytułów prasy ukazującej się we Wrocławiu poza zasięgiem cenzury. Znaczna ich część należała do SW lub była wydawana dzięki tej właśnie organizacji. Fundusze na działalność czerpano z emisji wydawnictw pełniących funkcję „cegiełek”, np. znaczków, plakatów, kaset magnetofonowych, książek (SW wydała np. „Archipelag Gułag”). Do organizacji płynęły także datki sympatyków z kraju i zza granicy. Pod koniec lat 80. znacząca część posiadanej gotówki była przeznaczana na pomoc dla ofiar trzęsienia ziemi w Armenii lub wsparcie strajkujących zakładów i uczelni.

Celem SW była niepodległość krajów zdominowanych przez Związek Sowiecki. Uznawała też prawo Niemiec do zjednoczenia. Występowała przeciw porządkowi jałtańskiemu, ale stała na stanowisku nienaruszalności istniejących granic, by *nie mnożyć nieszczęść*. Warto zauważyć, że hasła te werbalizowano w czasach, gdy wizja połączonych Niemiec budziła niepokój, szczególnie w tej części kraju, która na mapach drukowanych w RFN zaznaczana była jako „obszar pod tymczasową administracją polską”. Zarazem dla sporej części członków i sympatyków SW ziemie odebrane Polsce w 1945 r. były wciąż żywym wspomnieniem domu rodzinnego. Program organizacji zakładał więc pozostawienie Ukrainie Lwowa i Wilna Litwie, lecz zarazem postulował duże otwarcie między krajami wybytymi jarzma sowieckiego. SW wyrażała też prawo wszystkich narodów do decydowania o swoim losie oraz zajmowała się prawami człowieka – bez względu na to, przez kogo były one naruszane. Na łamach pism organizacji ukazywały się listy, oświadczenia i studia na temat sytuacji np. w Afryce czy Ameryce Południowej. Nim Nagroda Nobla przyznana Dalaj Lamie skupiła oczy świata na Tybecie – problem tego kraju był obecny w licznych wypowiedziach prasy SW.

Patriotyzm organizacji Morawieckiego daleki był od nacjonalizmu. Wśród bliskich współpracowników znaleźli się np. Rosjanie. Honorowe członkostwo przyjął m.in. Władimir Bukowski, a honorowym redaktorem „Biuletynu Dolnośląskiego” została Natalia Gorbaniewska. SW drukowała też prasę dla Rosjan, Białorusinów Ukraińców, Litwinów, Czechów i Węgrów. Jej instruktorzy szkolili drukarzy w kilku krajach „obozu socjalistycznego”. Pod koniec lat 80. dużą rolę odegrali w Gruzji, dokąd trafiały gdańskie i wrocławskie powielacze. Gestem wdzięczności Gruzinów było posadzenie Piotra Hlebowicza na pierwszym czołgu wjeżdżającym do Tbilisi. Kornel Morawiecki był członkiem-założycielem „Solidarności Polsko-Czechosłowackiej”. Żądanie, by wy-

cofał się z tej inicjatywy, postawił jeden z najgłośniejszych ludzi opozycji jawnej. SW interesowała się też żołnierzami dezercyjnymi z Armii Sowieckiej. Na łamach ulotek i czasopism informowała o ucieczkach z jednostek i zaznaczając, że w przypadku schwytania zbiegów czeka nieuchronna śmierć, apelowała o udzielanie schronienia. Znanych jest przynajmniej kilka przypadków, w których przetrzymani ci uratowani zostali dzięki strukturalom „SW”.

Przedmiotem zainteresowania nie były żadne wydarzenia w łonie obozu rządzącego PRL-em. Podczas gdy liczni publicyści drugiego obiegu snuli rozważania na temat np. dojścia do władzy „grupy Olszowskiego” albo młodszego pokolenia PZPR-u, SW pozostawała na takie kwestie całkowicie obojętna.

31 sierpnia 1982 r. doszło do największych w stanie wojennym manifestacji ulicznych, które po atakach ZOMO przekształciły się w wielogodzinne rozruchy. We Wrocławiu objęły one większość dzielnic, porażając swą skalą siły reżimu. Znowu dały o sobie znać działania zapobiegające temu, by wydarzenia miały charakter wyłącznie żywiołowych zamieszek. Radio „Solidarność Walcząca” tego dnia sześć razy na falach UKF podawało komunikaty o toczących się wydarzeniach. Z kilku punktów miasta korespondenci wyposażeni w walkie-talkie przekazywali informacje do centrali radiowej R. Lazarowicza, który puszczał wiadomości w eter. Audycje te były odbierane w dużej części miasta. Równocześnie inna sekcja prowadziła stały nasłuch częstotliwości wykorzystywanych przez MO i SB. Na ulicach bywało, że dążące do otoczenia demonstrantów oddziały ZOMO same nagle znajdowały się w obłężeniu. Głośnym przypadkiem był atak milicji przez Most Grunwaldzki, w czasie którego nacierający funkcjonariusze zorientowali się nagle, że znajdujące się za ich plecami kolumny MO uciekły pod naporem gęstniejącego również tam tłumu. Zomowcy błyskawicznie doszli do wniosku, że najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji jest rzucenie się z mostu do Odry.

Sukces protestów sierpniowych szybko został zastąpiony serią porażek „Solidarności” – wynikłych głównie z błędów jej przywództwa. 8 października Sejm PRL zdelegalizował NSZZ „Solidarność”. Przywództwo związku powstrzymało przed demonstracjami i wyznaczyło dzień narodowego protestu dopiero na 10 listopada. SW uznało tak odległy termin za błąd. Jak było do przewidzenia, reżim wykorzystał miesiąc względnego odprężenia na kolejne represje oraz zorganizowanie dodatkowego poboru rezerwistów do służby w wojsku i MO. Dwa dni przed planowanym strajkiem powszechnym i demonstracjami, internowany przewodniczący „Solidarności” wysłał list do gen. Jaruzelskiego, podpisując się „kapral Wałęsa”. 10 listopada 1982 r. zarówno strajk, jak i demonstracje miały ograniczony zasięg, co rządzący PRL-em okrzyknęli postępującą „normalizacją”, czyli wzrostem akceptacji społeczeństwa dla zmian dokonanych kolejnymi etapami stanu wojennego.

## Szereg lat w podziemiu

Jesienią 1982 r. stawało się coraz bardziej jasne, że wydarzenia obrały kierunek wróćący zmagania z reżimem trwające lata. Zasięg Solidarności Walczącej wybiegał już daleko poza Dolny Śląsk. Znajdująca się pod przywództwem Zbigniewa Bełza sieć podziemnej „Solidarności” w Gorzowie znalazła się w orbicie SW. Na Górnym Ślą-

sku do organizacji przyłączyło się silne środowisko opozycji kierowanej przez Norberta Liszkę. Do SW weszła też zarządzana przez Jadwigę Chmielowską Regionalna Komisja Koordynacyjna górnośląskiej „Solidarności”. W Katowicach ukazywały się miesięczniki „Wolni i Solidarni” oraz Podziemny Informator Katowicki. Wg Aleksandra Katowickiego, „SW była odpowiedzią na fiasco polityki TKK oznaczającej taktykę nastawioną jedynie na koordynację a nie przywództwo”.

Rozwój SW skupiał na sobie uwagę kolejnych ośrodków opozycji. Poglądy analogiczne do motywacji Liszki, Katowickiego i Chmielowskiej wyrażał Maciej Frankiewicz. Ten znany działacz NZS stał się jedną z barwniejszych postaci Solidarności Walczącej. Robiący wrażenie nieporadnego oryginała, humanista okazywał się doskonałym organizatorem, sprawdzającym się nie tylko w pracy konspiracyjnej, ale i w przedsięwzięciach pełnych brawury. Pragnąc wyposażać swoją organizację w sprzęt poligraficzny, dokonywał włamań do zakładów, z których wykradał po kilka maszyn do pisania i powielaczy za jednym razem. Po zatrzymaniu przez SB udawało mu się uciec z aresztu. A kierowany przez niego wielkopolski oddział SW wyróżniał się intelektualną jakością publikacji i wyjątkowym zainteresowaniem sprawami ducha. Poznańska Solidarność Walcząca wydawała m.in. intelektualny periodyk „Czas Kultury”.

SW zyskała przyjaciół wśród Polaków przebywających za granicą. Utworzono przedstawicielstwa organizacji w Niemczech, Norwegii, Francji, Anglii i USA. Organizacja Kornela Morawieckiego była jedyną, oprócz NSZZ „Solidarność”, posiadającą podobne agendy na obczyźnie.

Do połowy 1983 r. Solidarność Walcząca szybko rozwijała się, unikając większych wpadek. Aresztowania w kręgu wydawców „Wiadomości Bieżących” nie pociągnęły za sobą kolejnych zatrzymań. Powstawały struktury w Trójmieście, Warszawie, Jeleniej Górze, Opolu, Wałbrzychu, Głogowie, Legnicy, Rzeszowie, Lublinie, Pile, Kłodzku. Nieco później także w Krakowie i kolejnych miastach. W Szczecinie silna organizacja wydawała m.in. pismo „Gryf”. SW wspierała wydawanie prasy młodzieżowej (np. popularnego biuletynu „Wyrostek”), ciążyła ku niej Polska Niezależna Organizacja Młodzieżowa, pod okiem starszych kolegów kształcąca swoich drukarzy. Jako pierwsza w Polsce, SW zaczęła używać składu komputerowego, a do swoich komórek rozsyłała bardzo obszerne serwisy informacyjne na dyskietkach.

Nieustanne pojawianie się nowych ogniw Kornel Morawiecki nazwał „konstrukcją fraktalną”. Przyłączały się kolejne grupki, np. skupione wokół wydawanych czasopism. Bezpieka próbowała taki sposób rozwoju wykorzystywać do wprowadzenia swoich ludzi w struktury SW. Prawie zawsze zabiegi te były daremne. Bezpieczeństwo zwiększały zespoły kontrwywiadu SW. Kontynuowaną do ostatnich dni konspiracyjną formą jego pracy było stałe monitorowanie działań SB. Rozpoznawano możliwości lokali operacyjnych bezpieki – począwszy od wyposażonych w lunety stanowisk na najwyższych piętrach wieżowców po mieszkania w różnych punktach miast. Do konspiratorów trafiały dane samochodów SB, rysopisy tajniaków. Prowadzono stały nasłuch rozmów radiowych, które poddawano analizie i drukowano ich skróty. Wydruki te trafiały do działaczy, którzy dzięki nim mogli skojarzyć, czy to nie oni są przedmiotem zainteresowania SB. Z czasem

bezpieka zorientowała się, że jest podsłuchiwana. Funkcjonariusze coraz częściej uciekali się do szyfrowania swoich wypowiedzi, a czasem woleli korzystać z budek telefonicznych zamiast radia. Po jakimś czasie SB zaczęła posługiwać się kodem liczbowym, który wkrótce został przez ludzi SW złamany.

Wg analizy zachowanych materiałów SB, dokonanej przez Marka Piotrowskiego i Dolnośląską Inicjatywę Historyczną – bezpieka miała ogromne trudności z przeniknięciem do struktury Solidarności Walczącej. W związku z tym, że również raport końcowy z prac operacyjnych przeciw SW zawiera kardynalne błędy dotyczące składu przywództwa organizacji – można być wręcz pewnym, że



**Zaświadczenie** Nr.....

Ob. ....

uczestniczył w obchodach XX rocznicy  
[Dz. Ustaw poz. 4/6/1] oraz wysłuchał

**koncertu** ballad stanu [Dz. Ustaw 28/02]

Leszka Wójtowicza i pieśni

[Dz. Ustaw 24/05] zerczych Jacka Kowalskiego.

Obywatel (nazwisko i imię j.w.) był także świadkiem  
walk rycerskich „Jak [Dz. Ustaw 32/34]  
z komuna wojowała, oraz próbował ustawić się  
do zdjęcia z [Dz. Ustaw poz 37/06 par. 134].

Mimo wyników wrogiego  
batalionu Ob. (j.w.)  
wydrukował  
niniejszą  
ulotkę.

*Kornel Morawiecki*

podpisał Kornel M. [Dz. Ustaw 28.02.1970]

nigdy nie miała żadnego informatora osadzonego w głównym rdzeniu struktury. Przez całe lata osiemdziesiąte SB dorobiła się kilkunastu tajnych współpracowników dysponujących wiadomościami na temat SW. Jak na organizację liczącą być może nawet parę tysięcy ludzi – jest to liczba znikoma. Pochodzące z kwietnia 1990 r. i liczące ok. stu stron podsumowanie esbeckich zmagających z organizacją Morawieckiego pozwala sądzić, że większą wiedzę bezpieka miała tylko na temat kilku pionów i to na ogół powierzchowną. Esbecki spis rozpracowywanych działaczy zawiera mnóstwo błędów. W przypadku Solidarności Walczącej mamy więc do czynienia z częścią opozycji w wyjątkowo dużym stopniu wolną od agentury.

Najwięcej informacji o SW bezpieka zyskała w wyniku fał aresztowań. Nie przyniosły natomiast skutku różne formy szantażu, np. uprowadzenia dzieci Morawieckiego. Wiosną 1983 r. w Lublinie dokonano szeregu rewizji i zatrzymań, które nie pociągnęły jednak za sobą osłabienia organizacji. Bez rezultatu pozostały analogiczne represje w czerwcu tego samego roku we Wrocławiu. W stolicy

Dolnego Śląska miesiącem pełnym aresztowań był grudzień 1983 r., kiedy zatrzymano m.in. kilku ludzi z kręgu Morawieckiego. W 1984 r. bezpieka zorientowała się, że jeden z aresztowanych jest znaczącą postacią struktur druku i kolportażu. Przesłuchania trwały pół roku i niestety prawdopodobnie to ich owocem było uwięzienie 40 członków organizacji oraz zyskanie informacji o kolejnych 150. Organizacja ciągle jednak funkcjonowała bez większych zakłóceń. Zawdzięczać to należy w znacznej mierze jej zdecentralizowanej strukturze oraz tworzeniu dużej liczby małych punktów poligraficznych zamiast dużych drukarni. W praktyce polegało to na tym, że diapozytywy służące do sitodruku przygotowywano w wielu egzemplarzach. Trafiły one w tym samym czasie do różnych zespołów. Każdy na potrzeby własnej siatki kolportażowej drukował swoją część nakładu, zwykle ok. 1500 egz. gazetek. W przypadku wpadki nawet szeregu małych drukarni równocześnie – pozostałe kontynuowały tę samą pracę, mając możliwość zwiększenia wydajności, by pokryć ubytki powstałe w wyniku wyłączenia z pracy innych drukarzy. W efekcie nawet duża fala represji nie zakłócała wydawniczego rytmu. Ponadto SW dążyła, aby każdy jej członek nie tylko umiał drukować, ale w dużym stopniu sam potrafił sobie zorganizować druk. Zwykle każdy zespół sitodrukowy dysponował ukrytą rezerwą sprzętu i materiałów poligraficznych. Takie silnie zindywidualizowane rozwiązanie sprzyjało także oddolnym inicjatywom wydawniczym. W niektórych okresach ukazywało się ponad 20 tytułów prasowych sygnowanych przez SW. Część z nich doczekała się paruset wydań, niektóre w każdorazowym nakładzie przekraczającym 20 tys. egz.

Jesienią 1986 r. władze PRL częściowo złagodziły represję, co polegało na unikaniu wydawania liczonych w latach wyroków więzienia. W 1987 i 1988 r. zdarzały się jednak dni, w których SB dokonywała kilkudziesięciu zatrzymań członków SW w jednym mieście. Ulubioną formą nękania stały się konfiskaty samochodów. Barbara Sarapuk swoją skodę odzyskała dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. Auto nadawało się już tylko na złom, za to dołączono do niego rachunek za kilkuletni postój na milicyjnym parkingu.

## Aresztowanie Morawieckiego

Wg opartego na materiałach IPN opracowania Pawła Piotrowskiego „Solidarność Walcząca w świetle materiałów SB” – przez całe lata 80. organizacja była przez reżim komunistyczny uważana za największe obok NSZZ „Solidarność” zagrożenie dla istniejącego porządku i za najsilniejszą po związkowej organizacji opozycyjną. Władze PRL wielokrotnie wyrażały zaniepokojenie ciągłym funkcjonowaniem tak dużej podziemnej struktury.

Faktem zadającym kłam postępowi „normalizacji” było ciągnące się latami ukrywanie się jej liderów, przede wszystkim – Kornela Morawieckiego. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zrodziło się przypuszczenie, że przewodniczący SW zawdzięcza swą nieuchwytność posiadaniu agentury w organach dolnośląskiej SB. Owocem tego podejrzenia było wysłanie do Wrocławia z Warszawy zespołu służb specjalnych, który podjął działania niezależnie od prac operacyjnych bezpieki wrocławskiej. Długotrwałe zabiegi nie dawały znaczących rezultatów. Zaangażowanie dużych sił pozwoliło jednak na stałą obserwację



szeregu mieszkań, które rozpoznano jako miejsca spotkań ludzi podziemia. Nagłe wtargnięcia do nich esbeków odbywały się z dużą brutalnością. Członkowie SW nie posiadali broni, lecz aresztowań dokonywano wg zasad stosownych dla akcji antyterrorystycznych. Jedyną formą zabezpieczenia się przed częścią skutków pojawienia się sił SB było montowanie dodatkowych, metalowych drzwi. Niejednokrotnie dzięki nim przedłużał się czas potrzebny esbecji do sforsowania wejścia, w wyniku czego ukrywający się mieli szansę np. spalenia dokumentów. Wraz z doskonaleniem metod pracy SB coraz mniejsze były szanse ucieczki z mieszkania, do którego wpadała bezpieka. Aresztowania członków „SW” odbywały się z udziałem liczniejszych ekip, często drogą wybijania drzwi a nawet fragmentu ściany.

Takim sposobem 9 listopada 1987 r. SB wtargnęła do wrocławskiego mieszkania, w którym znajdowali się m.in. Kornel Morawiecki i Hanna Łukowska-Karniej. Esbecy byli zaskoczeni swoim sukcesem i wyrazili też zdziwienie, że szef najgroźniejszej organizacji w Polsce nie ma przy sobie jakiegokolwiek broni. Morawiecki miał na to odpowiedzieć: *„Ja nie mam, ale jeśli mnie zabijecie to mój następca będzie miał zawsze przy sobie uzi”*. Aresztowany przywódca „SW” w konwoju samochodów służb specjalnych został przewieziony na lotnisko. Następnie został przykuty kajdankami do wnętrza śmigłowca, którym został przetransportowany do aresztu na ul. Rakowieckiej w Warszawie. W tym samym czasie i kierunku Hanna Łukowska wieziona była samochodem eskortowanym przez kolumnę pojazdów milicji. Nadzwyczajne środki użyte dla pilnowania aresztowanych sprawiły wrażenie, że MSW skłonne było liczyć się z próbą odbijania uwięzionych.

### Wydalenie z kraju i „okrągły stół”

Po aresztowaniu Morawieckiego, na czele „SW” stanął Andrzej Kołodziej, ukrywający się w Trójmieście. Kilka miesięcy później został schwytany w podobnych okolicznościach. Zgodnie z przyjętym na taki wypadek planem – funkcję następcy przewodniczącego przejął wówczas Jadwiga Chmielowska. Prokuratura i SB rozpoczęły długotrwałe śledztwo, mające doprowadzić do procesu i skazania liderów organizacji. W kwietniu 1988 r. rozpoczęły się jednak strajki w kilku miastach Polski. W obliczu wzbierającej fali protestów władze komunistyczne doszły do wniosku, że najlepszym dla reżimu rozwiązaniem będzie wydalenie przywódców SW z kraju.

Sprzyjała temu choroba Andrzeja Kołodzieja. Zaproszeni do mediacji prof. Andrzej Stelmachowski i ksiądz Józef Orszulik przekonali Morawieckiego, że schorzenie jego towarzysza grozi śmiercią w przypadku niepodjęcia natychmiastowego leczenia za granicą. Dając wiarę tej informacji, przewodniczący SW wszedł do samolotu i znalazł się na Zachodzie, lecz wrócił do kraju natychmiast, gdy tylko Andrzej Kołodziej znalazł się pod opieką lekarzy. Na Okęciu znów został zatrzymany i przymusowo wyprawiony w kolejny lot – bez prawa powrotu. Wkrótce okazało się, że stan zdrowia Kołodzieja nie był nawet w części tak zły, jak to wynikało z pełnych troski zapewnień Orszulika i Stelmachowskiego. Nie było więc już wątpliwości, że dokonana wspólnie banicja miała na celu wyeliminowanie Solidarności Walczącej z wydarzeń, których bieg przyspieszył w 1988 r.

Powtórne wywiezienie Morawieckiego za granicę zbiegło się w czasie z opadaniem wiosennej fali strajków. Postanowił on więc wykorzystać przymusowy pobyt na obczyźnie, spotykając się z emigracją i politykami. Jednym z głównych wniosków był minimalizm celów niektórych ośrodków i brak wiedzy na temat sytuacji w kraju. Pojawiały się oferty finansowego wsparcia dla SW, warunkowane jednak rezygnacją z radykalnych żądań. W ocenie działaczy polonijnych łagodzenie stanowiska opozycji było konieczne, gdyż stabilizacja sytuacji otwierała możliwość „amerykańskiej pomocy, która uratuje Polskę przed głodem”. Równie rozczarowujące były spotkania z niektórymi członkami Kongresu USA, pozostającymi pod ogromnym urokiem Gorbaczowa. Najczęściej miały jednak miejsce sytuacje świadczące o wielkim uznaniu dla wysiłków i dokonań. Jan Paweł II przyjął Kornela Morawieckiego na audiencji prywatnej. Okazało się, że papież świetnie zna program, ofiarę i historię Solidarności Walczącej.

Późnym latem 1988 r. przewodniczący SW wrócił do kraju przez „zieloną granicę” i ponownie stanął na czele podziemnych struktur. Solidarność Walcząca wyrażała w tym czasie sprzeciw wobec niejawnych rozmów części opozycji z gen. Kiszczakiem. W ocenie SW nastawał czas, w którym zarówno sytuacja wewnętrzna, jak i międzynarodowa pozwolą postawić żądanie w pełni wolnych wyborów. „Okrągły stół” oceniano jako koło ratunkowe dla ludzi reżimu – transakcję polegającą na dopuszczeniu do władzy części „Solidarności” przy równoczesnym obławieniu się komunistycznej nomenklatury na narodowym majątku. Sprzeciw budziła też metoda przemian ekonomicznych. Wskazywano, że nawis inflacyjny można wykorzystać sprzedając obywatelom udziały w przedsiębiorstwach, co stanowiłoby krok w stronę powszechnego uwłaszczenia. SW protestowała, że w czasie, gdy działa „solidarnościowy” rząd – nadal cenzurowane są książki, pozwala się SB palić archiwa, naród zachęca się do ofiar, równocześnie dopuszczając do przejmowania bardziej wartościowych przedsiębiorstw przez spółki założone przez byłych „właścicieli PRL-u”.

W 1988 r. jawną działalność rozpoczęli przedstawiciele Solidarności Walczącej. Kornel Morawiecki, pozostając w ukryciu aż do roku 1990, demonstrował sprzeciw wobec charakteru zachodzących przemian. Jak wynika z zachowanych w IPN raportów, prace operacyjne przeciw Solidarności Walczącej zostały zawieszone dopiero w kwietniu 1990.

W sytuacji, gdy nowa „Solidarność” zyskała dostęp do telewizji i otrzymała koncesję na „Gazetę Wyborczą”, SW znalazła się w cieniu. W budzących kontrowersje okolicznościach odmówiono też Morawieckiemu prawa kandydowania w wyborach prezydenckich jesienią 1990 r. Utworzona przez członków SW Partia Wolności nie znalazła się w parlamencie w roku 1991 ani w 1993. W połowie lat 90. Morawiecki zrezygnował z działalności politycznej i ponownie pracuje na Politechnice Wrocławskiej. Podobnie potoczyły się losy większości członków SW, z których tylko nieliczni zajmują się dziś działalnością publiczną.

Artur Adamski

Więcej informacji o SW można znaleźć na stronie internetowej: [www.sw.org.pl](http://www.sw.org.pl)

# Akuszeryzy

## III RP

Adam Sandauer

**„Okrągły Stół” zorganizowano, gdy wojskowy, generał Czesław Kiszczak, został ministrem spraw wewnętrznych. Można przypuszczać, iż chwilę wcześniej wojsko zaczęło kontrolować służby cywilne. Dogadywanie się z opozycją prowadzono przez służby lub z ich parasolem ochronnym. Ludzie aparatu chcieli pozbyć się balastu ideologii i ideologów komunistycznych, zachowując własne wpływy i władzę.**

Twierdzenie, iż Magdalenka była przygotowywana od połowy lat 80. wygląda na lansowanie spiskowej teorii dziejów. Koncepcje działań czy spiski jednak istnieją, jest ich wiele. Któryś z nich zostaje w końcu zrealizowany. Analiza tego, co stało się w przeszłości, nie pozwala oczywiście na przewidywanie przyszłości. Można jednak próbować zrozumieć, kto się czym kierował i jakie grupy interesów miały i mają znaczenie decydujące. Jakie grupy były i są wpływowe. Przedstawione poniżej koncepcje są tylko przypuszczeniami.

Wydaje się, iż dla służb rosyjskich to, co rozpoczęto w Polsce było testem, czy taki sam proces jest możliwy i bezpieczny do realizacji w ich państwie. Natomiast Zachód zainteresowany był po prostu demontażem Bloku Wschodniego i mniej istotnym było, czy zrobi to opozycja antykomunistyczna, czy też komunistyczne służby specjalne. Tak więc rozpoczęty proces cieszył się ochroną Wschodu i Zachodu. Określił on beneficjentów przemian i charakter naszego państwa na wiele lat.

Postulaty opozycji z okresu PRL-u przypominają podpisane porozumienia z 1980 roku. Miały one w znacznej części charakter socjalny. Podwyżki pensji, lepsze zaopatrzenie w żywność, płatne urlopy dla matki po urodzeniu dziecka itd. Porozumienia z Gdańska, Szczecina czy Jastrzębia uzupełniono uzgodnieniem przywrócenia do pracy osób zwolnionych za przekonania oraz rejestracją wolnego, niezależnego związku zawodowego. Władza ustępowała, bo nie miała wyboru. Porozumienia demontowały PRL. Dochodziło do konfliktów i eskalowano żądania.

W 1981 r. władza wprowadziła stan wojenny. Internowano tysiące ludzi, zamknięto granice i Polskę odcięto od świata. „Solidarność” przestała działać legalnie, a PZPR zyskał opinię junty wojskowej. Ponad 1/3 członków partii oddała legitymacje. Mieczysław F. Rakowski przestrzegał,

mówiąc, że z konfrontacji może wyjść zwycięsko jedynie wojsko, bo partia i „Solidarność” muszą ją przegrać. Obie strony zapłaciły ogromną cenę. Gdy dwóch staje na ringu, jeden wygrywa, drugi przegra, ale obaj dostają baty.

W połowie lat 80. spora część ludzi z aparatu władzy i służb specjalnych uzmysłowiła sobie, że konflikt należy zakończyć. Komunistami nie byli, a do służb czy partii trafili zazwyczaj dla kariery. Po co więc bronić balastu ideologicznego? Szukano w opozycji partnerów, którzy pozwoliliby bezpiecznie rozładować konflikt, a przede wszystkim zachować pozycję ekipy, która się dogaduje. Konieczność tego procesu dojrzała nie tylko w Polsce, ale i u „wielkiego wschodniego brata”.

Gdy szefem bezpieki został gen. Kiszczak, wojsko przejęło kontrolę nad ministerstwem spraw wewnętrznych. Wywiad wojskowy z natury swych działań ma kontakty poza granicami.

Dla władz świata zachodniego było mniej ważne, czy demontaż bloku komunistycznego robiony będzie przy współudziale komunistycznych służb specjalnych, czy przez opozycję. Najważniejsze było rozmontowanie systemu. Dla aparatu ZSRR był to eksperyment pozbycia się ideologii i ideologów, bo stali się balastem. Podobnie jak u nas, chodziło o bezpieczeństwo reżyserów przemian i zachowanie wszelkich profitów, wpływów i zdobycie pieniędzy.

W połowie lat 80. młodzi ekonomiści, aparaczczyki PZPR, zaczęli być zapraszani i jeździć na stypendia do USA – tak jak wcześniej do ZSRR. Byłoby ciekawym prześledzić dalsze kariery tych stypendystów już w III RP. Wykracza to jednak poza temat tego artykułu.

Uzgodnienia okrągłostołowe miały więc parasol ochronny wszystkich możliwych stron. Wygląda na to, iż przeprowadzono manipulację na kolosalną skalę, wmańwiając społeczeństwu, że ekipy PRL-owskie oddają władzę. Przede wszystkim oszukano jednak dwie grupy:

1. Autentycznych ludzi opozycji, którzy latami walczyli o wolność i prawa socjalne.
2. Nielicznych i chyba ideowych komunistów, których oszukał ich własny aparat.

Nie da się jednak wyreżyserować wszystkiego do końca. Były wstrząsy, próby zmiany tego kierunku, natomiast bez wątpienia ludzie aparatu państwowego i służb przejęli wpływy w gospodarce. Podobny proces, mimo iż później, zaczął zachodzić również w Rosji. Przypominając tamten czas należy wspomnieć o niezakończonym postępowaniu w sprawie afery FOZZ czy innych wielkich aferach końca PRL-u. Pieniądze, które utraciło społeczeństwo, nie rozplynęły się w powietrzu, ale trafiły do czyichś rąk, tworząc fortuny i wpływy polityczne.

Na tym tle znamienne są wszelkie „grube kreski” czy zaniechanie przeprowadzenia lustracji w Polsce.

## Przemiany gospodarcze

Większość uczestników obrad Okrągłego Stołu stanowili przyzwyczajeni ludzie, którzy bezwiednie stali się aktorami wyreżyserowanego spektaklu. Wystarczyła mała, ale za to zorganizowana czy sterowana grupa, by ustalić kierunek przemian.

Rozpoczęła się prywatyzacja pod hasłem „majątek wspólny to majątek niczyi, a prywatny jest lepszy”. Przypominam sobie jak lansowano tezę, że wpływy z podatków po sprywatyzowaniu gospodarki będą wyższe niż wcześniejsze dochody z tych samych zakładów. By zachęcić do prywatyzacji, wprowadzono podatek zwany dywidendą, obciążający wyłącznie zakłady państwowe. Wbrew nazwie nie była to prowizja od zysku, lecz podatek od wartości księgowej majątku przedsiębiorstwa. Tym samym naruszano równość trzech sektorów – czyli po cichu łamano podstawowy postulat „Solidarności” o równości sektorów państwowego, prywatnego i spółdzielczego. Było to także zaprzeczenie wolności gospodarczej i jednakowego traktowania podmiotów przez państwo. Wraz z dywidendą wprowadzono przepisy uniemożliwiające wzrost płac w przedsiębiorstwach państwowych (*popiwek*), powodujące odpływ zdolniejszej kadry do sektora prywatnego.

Długotrwałe utrzymywanie stałego kursu dolara przy kolosalnej inflacji spowodowało, że polskie towary coraz trudniej było eksportować. Równolegle oszczędności społeczeństwa, tradycyjnie przechowywane w czasach PRL-u w dolarach, straciły wartość.

Drogi i ciężko osiągalny kredyt powodował zatory płatnicze. Gdy jakaś duża firma nie regulowała komuś na czas płatności – oba podmioty bankrutowały. Ten drugi z cudzej winy. Następowala prywatyzacja przez likwidację, czyli wyprzedaż majątku, który powstał wcześniej. Do Polski napływał kapitał zarówno inwestycyjny, jak i spekulacyjny.

Nie wolno pominąć elementów pozytywnych. Polska otwierała się na świat. Dolar przestał być niebotycznie drogi, więc poza granicami kupowano towary i technologie. Ludzie zaczęli podróżować. Tylko czy w tym celu konieczna była wyprzedaż majątku publicznego?

Media broniły jedyne słusznego kierunku przemian. Pisano, że we wspólnym interesie silniejszy musi zwyciężyć słabszy, lepsze pokonać gorsze, a gorsze ma zginąć. Co wspólne, to złe. Tak zaczęliśmy budować państwo prawa...

Media przeszły w tym czasie metamorfozę. Zlikwidowano RSW „Prasa-Książka-Ruch” i prywatyzowano gazety. W wyniku kolosalnych inwestycji (ciekawe skąd pochodziły pieniądze) powstały prywatne stacje telewizyjne. Media przestały realizować misję obiektywnego informowania, a słowo stało się towarem. Zaczęto tworzyć rzeczywistość medialną. O kim pisano czy kogo pokazywano, ten istniał i miał wpływ.

## Rozpad systemu magdalenkowego

Uzgodnienia z Magdaleny funkcjonowały sprawnie przez kilkanaście lat. Majątku do podziału robiło się jednak coraz mniej. Dziś ludzie, którzy ustalali reguły gry, zgromadzili często kolosalne fortuny lub zyskali bardzo wysoką

pozycję, ale są o 15 lat starsi. Ktoś nie żyje, ktoś wycofał się z życia publicznego, inny zbankrutował, zaprzysiężeni notabie przeszli na emerytury. Układ się sypie. Po takim czasie każdy ciągnie w swoją stronę, a stare uzgodnienia nie są już tak wiążące. Pozostały jednak dokumenty i teczki. W efekcie szambo wylewa się każdą szparą. Ujawniają się rzeczywiste mechanizmy sprawowania władzy.

Nastąpiło wiele zmian w życiu społecznym, jednakże na dwie z nich chcę zwrócić uwagę:

1. Przez 15 lat zwracając się o coś do ministrów czy urzędników, mieliśmy złudzenia, że zwracamy się do ludzi, którzy będą zachowywać się godziwie i reprezentują interes publiczny. Ponieważ przez 15 lat próbowano zachować pozory, iż żyjemy w państwie prawa, urzędy czasami próbowały coś załatwić. Obecnie pozorów już się nie zachowuje, a jaki ma sens apelowanie o przyzwoitość do władzy, gdy ona już się nie kryje ze swoim stosunkiem wobec obywateli.
2. Przed 1990 r. świat podzielony był na dwa bloki. Był to świat równowagi sił. Blok Wschodni wspierał na Zachodzie partie komunistyczne, ruchy narodowo-wyzwoleńcze lub pacyfistyczne, by utrudnić rządy drugiej stronie. Zachód pomagał naszej opozycji. Nadawało Radio Wolna Europa, wydawano „Kulturę” paryską, do Polski trafiały powielacze, środki na działalność itd. W efekcie rządy jednej i drugiej strony musiały liczyć się z postulatami społeczeństw, które otrzymywały pomoc z zewnątrz. My żyliśmy w bloku, gdzie była dyktatura czy terror, jednakże ludzie nie głodowali. Obecnie ruchy opozycyjne nie mogą liczyć na żadną pomoc. A bez pieniędzy, w naszym liberalnym świecie mamy pełną wolność wypowiedzi, która jest słyszalna co najwyżej u sąsiada zza ściany.

## Czy i kiedy zmiany?

Obawiam się, że odwrócenie tego, co stało się w Polsce, nie jest możliwe wewnętrznymi siłami społeczeństwa. Warto zwrócić uwagę, iż analogiczne procesy, choć w mniejszym stopniu, zaszły także w państwach zachodnich. U nas pod hasłem walki z komunizmem likwidowano pomoc socjalną, osłabiano wszelkie niezależne organizacje, lansowano darwinizm społeczny. Zdezorientowane społeczeństwo nie stawiało oporu. Na Zachodzie tych argumentów nie można było użyć. Sądzę, że u nas dojdzie do zmian dopiero, gdy nastąpi odejście od skrajnego neoliberalizmu na Zachodzie.

Dwa lata temu byłem w Paryżu. Premier Hausner próbował wtedy forsować u nas weryfikację rent, by zmniejszyć wydatki. Liberalne media mu wtórowały, iż renciści to w znacznej części naciągacze, że to ukryte bezrobocie. Jedynym widocznym protestem było wdarcie się grupy trzydziestu emerytów ze Śląska na naradę w budynku Ministerstwa Gospodarki. W tym samym czasie rząd francuski miał podobne pomysły. Szykowano wydłużenie okresu pracy dla osiągnięcia wieku emerytalnego. Francuskie związki zawodowe i organizacje społeczne zorganizowały manifestacje, w których uczestniczyło ok. 300 tys. osób. Tak wygląda obecnie porównanie sił organizacji pozarządowych i solidaryzmu społecznego u nas i we Francji.

Adam Sandauer

# Półkownicy III RP

W środowisku okołofilmowym PRL-u funkcjonowało określenie „półkownik”. Oznaczało ono taki film, który wylądował na półce w archiwum i nigdy nie został pokazany – albo w całości nie podobał się „towarzyszom” odpowiedzialnym za kinematografię, albo reżyser nie chciał zmienić/wyciąć „niesłusznych” scen czy wypowiedzi. Film więc był, lecz jakby go nie było.

Po roku 1989 wszystko miało się zmienić na lepsze. Także cenzura miała trafić na śmietnik historii. Nadal jednak istnieją filmy, które są swoistymi „półkownikami” – nie pokazano ich nigdy lub raz, po cichu, w środku nocy, gdy przed telewizorami prawie nikogo już nie ma. Co ciekawe, na taki cenzorski indeks trafiają często filmy, które w sposób odbiegający od dominującej wersji historii najnowszej ukazują wydarzenia ostatnich 15-20 lat. I nikt nie protestuje – obrońcy wolności słowa nawet nie zająkną się, że ktoś tę wolność ewidentnie ogranicza, „autorytety moralne” nie podpisują na ten temat apeli i listów otwartych, choć niemal każdy inny temat „głęboko ich porusza”; miłośnicy pluralizmu nie oburzają się, gdy wyrazisty głos nie może zabrzmieć w publicznej debacie o dość istotnych kwestiach. Prezentujemy wypowiedzi trzech reżyserów, którym zdarzyły się perypetie podobne do tych, jakie mieli twórcy „półkowników” przed rokiem 1989.

# Przyszło nowe w cudzysłowie

- z Piotrem Zarębskim

rozmawia Rafał Górski



fol. Bartosz Malinowski

Pański film „1980 Solidarność 1990 – dziesięć lat później” należy do swoistych „półkowników”. Przez kilkanaście lat od powstania nie wyemitowano go w telewizji, nie można go prawie nigdzie zobaczyć. Dlaczego? Proszę przedstawić w kilku słowach to, co film pokazuje.

P. Z.: Pokazuje pewne fakty, które udało mi się w 1990 r. zebrać kamerą. To są rzeczy związane z „Solidarnością” po dziesięciu latach od czasu jej powstania. Film przedstawia „Solidarność” po okresie stanu wojennego i przełomie roku 1989. W filmie wypowiadają się kontrkandydaci Lecha Wałęsy na stanowisko przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, których część kandydowała zarówno podczas I Zjazdu, jak i po dziesięciu latach, podczas... I czy II Zjazdu „Solidarności” – tutaj następuje pewien dylemat prawny, bo okazuje się, że „Solidarność”, która wyszła po „okrągłym stole”, po dziesięciu latach, to jest zupełnie inny związek zarejestrowany pod tą samą nazwą. Czyli można powiedzieć, że są to kontrkandydaci Wałęsy, którzy kandydowali podczas I Zjazdu pierwszej „Solidarności” i podczas I Zjazdu drugiej „Solidarności”. Oni prezentują w filmie swoje wizje i robią małe podsumowanie tego wszystkiego, co zdarzyło się przez dziesięć lat od powstania „Solidarności”.

**Ich wypowiedzi przeplatane są filmowymi fragmentami ze Zjazdu, tego drugiego.**

P. Z.: Tak, ponieważ niezaprzeczalnym było, że pewne materiały filmowe z I Zjazdu były materiałami unikalnymi, archiwalnymi, trudno dostępnymi, więc mnie jako początkującemu dokumentaliście zależało na tym, żeby to wydarzenie – drugi zjazd, było zarejestrowane. Im więcej kamer, tym trudniej będzie pewne rzeczy pozamiatać pod dywan. W związku z tym zrobiłem wszystko, żeby być na tym Zjeździe i taki film spróbować zrealizować.

**Jakie były Pańskie wcześniejsze związki z „Solidarnością”?**

P. Z.: Nie byłem członkiem pierwszej „Solidarności”, ponieważ studiowałem jeszcze wtedy w Łódzkiej Szkole Filmowej. Należałem wówczas do Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Ponieważ tradycyjnie, rodzinie byliśmy związani z „opcją zachodnią”, jeśli można tak powiedzieć, w związku z tym wszelkie przejawy nurtu wolnościowego, tzn. wolności słowa, niezależności, etyki, moralności były zawsze blisko i były w moim domu w jakiś sposób kultywowane. Gdy tylko pojawiały się w życiu publicznym możliwości i sygnały powrotu tych wyższych wartości do świata polityki czy sfery

społecznej, to zawsze mimowolnie to człowieka interesowało, mnie tym bardziej. Moją pierwszą szkołą, przed filmową, była uczelnia artystyczna, gdzie byłem kształtowany pod wpływem pewnych niepokornych tendencji, na sztuce bardziej współczesnej, a nie tradycyjnej. Rodziła się więc we mnie taka artystyczna przekora. To wszystko plus ten okres zmian, gdzie raptownie wybuchła „Solidarność”, sprawiło, że mimowolnie włączyłem się w ruch odnowy kraju i próby łamania systemu. Z „Solidarnością” współpracowałem jednak tylko i wyłącznie na tej zasadzie, że np. robiłem afisze dla łódzkiej „Solidarności” typu „telewizja kłamie”, ale to były działania spontaniczne.

**Czy planując film chodziło tylko o dziesiątą rocznicę powstania „Solidarności”, czy też realia roku 1990 za niepokoiły Pana na tyle, że pobudziły do refleksji na temat dziesięcioletniej ewolucji tego ruchu społecznego?**

P. Z.: Doszedłem do wniosku, że koniecznie trzeba być w Gdańsku, gdy pojawiła się po „okrągłym stole” druga „Solidarność”. Scenariusz filmu składał się jedynie z kilku zdań, co dziś jest wręcz nie do przyjęcia. Wiedziałem tylko, że interesuje mnie to, z czym „Solidarność” wyszła po 10 latach stanu wojennego i że trzeba nakreślić wszystko, co będzie się działo w Gdańsku. Dopiero w Gdańsku powstała cała konstrukcja filmu. Postanowiłem nie przelewać swoich opinii na taśmę, bo to byłoby nieuczciwe. Wolałem natomiast dać się wypowiedzieć innym. Chciałem, by powiedzieli, dlaczego jedni uczestniczą w tym zjeździe, a inni nie, skąd się biorą bojkoty, dlaczego np. Andrzej Słowik z Regionu Ziemi Łódzkiej „Solidarności” załapał się dosłownie do ostatniego wagonu jadącego do Gdańska itp. To wszystko bardzo mnie ciekawiło. Postanowiłem konstrukcję oprzeć na wypowiedziach tych, którzy chcieli ten związek poprowadzić. Problem był z Marianem Jurczykiem i z Andrzejem Gwiazdą. Jurczyk zainicjował bojkot mediów jako odpowiedź na pomijanie jego osoby i jego wypowiedzi. Andrzej Gwiazda już od stanu wojennego bojkotował media, nie chciał uczestniczyć w manipulacji, w hecy, jaką było dla niego tworzenie się drugiej „Solidarności”. Postawił pewne kryteria, które przez związek nigdy nie zostały spełnione. Nie chciał, by media mówiły, że wszyscy po „okrągłym stole” uczestniczą w tym, co się będzie teraz działo. Udało mi się jednak (głównie dzięki Annie Walentynowicz) przekonać Andrzeja Gwiazdę do udziału i muszę powiedzieć, że jego wypowie-



dzi rzucają na kształt tego filmu. Opierając się o pewne fakty można zauważyć, że mają one nawet charakter swoistego proroctwa, ponieważ po 25 latach od powstania pierwszej „Solidarności”, a po 15 latach od 1990 r., jego wypowiedzi nadal są aktualne, a pytania, które padają w filmie, pozostają bez odpowiedzi. Choć na niektóre pytania możemy próbować sami odpowiadać, obserwując dzisiejsze życie publiczne.

#### **A czy Lech Wałęsa został poproszony o wypowiedź w tym filmie?**

**P. Z.:** Oczywiście. Wałęsa był głównym motorem tych zdarzeń, więc zwróciliśmy się do niego z prośbą, by odpowiedział na kilka pytań dotyczących przemian w Związku – dlaczego obecni są na Zjeździe jedni, a inni nie, dlaczego nie zaproszono członków pierwotnej Komisji Krajowej itp. Pan Wałęsa nie zgodził się udzielić odpowiedzi...

#### **Argumentował to jakoś?**

**P. Z.:** Nie. Przesłał sygnał, że nie godzi się na udzielenie wypowiedzi, być może byłem dla niego „nie swój, nieznamy”, aczkolwiek byliśmy przecież ekipą z Wytwórni Filmów Oświatowych z Łodzi (dobrze, że dostaliśmy chociaż wejściówki). W związku z tym zdecydowałem, że pan Wałęsa odpowie nam po prostu z mównicy zjazdowej. Jego wystąpienie pokazane jest w filmie i wydaje mi się, że odpowiada w nim właśnie na pytania, które w filmie padają.

#### **Czy były jakieś problemy przy przygotowywaniu tego materiału?**

**P. Z.:** Problemów raczej nie było, ze względu na specyficzną zawieruchę w kraju. Starłem się wtedy o dofinansowanie z Departamentu Kinematografii Ministerstwa Kultury i Sztuki, a że scenariusz napisany był dość enigmatycznie, nie próbowano robić żadnych blokad. Zdawano sobie sprawę, że wszystko jest jeszcze pod kontrolą i nikt nie wysoczy z jakąś niespodzianką. Tym bardziej, że robiłem ten film na taśmie 35 mm czarno-białej, a więc w bardzo ograniczonej formie. Ilość taśmy na jakikolwiek film była w tym czasie bardzo limitowana. Wiedzano, że przy naszych skromnych możliwościach sprzętowych, finansowych, ograniczeniach czasowych, nic się nie może wydarzyć. A nawet gdyby coś się wydarzyło, to i tak później będzie można to pokątnie „nieumyślnie” zniszczyć lub zagubić.

#### **A co było później? Jak wyglądała kolaudacja filmu?**

**P. Z.:** To była jeszcze wtedy inna kolaudacja niż taka, która teraz się odbywa. Ale nie była to już też taka, podczas której przychodził pan pułkownik w mundurze, nie wysłało się już filmów do Warszawy, gdzie jacyś ludzie decydowali o tym, co może być w filmie, a co nie, albo jaki film idzie na półkę do archiwum, a jaki zostanie pokazany. Kolaudacja odbyła się w Wytwórni Filmów Oświatowych, z redakcją, dyrekcją, zaproszonymi twórcami, około 30 osób. Było to w zasadzie zamknięte środowisko filmowe, środowisko twórców. Po projekcji i zapaleniu światła w sali kinowej, nastąpiła dość długa chwila ciszy. Ale później, ku mojemu zaskoczeniu, zaczęto bić brawo. Zdziwiła mnie ta akceptacja ze strony bardzo krytycznego przecież środowiska. Upamiętniłem sobie, że ten

film będzie zupełnie inny niż to, co wylewało się wówczas z telewizji, z radia, z gazet, inny niż te wszystkie „ochy” i „achy” na temat tego, jak to się wszystko teraz pięknie układa od kiedy wszyscy się pojednali. Film pokazuje inną stronę medalu, zdziwiła mnie więc pozytywna reakcja zaproszonych dokumentalistów i wszystkich innych gości zajmujących się filmem. Nie przypuszczałem jednak, że potem stanie się to, co jest dla twórcy najgorsze: że mój film zupełnie nie zostanie nagłośniony, że zostanie absolutnie zablokowany.

#### **Była możliwa jakaś dyskusja na ten temat?**

**P. Z.:** Nie, tu nie było żadnej dyskusji. Dyskusje prowadzone były raczej z ciekawości, dotyczyły szczegółów. Przecież ten film pokazywał rzeczy, o których w 1991 r. (bo to już był kwiecień 1991 r.) nigdzie nie można było przeczytać. Gwiazdy, Jurczyka, a nawet Słowika, Wójcika czy Rulewskiego prawie nie było wówczas w telewizji, nie byli obecni w prasie. Poza Wałęsą i „układem warszawskim” inne rzeczy nie były znane.

#### **Jaka jest historia tego filmu od kolaudacji do dnia dzisiejszego i jego publicznych pokazów? Ile osób mogło obejrzeć ten film?**

**P. Z.:** Na początku pokazywałem ten film prywatnie, chyba dwa razy. W sumie przez te 15 lat film puszczały tylko kilka razy, sporadycznie, podczas różnych wydarzeń. Była próba dystrybucji na kasetach VHS przez firmę upoważnioną do tego przez WFO, ale było to półprofesjonalne i nic większego z tego nie wyszło.

#### **Czyli jednak była oficjalna dystrybucja?**

**P. Z.:** To nie było tak jak się to dzisiaj robi na większą skalę, plakaty itp., my mówimy o jakichś 20-30 kasetach, więc zasięg był naprawdę mały. Głównie rozprowadzano je w Łodzi, przy różnych okazjach. Ten film prawie nie istnieje. Zaczęto się nim interesować dopiero teraz. Może przychodzi wreszcie czas na jakieś nowe podejście do tego, co się zdarzyło i ludzie sami sobie zadają niewygodne pytania? Ludzie chcą dotrzeć do źródeł, chcą wiedzieć, dlaczego u nas w kraju wszystko jest takie toporne, powiązane z mafijnymi układami, a oni sami czują się oszukani.

**Piotr Zarębski** (ur. 1956) – absolwent Wydziału Operatorskiego Łódzkiej Szkoły Filmowej, reżyser, scenarzysta, producent, operator filmowy. Prowadzi firmę „Marta” TV & Film, zajmującą się produkcją i dystrybucją filmów. W dorobku reżyserskim ma m.in. filmy „Europa II” (dwukrotnie nagrodzony na II Festiwalu Mediów w Łodzi), „Nie oplataj mnie...” (nominacja do nagrody Golden Gate w San Francisco), „Posłańcy Pana Boga” (II nagroda na Festiwalu Filmów Katolickich w Niepokalanowie), „Solidarność 1980-1990 – 10 lat później”, a także głośny przed kilkunastu laty film „Pistolet do wynajęcia, czyli prywatna wojna Rafała Gan-Ganowicza”. Zajmuje się także produkcją filmów, m.in. „Tatarska baśń” i „Śladami Vincenza”. Obieżyświat, realizujący swoje filmowe tematy w wielu krajach Europy, obu Ameryk i Afryki. Często prezentuje autorskie filmy na niekomercyjnych pokazach w Polsce, USA, Francji i Paragwaju.



### W telewizji film nie był pokazany?

P. Z.: Nie był. Film jest własnością Wytwórni Filmów Oświatowych i propozycje składane przez nią mediom, dotyczące emisji tego filmu, są odrzucane, myślę, że z powodów politycznych. Ja sam wychodziłem kilkakrotnie z inicjatywą, by ten film został puszczony. Składałem tę ofertę w redakcji Programu II, gdy prezesem był jeszcze Andrzej Drawicz. Oficjalnej odpowiedzi nie było, ale zakulisowa odpowiedź brzmiała, że mają jeszcze inne rzeczy do zrobienia, że z tym filmem można by jeszcze poczekać itd. Gdy prezesem został Wiesław Walendziak wysłałem mu film i zapytałem, czy nadejdą kiedyś czasy, że takie filmy będą nie tylko puszczane, ale także przez telewizję publiczną realizowane. Dostałem jedynie wymijającą odpowiedź. Później chyba jeszcze raz podjąłem podobną próbę, ale również bez rezultatu. Oficjalne projekcje, które zorganizowałem w kinie, były trzy lub cztery. Zawsze zbierało się trochę ludzi, toczyły się później dyskusje i zawsze publiczność pozytywnie odbierała film. Pewne rzeczy film po prostu im wyjaśniał. Przedostatnią projekcję (ostatnia była w Łodzi) miałem u Karmelitów Bosych w Poznaniu, przyszło ok. 50 osób. Po niej pewna pani podeszła do mnie i „pogratulowała mi” w sensie negatywnym niszczenia polskich mitów, a dotyczyło to głównie Wałęsy. Później rozgorzała dyskusja na temat tychże „mitów” i publiczność uważała je za twór sztuczny, stworzone nie tylko dla mydlenia oczu w kraju, ale również na Zachodzie. Ciekawe, ale temat tego filmu jest niesamowicie związany z problemem obchodów kolejnych rocznic powstania „Solidarności”, bo wywołuje on pytania np. o to, której „Solidarności” jest to rocznica? To obrazuje pewne wątpliwości dotyczące samej transformacji. Odpowiedzi na pytania, które zadawane są w moim filmie, dotyczą jednak także szerszych problemów: rozliczenia systemu komunistycznego, dekomunizacji, lustracji.

Co zwykły obywatel może zrobić, aby ten film doczekał się jednak emisji w publicznej telewizji? Czy widzi Pan możliwości wpływania przez społeczeństwo na

telewizyjnych decydentów? Ludzie oglądający film podczas Festiwalu Obywatela zastanawiali się, co zrobić, by dotarł on do szerszej publiczności.

P. Z.: Obawiam się, że sporadyczne naciski nie mają szans powodzenia. To by musiała być jakaś zorganizowana akcja, albo potrzeba chwili. Pojedyncze listy raczej nie odnoszą skutku. Często też telewizje po prostu nie wiedzą o powstających filmach i nie są o tym przez wytwórnie informowane. Dobrą metodą wydaje się być nagłaśnianie pewnych problemów w prasie. List do prezesa Telewizji mówiący o tym, że istnieje taki film, który nigdzie oficjalnie nie został puszczony, a powinien być pokazany, może podnieść pewien problem. Ale skutek będzie zapewne minimalny. Gdyby ten film telewizja wyprodukowała, a nie wyemitowała, wtedy powstałoby pytanie, dlaczego publiczne pieniądze zmarnowano. Natomiast on pochodzi z okresu transformacji, wytwórnia filmowa była instytucją niezależną, telewizja nie ma obowiązku go puszczać. Jednak gdy chce się odpowiedzieć na pewne pytania, wtedy sięga się do źródeł. Myślę, że przyjdzie niedługo okres wyciągania pewnych rzeczy. Zresztą on już się pojawia, coraz więcej wiemy. Swoją drogą, w okresie narodowej żałoby po naszym papieżu przestano puszczać głupawe seriale i reklamy, a zaczęto sięgać do rzeczy wyższych. I okazało się, że po kilku dniach zabrakło materiałów do emisji. Zaczęto wyciągać wszystko, co było „religijne”.

Spodziewał się Pan, że po roku 1989 nadal będą problemy z emisją filmów?

P. Z.: Z dzisiejszej perspektywy mogę powiedzieć, że nie spodziewałem się. Ale wiedziałem, że to wcale nie idzie nowe, tylko nowe w cudzysłowie.

Dziękuję za rozmowę.

Łódź, 4 maja 2005 r.



Fot. ze zbiorów Zenona Kwoki. Na fotografii: Z tyłu Bogdan Borusewicz, Przy stole Andrzej Gwiazda i Joanna Gwiazda, pomiędzy nimi Paweł Mikłasz (TW „Jan Lewandowski”), stoi z prawej – Alina Piętkowska.

# Film można odłożyć na półkę...

- z Dariuszem Małeckim  
rozmawiają Rafał Górski  
i Szymon Surmacz

Skąd pomysł na film „Podwójne dno”?

D. M.: Pierwszy pomysł dotyczył zrobienia filmu o ludziach, którzy organizowali strajk, czyli tych, którzy zaczęli „Solidarność”. Potem, w trakcie rozmów, kiedy zjawili się u pani Walentynowicz i państwa Gwiazdów, wyszło, że jednak będzie o całym środowisku, które istniało przed Sierpniem, czyli o Wolnych Związkach Zawodowych. Scenariusz złożony w Telewizji Polskiej był raczej ogólny, ale bohaterowie filmu – wspominam o tym *à propos* przyszłych kłopotów z emisją filmu – zostali w nim wymienieni, czyli od początku było jasne, że w filmie pojawi się Anna Walentynowicz oraz Joanna i Andrzej Gwiazdowie.

Co w takim razie, Pana zdaniem, zdecydowało o tym, że film nie został wyemitowany?

D. M.: Film został ukończony, odbyła się kolaudacja, podczas której nie było żadnych zastrzeżeń od strony merytorycznej czy artystycznej. Kolaudacja była wręcz porządnie prowadzona i niektórzy mówili, że ci ludzie – bohaterowie filmu – nareszcie się odezwali, nareszcie możemy posłuchać ich zdania, bo dotychczas siedzieli w jakimś zamknięciu. Nie było ich w mediach i nareszcie mieli szansę wypowiedzieć się o tym, co się dzieje w kraju. Ale usłyszałem też, jak redaktor zamawiająca, Krystyna Mokrosińska, powiedziała po pokazie: No, tego się obawiałam, tego się obawiałam. Na kolaudacji film był przyjęty, ale później warunkiem emisji było to, żeby wszyscy bohaterowie podpisali się pod listą dialogową, czyli pod wypowiedziami, które na papierze spisane zostały z filmu. To był absurd. Kasetę została wysłana do Bogdana Borusewicz z pytaniem, co on myśli na temat tego filmu. Odpowiedział, że myśli to, co myśli, jego koledzy mówią to, co mówią, ale nie można niczego zabronić. Nie było zakazu emisji. Sytuacja się uspokoiła, film miał zostać wyemitowany. Ale nie został.

Który to był rok?

D. M.: To był rok 1995. Później pisałem różne pisemka do kolejnych prezesów Telewizji. Odpowiadali, że to są już historyczne rzeczy albo nie odpowiadali w ogóle. Nawet do Kwiatkowskiego pisałem.



fol. Bartosz Malinowski

Niewyemitowanie Pańskiego filmu tłumaczono tym, że jest on już nieaktualny?

D. M.: Pisali, że to już przebrzmiała sprawa. Lekceważyli go, uważali, że jeśli jeden film nie zostanie wyemitowany, to nic się nie stanie. Takie jest podejście w tym młynie telewizyjnym. Ostatnio mówiłem komuś w redakcji filmów dokumentalnych, że jest taki film. Zainteresował się, powiedział, że można film przynieść, bo on sam nie może go wydobyć z archiwum. Ale film sprzed 10 lat, nie emitowany, to w telewizji już sprawa archiwów, programów składających się z fragmentów archiwalnych. To jest pewna polityka programowa. Pani Mokrosińska mówiła mi po kilku latach o trzech lub czterech próbach skierowania tego filmu do emisji i tyluż odmowach ze strony przełożonych. Nie wiem, czy to prawda. Ona kierowała film do emisji, ale emisja się nie odbywała – tak mi powiedziano. Pokazywałem ten film jego bohaterom. Pani Walentynowicz jeździła z nim, pokazywała przy różnych okazjach, na spotkaniach publicznych. Jedynie w taki sposób film dotarł do nielicznej publiczności. Dla redaktorów z Telewizji nie ma problemu, że nie został on wyemitowany...

Dla redaktorów nie ma problemu, a dla twórcy?

D. M.: Oczywiście, że jest. Jest także dla bohaterów, którzy coś mówią, o czymś opowiadają. Był protest redaktorki zamawiającej, która nie zgadzała się z wymową filmu, z tym, że strajk i cały ruch mógł być częściowo sprowokowany, z pewnymi – jak to nazwała – pomówieniami padającymi w filmie. Nie zgadzała się z tym, a skoro się nie zgadzała, oznaczało to, że nie będzie zbytnio optowała za upublicznianiem filmu.

Dariusz Małecki (ur. 1960) – autor-reżyser, scenarzysta i producent kilkunastu filmów dokumentalnych oraz cyklów reportaży, m.in. „Paragraf 148 – kara śmierci” dla TVP 2, „Blisko Ciebie” dla RTL 7, cyklu widowisk edukacyjnych pt. „Skandal Metawizyjny, czyli filozofia dla każdego” dla TVP 1, także autor i producent reportaży dla „Ekspresu Reporterów” oraz wielu innych programów telewizyjnych. W latach 1980-1988 studiował filozofię i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim.



#### Kolaudacja nie jest więc istotna?

**D. M.:** Jest, żeby dostać honorarium, żeby zakończona została produkcja i film został złożony w magazynie pod jakimś numerem. Formalne warunki muszą być dopełnione...

Czyli wyemitowanie filmu – zrobionego za publiczne pieniądze – w publicznej telewizji, też utrzymywanej z budżetu państwa, zależy w zasadzie tylko od subiektywnej oceny redaktora i jego przełożonych?

**D. M.:** Tak. Film można było spokojnie odłożyć na półkę bez pokazania go telewizjom – obecnie jest to chyba trudniejsze, bo część rozliczeń finansowych jest finalizowanych dopiero po emisji. Może także zostać wyemitowany np. o 1 czy 2 w nocy, żeby jakieś rozliczenie nastąpiło. W przypadku „Podwójnego dna” nie było problemem to, że nie został wyemitowany – raczej był problem, że film mógłby zostać pokazany telewizjom. Prezydentem był wtedy Lech Wałęsa, o którym w moim filmie mówi się sporo...



kadr z filmu „Podwójne dno”

Czy zrobienie filmu w taki a nie inny sposób zaważyło na Pana dalszych losach?

**D. M.:** Raczej nie, może jedynie w redakcji filmów dokumentalnych byłem inaczej postrzegany. Ten film po prostu nie istniał publicznie, był tylko w telewizyjnej redakcji i tylko tam o nim wiedziano. Pozostawał on właściwie cały czas w Programie 2, u ludzi, którzy go najpierw zamawiali, a później decydowali o dopuszczeniu do emisji. Nie wiem, kto go oglądał, a kto nie i czy nie zgodziła się na emisję dyrekcja Programu 2, czy ktoś inny. Tego filmu w zasadzie „nie ma”.

A czy można oszacować, ile podobnych filmów, niekoniecznie o „Solidarności”, po pozytywnie zakończonej kolaudacji ląduje na półkach archiwum?

**D. M.:** Trudno powiedzieć, konkretnych tytułów raczej nie znam, ale to są rzeczy rozgrywane się w wąskim gronie...

#### A przyczyny?

**D. M.:** Albo osoba reżysera jest „nie ta”, albo temat „nie ten”. Może to być niewygodne, mogą być naciski albo zwykłe ludzkie odruchy, że się tego boję, że stracę pracę. Wiele jest takich czynników.

Trudno też określić, czy jest jakiś temat, który został wyraźnie zakazany?

**D. M.:** Wiele tematów, które kiedyś wyglądały na zakazane, teraz wychodzi na wierzch, zaczyna się o nich mówić. Ale w telewizji jako pierwszym z mediów niemal nigdy nie ma tematów, które są ciekawe, ale jednocześnie kontrowersyjne lub „niebezpieczne”. Takie tematy są najpierw opisywane w gazetach, a dopiero później robi się o tym film. Tak to działa. Dominuje tam myślenie w stylu: najlepiej, żeby napisało o jakiejś sprawie kilka gazet, to wtedy będziemy bezpieczni i możemy o tym samym zrobić film. Skoro inni napisali, to my to pokażemy.

Ale w mediach chyba coś się zmienia? Pojawiają się tematy wcześniej nieistniejące, do publicznego obiegu trafiają fakty niewygodne dla wielu środowisk (casus „listy Wildsteina”). Zaczyna być głośno o tamtych latach, padają pytania o kontrowersyjne tematy dotyczące opozycji antykomunistycznej i tzw. transformacji ustrojowej.

**D. M.:** To prawda, ale telewizja rządzi się teraz innymi prawami. Wszystko tam ma być opowiadane sprawnie, czyli wedle dzisiejszych norm – sensacyjnie. To jest medium, które nie zajmuje się sprawami zbyt długo. Filmy dokumentalne niemal nie istnieją w Jedyńce, nieco lepiej jest w Dwójce.

Ma Pan jakiś pomysł dla ludzi, którzy płacą abonament, a nie mogą obejrzeć „Podwójnego dna”? Co oni mogą zrobić w sprawie emisji filmu w publicznej telewizji?

**D. M.:** Mogą pisać na Berdyczów [śmiech]. A mówiąc poważnie – można spróbować pisać do władz Telewizji Polskiej z pytaniami, dlaczego taki czy inny film nie jest emitowany, mimo że powstał za publiczne pieniądze. Jeśli coś jest na piśmie, to już istnieje. Chociaż odpowiedzi można nie uzyskać...

Czy zdarzają się takie przypadki, że jakiś film został wyprodukowany, a później „przepchnięty” w Telewizji dzięki społecznemu naciskowi?

**D. M.:** Przykładem takiego filmu jest „Obywatel Poeta” Jurka Zalewskiego. Przez rok nie był emitowany, ale w końcu udało się go pokazać. Ale filmy raczej są emitowane, choć często o gorszej porze i bez zbytnej reklamy, tak by za dużo osób ich nie obejrzało...

Dziękujemy za rozmowę.

Warszawa, 21 czerwiec 2005 r.

# Obywatel Reżyser

- mówi Jerzy Zalewski,  
słuchają Rafał Górski  
i Szymon Surmacz

## Zamysł

Przez lata młodsze grałem w piłkę i czytałem książki, a opozycja mnie nie obchodziła, bo jestem z takiej rodziny, która świetnie wiedziała, że prawdziwa opozycja w czasach komunizmu powinna siedzieć w ciężkich warunkach w więzieniu albo w ogóle nie żyć.

„Solidarność” to było jednak niezwykle wrażenie. Myślę, że cywilizacja europejska nie знаła takiego zjawiska, w którym naród tak głęboko upodlony, przez półtora roku zachowuje tak niesłychaną godność. O to warto się bić. To była przymiarka do wolności. Silnie przeżyłem stan wojenny i nie wybaczę go nigdy.

Na czwartym roku szkoły filmowej razem z przyjaciółmi, Andrzejem Kraszewskim i Robertem Kaczmarkiem, założyliśmy studio filmowe Dr Watkins, choć przyznam, że determinacja, by ono powstało była po stronie moich współników. Ja chciałem robić filmy, a nie je produkować. Dzisiaj wiem, że jeżeli cokolwiek udało mi się z moich projektów zrealizować, to tylko dzięki temu, że byłem producentem własnych filmów.

Wtedy wydawało się, że skoro jest po „okrągłym stole” i zmieniają się reguły gry, to my jesteśmy niezbędni, by je zmieniać. Główny zamysł polegał na tym, żeby odkłamać to, co stało się za komuny. Bez ukarania winnych świat III RP nie tylko nie ma sensu, ale także najmniejszych szans na normalność. Tak myśląc, zderzyłem się ze światem lekko telewizyjny, która nie wyobrażała sobie karania czy wskazywania winnych. Choć trzeba przyznać, że telewizja jako materia wtedy była bardziej uległa, ponieważ ludzie tam pracujący sami nie wiedzieli, co się wydarzy. Trzeba wiedzieć, że ludzie telewizji i ludzie mediów to były osoby najczęściej z wysokich w hierarchii kadr służb specjalnych okresu komunistycznego. Żołnierze frontu ideologicznego, po prostu. Myślę, że byłem świadkiem, jak media publiczne w tej wolnej Polsce wykonały najpierw taką pełną oczekiwania stójkę, po czym w przeróżnych ubrankach dokonały tego, żeby mediami publicznymi nie być. Ludzie wchodzący do telewizji z zewnątrz byli natychmiast wchłaniani przez układ albo wylatywali z tego układu. Wchodząc do mediów, stajesz się człowiekiem uwikłanym w pewną rzeczywistość wirtualną, która nie jest ani jednym wielkim kłamstwem, ani prawdą. Jest takim światem pozornym. Oficjalnie cenzura przestała obowiązywać, jednak ludzie telewizji, jak ładnie powiedział kiedyś Rafał Ziemkiewicz, znakomicie wiedzą, co mają robić – tak, iż redaktorzy naczelni nie muszą wydawać poleceń. No właśnie, no to skąd wiedzą? Myślę, że znakomicie wyczuwają zakres komunikacji z widzami: co można mu powiedzieć, a czego nie, tak by szefowie byli zadowoleni a opinia publiczna uspiona.



foto Krzysztof Wobczko

## Szpiedzy

Czesław Bielecki do Porozumienia Ponad Podziałami – coś takiego kiedyś było – zaprosił czterech szpiegów czy raczej ludzi oskarżonych o szpiegostwo: Tadeusza Płużańskiego, Jerzego Pawłowskiego, Zdzisława Najdera i Józefa Szaniawskiego. Dyskusja, jak pamiętam, dotyczyła oceny moralnej postawy pułkownika Kuklińskiego – zdrajca czy bohater. Ale ja postanowiłem zrobić film o „szpiegach – świadkach historii”, czyli o funkcjonowaniu aparatu państwa komunistycznego. Odwróciłem kolejność przedstawienia ich losów: zacząłem od Szaniawskiego, który za współpracę z Radiem Wolna Europa siedział jeszcze za czasów rządu Mazowieckiego, potem był Najder, który za prowadzenie RWE dostał zaocznie karę śmierci, dalej Pawłowski, któremu faktycznie udowodniono, że był amerykańskim szpiegiem, wreszcie Płużański, którego, współpracownika rotmistrza Pieleckiego, więźnia Auschwitz, przy najgorszej woli można by nazwać „szpiegiem generała Andersa”. Taką złą wolę wykazał sąd komunistyczny i człowiek ten siedział 7 lat we Wronkach. Tak ułożony film pytał o tożsamość i niezawisłość PRL-u.

Film miał chyba cztery kolaudacje. Za każdym razem mówiono mi, żebym coś zmienił. Jak mówiłem słowo „cenzura”, to oni dostawali obłędu, no bo cenzury nie ma. Na każdą kolejną kolaudację przynosiłem film w identycznej postaci. To trwało chyba półtora roku. Później film udało się pokazać na Zachodzie i trafił do Cannes na taki dokumentalny pokaz. Dopiero po tym telewizja zdecydowała się go przyjąć i wyemitować.

Po „Szpiegach” lepiej zrozumiałem, gdzie jestem, że telewizja to tylko świetne miejsce na wyciskanie kasy. Są tacy wybrani kolesie, którzy dobrze z tego żyją, nie fikają, a obrót idzie, kasa spływa w różne miejsca. Nazywać ją „publiczną” to już jest pełna groza, bo jedyne, co mi się z tą instytucją kojarzy to dom publiczny.

Wtedy pojąłem, że jest to wyzwanie, że to jest jakaś sprawa, że może jest ważniejsze być artystą, który stara się przełamywać opór, mówić rzeczy niewygodne i niechciane. Czyli robić to, co jest właściwie niemożliwe...





## Sukces

Wtedy, niespodziewanie, po zrobieniu „Taty Kazika”, zostałem gwiazdą dokumentu. To był zachwyt po prostu ogólnonarodowy. Bo Kazik i Kult, i muzyka rockowa dla młodzieży, bo piękne teksty i melodie Stanisława Staszewskiego dla ludzi pamiętających komunizm. No i byłem gwiazdą dokumentu przez dwa sezony (zaraz potem zrobiłem kontynuację „Taty Kazika” – film „Staszek”), a także twórcą kierunku – muzycznego dokumentu. Zachwycali się wszyscy, także ci, których nie lubię. Opowiedziałem nostalgiczną historię o byłym komuchu, który pięknie śpiewał. No właśnie, był tym komuchem czy nie był? Może był tylko ofiarą systemu? Kazik Staszewski próbuje w trakcie filmu tego dociec. W każdym razie powstała łatwo przyswajalna metafora komunizmu, po trosze z ludzką twarzą.

## Oszło

Do telewizji przyszli tzw. „pampersi”, czyli moi koledzy, nie najbliżsi, ale zawsze. Tacy grzeczni, kulturalni, prawicowi, lecz nie tacy radykalni, jak się okazało za chwilę.

To jest stary błąd, stary problem wchodzących zarówno pokoleń, jak i ugrupowań, że aby pokonać mafie próbują zrobić antymafię. Na „ich” przewał – „swój” antyprzewał. W związku z tym zaczęli budować firmy-krzaki. Okazało się, że firmą-krzak miał być także „Dr Watkins”. No i miałem kolejnych wrogów, tym razem ze swojej strony barykady...

Nie ukrywam, że liczyłem na to, iż jeśli zaczyna się ta inna telewizja, to może będę mógł realizować swoje pomysły. Przez cały czas żyłem w przekonaniu, że to nie sztuka dać dupy i robić karierę, lecz sztuką byłoby nie dać dupy i ją zrobić. Na własnym przykładzie przekonałem się, że to raczej trudne.

Zanim doszło do konfliktu, pampersi podpisali jednak zgodę na produkcję „Oszłoma”. Film wziął się z tego, że zobaczyłem na Krakowskim Przedmieściu nekrolog Michała Falzmanna, w którym była informacja o jego tragicznej, niewyjaśnionej śmierci. Powstał dokument o tym, że Michał Falzmann namierzając aferę FOZZ-u, zdiagnozował cały system, jaki funkcjonuje w Polsce. To dotyczyło Balcerowicza, wszystkich. Do tego tę super-współczesną rzeczywistość zderzyłem z profetycznym przesłaniem Wyspiańskiego ze sceny z „maskami”, z „Wyzwolenia”. „Warchoły to wy” – i temu podobne insynuacje.

Ten film był kolaudowany przez „pampersów” już po tej wojnie, którą sobie zafundowaliśmy. Na kolaudację zaprosiłem jako sojusznika Czesława Bieleckiego. No i on się

potwornie denerwował. Krzyczał, że to jest sukces filmu połączony z klęską reżysera. A tak krzyczał, że siedzący za nim mój wykładowca ze szkoły filmowej, Andrzej Brzozowski, powiedział do Bieleckiego: „Proszę pana, jak pan tak bardzo krzyczy, to panu taka żyła bardzo wychodzi i ja się boję, że panu pęknie”. To jakoś najbardziej zapamiętałem z tej kolaudacji. Andrzej był zawsze opanowany i trzymał taktowny dystans. Myślę, że w szkole filmowej w Łodzi spotkałem dwie osoby, które swoim światłem rozjaśniły to ponure miejsce – Wojciecha Jerzego Hasa i Andrzeja Brzozowskiego. Obaj nie żyją – Andrzej zmarł przed chwilą, w lipcu 2005. Przy okazji chciałem im podziękować, że miałem zaszczyt ich spotkać...

Film wyemitowano na odchodne grupy „pampersów” z telewizji, ze wstępem Macieja Iłowieckiego, który próbował przygotować widzów do tak kontrowersyjnego spektaklu. Film pokazano jeden raz. Nie wrócono do niego, gdy po dziesięciu latach o aferze FOZZ-u mówią nawet dzieci w przedszkolu.

## Kelus

Niektórzy uważają „Był raz dobry świat – film o Janie Krzysztofie Kelusie” za mój najlepszy film.

J.K.K. od końca lat 60. był blisko opozycji, w '68 siedzi, potem współpracownik KOR-u. Mając skłonność do prostego grania na gitarze i prostych tekstów, jest takim bardem pokolenia „przedsolidarnościowego”. Co jest zadziwiające, jego piosenki kompletnie znikły. W stanie wojennym, wydaje kasety w CDN-ie, promuje innych ludzi, jest w konspiracji. Po 1989 r. nie występuje na spędach. Raz, z powodów zdrowotnych, dwa, że źle się czuje w takim pędzie do władzy. Gdy nastaje „okrągły stół”, on się wycofuje. Obecnie produkuje miód pod ruską granicą...

Nigdy nie zabiegał o popularność, a teraz choroba do tego doszła, nie może grać na gitarze. Robiąc film przepytalem mnóstwo ludzi z opozycji i tak mnie znudzili, że wszystkich wyrzuciłem, zostawiłem tylko wypowiedzi żony. Nie wiem, czy to jest mój najlepszy film, w każdym razie jest o miłości. Mimo to też były jakieś kłopoty kolaudacyjne, bo ja np. bardzo podkreślałem, że on był daleko od Michnika itd.

## Biała rzeka

Zrobiłem w 1990 roku taki film „Biała rzeka”, o anarchistach w Moskwie, mieszkających na skłocie, siedziałem tam z nimi ponad miesiąc. Gdy Andrzej Wajda zobaczył ten film, zaproszony na pokaz przez Andrzeja Brzozowskiego, to po-

**Jerzy Zalewski** (ur. 1960) – reżyser filmowy, scenarzysta, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej oraz Wydziału Reżyserii Łódzkiej „Filmówki”. Właściciel Studia Filmowego „Dr Watkins”, niezależnej firmy zajmującej się produkcją filmów. Twórca wielu filmów dokumentalnych i paradokumentalnych, m.in. „Wieża Babel” (1993; o Edycie Stein), „Tata Kazika” i „Staszek” (1993 i 1995; o bardzie Stanisławie Staszewskim), „Oszło” (1994; o Michale Falzmannie, odkrywcy afery FOZZ), „Był raz dobry świat” (1997; o opozycyjnym bardzie Janie Krzysztofie Kelusie), „Dysydent końca wieku” (1999; o radzieckim dysydencie Władimirze Bukowskim), „Obywatel Poeta” (2000; o Zbigniewie Herbercie i jego stosunku wobec PRL i rzeczywistości po roku 1989), „Dwa kolory” (2004; historia polityczna Polski ostatnich dwóch dekad). Reżyser dwóch spektakli teatralnych dla Teatru Telewizji: „Bohaterowie pracy” (wg H. Bakera) i „Kość w gardle” (wg S. Thémersona), a także monodramów w cyklu „Głosna

samotność”, opartych m.in. na twórczości Leopolda Tyrmanda, Andrzeja Bobkowskiego, Edwarda Stachury, Marka Hłaski, Jerzego Stempowskiego i Zbigniewa Herberta. Był współtwórcą kilkunastu odcinków telewizyjnego programu „WC Kwadrans” z Wojciechem Ciejrowskim. W pierwszej połowie br. prowadził w Telewizji Puls program „Pod prąd”, w którym wystąpili m.in. Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Krzysztof Wyszkowski, Bronisław Wildstein, Izabella Falzmann. Filmy J. Zalewskiego wywoływały liczne kontrowersje i ataki na reżysera. „Obywatel Poeta”, poświęcony Zbigniewowi Herbertowi, był przedmiotem wścieklej nagonki ze strony szeroko pojętego środowiska „Gazety Wyborczej”. Jerzy Zalewski był gościem drugiej i trzeciej edycji Festiwalu Obywatela, gdzie pokazaliśmy jego filmy „Obywatel Poeta”, „Dwa kolory” i „Oszło”. Film „Dwa kolory” pokazano w ramach objazdowych Konfrontacji Obywatela w Warszawie, Poznaniu, Gdańsku i Skarżysku-Kamiennie.



wiedział, że każdy kraj, w którym komunizm się rozpada, ma swoją „białą rzekę”. Taki wybuch nieokiełznanej kreatywności. Porównywał to, co zobaczył z tym, co wyprawiał Polański z kolegami po październiku w Łodzi. Może.

Byłem z tą „Białą rzeką” na festiwalu w Krakowie. Zobaczyłem tłum przydupasów – redaktorów telewizyjnych, producentów, dziennikarzy. Widziałem kiedyś w Cannes, jak ci dziennikarze się zachowują – za zaproszenie na bankiet zrobią wszystko. Taki Polaczek w wydaniu inteligenta jest jeszcze gorszy niż Polaczek w wydaniu chama, bo z chamem to wiem, o co chodzi. Cham ma dwoje dzieci, na wódkę potrzebuje, walczy o życie. A inteligent to koszmar. To jest ta sama sytuacja, co w telewizji – z tego się dobrze żyje, właściwie nie ryzykując niczym. Tkwią w takiej niszy, w – powiedziałbym – świecie zdeformowanym przez Michnika... Jak ktoś będzie teraz dokumentował Polskę, to w każdym domu inteligenta, półinteligenta będzie taka półka pełna równych książek. To, co „Gazeta Wyborcza” uznała za kanon, to polski inteligent kupi. Ja nie mam żalu do ludzi prostych, ale inteligent polski to jest coś wszawego obrzydliwie. To jest ktoś głęboko wynarodowiony. Nie może być dobrego polskiego kina, bo decyduje o nim ta sama mentalna swołocz, która była za komuny, przeistoczona, zliberalizowana, ale ta sama. Dobór tych, którzy mają robić filmy, wynika z układów producentów. Trzy czwarte to stare SB, nie mam najmniejszych wątpliwości. Ci, którzy wchodzi na świeżo, nie są ze służb, ale muszą w ten układ wejść, żeby zaistnieć. Dobór ludzi do pracy jest zatem bezpieczny, wybiera się takich, którzy nikomu nie zagrażą. Do tego dochodzi jeszcze absurdalne ściganie się z Zachodem w komercyjności projektów. W związku z tym nie powstaje żadna opowieść o Polsce.

Gdzie jest więc ta po-okrągło-stołowa „biała rzeka”? Gdzie jest ten wybuch nieokiełznanej kreatywności? Gdzie jest poczucie wolności i mocy? – bo na pewno nie w mediach.

## Dysydent

Mój kolega Adam Borowski wydał książkę Władimira Bukowskiego. To się nazywało „W archiwach Kremla”, a były to rządowe dokumenty, które Bukowski zeskanował.

W czasie promocji książki, takiego objazdu po Polsce, towarzyszyłem Bukowskiemu z kamerą. Zrobiłem z tego reportaż, nawet się zgodzili na niego w telewizji. Przygotowałem też scenariusz na duży film, ale ten wpakowali do szuflady bez zainteresowania. Traf chciał, że jakaś nowa redaktorka została skierowana do działalności na styku francuskiej lewicowej telewizji Arte i naszej telewizji publicznej, i wyciągnęła ten pomysł na film o Bukowskim. Francuzi się ucieszyli, bo jak już mają pakować pieniądze w film, to lepiej o Rusku niż o Polaku. Albo go nie rozpoznali, albo nie docenili. Jak powiedziałem Bukowskiemu, że dostaliśmy pieniądze z Arte, to o mało nie umarł ze śmiechu i mówi: gówno z tego będzie. Ja na to: Nie wiadomo, co będzie, chcą, to róbmy. No i zrobiliśmy, pojechałem do Cambridge i zrobiliśmy film „Dysydent końca wieku”. Rzecz o facecie, który mieszka samotnie w domku w Cambridge, a jego główny świat to Internet, i który kontestuje już nie komunę, bo to oczywistość, ale Zachód jako spadkobiercę komunizmu.

Film zrobiliśmy, Bukowski mówi: za cholerę nigdzie ci tego nie puszcza, to w ogóle niemożliwe. Przyjechali Francuzi i się wściekli. Powiedzieli twardo, że trzeba wszystko pociąć. Nie będzie nam tu jakiś Rosjanin tłumaczył, na czym polega Europa. Myśleli, że to ma być tak, że on jak taka ryba, leży na plaży i marzy, żeby do morza wskoczyć – a on w ogóle nie marzy o żadnym morzu, lecz po prostu napierza ten piach. Miała być nostalgia Rosjanina za utraconą ojczyzną, a ja pokazałem człowieka, który walczył z komuną w Rosji, a jak znalazł się w Europie, to zrozumiał, że ma do czynienia z kolejnym totalitaryzmem. Trwało rok, zanim wydobyłem ostatnią ratę za film. Nie zgodziłem się na żadne zmiany, ale była taka scena, gdzie z dźwiękiem było słabo i musiałem ciachnąć. Wtedy Nina Terentiew, w swoim geniuszu lobbyistycznym, powiedziała: to napiszemy, że poprawki zostały dokonane. To jest wielki wkład Niny Terentiew w wolność kina polskiego. Film był puszczone raz, o 1:30 w nocy.

## Obywatel Poeta

Gdy robiłem reportaż o Bukowskim, zaprosił go do siebie Zbigniew Herbert. Byłem tłumaczem ich dialogu. Pod-



czas tej rozmowy ujrzałem w Herbercie niezwykłą postać. Zaimponowała mi jego niewiarygodna jasność umysłu. Wymyśliłem wtedy, żeby zrobić film o Herbercie. Najpierw, w cyklu monodramów pod tytułem „Głośna samotność”, który produkowałem dla telewizji, zrobiłem na podstawie jego wierszy spektakl pod tytułem „Jak nas wprowadzano”. Po zmontowaniu nie zdążyłem go pokazać Herbertowi, bo to było po tej burzy, w trakcie której zmarł.

Tak się stało, że szefem rady nadzorczej Polskiej Agencji Informacyjnej był wtedy mój kolega Andrzej Gelberg i on przekonał prezesa, aby połowę pieniędzy na film o Herbercie dał właśnie PAI. W tej sytuacji telewizja dała drugą połowę. Film powstawał przez dłuższy czas, w międzyczasie zmienił się szef PAI-u i zablokował mi ten film, chyba nie lubił Gelberga. Po kilku kolejnych miesiącach udało się wrócić do produkcji. Gdy kończyłem montaż, powiedziałem montażyście, że możliwe, iż to mój ostatni film – jeśli nie odpuszczę niczego, co tam jest, a nie odpuszczę, no i jak ten film pokażę, to będzie po balu. Tak naprawdę rzecz dotyczyła kilku elementów filmu, których przy obowiązującej autocenzurze po prostu być nie powinno – np. wypowiedzi Herberta o Michniku i Miłoszu. No tak, ale mam wrażenie, że taka autocenzura mnie nie obowiązuje.

I potem, po pół roku walki, jest premiera mojego filmu z zadziwiającym komentarzem rzecznika telewizji publicznej, który wystąpił przed emisją i powiedział, że to skandal, iż pokazujemy **taki** film. Po co pokazujemy to nie wiadomo, bo jest to bardzo niedobry film. Po emisji była dyskusja, też zadziwiająca. A potem jest okres dwóch miesięcy, kiedy pojawiają się stosy e-maili i gigantyczna dyskusja w Internecie. Gdyby ją opublikować, to wyszłaby na pewno ciekawa i niezwykła opowieść o Polsce. Poczuję pierwszy raz tak silnie, że mam swoją widownię. Jednocześnie jednak na pięć lat – to znaczy mam nadzieję, że na pięć lat – straciłem możliwość realizacji filmów dla telewizji, czyli tak naprawdę robienia filmów w ogóle.

## Dwa kolory

Jarosław Kaczyński, którego poznałem wcześniej, przyczynił się do odblokowania produkcji „Obywatela Poety” w Polskiej Agencji Informacyjnej, a następnie zaproponował, abym zrobił kampanię telewizyjną partii Prawo i Sprawiedliwość w wyborach do parlamentu. Rok później – sądzę, że z powodu dużych oszczędności, jakie poczyniliśmy przy kampanii – wróciliśmy do pomysłu, który wcześniej rzucił Kaczyński: zrobić prawdziwy film o Polsce. Wymyśliłem taką formułę, że chcę rozmawiać tylko z ludźmi, których za coś szanuję, bądź przynajmniej rozumiem ich porażki, ale którzy przy okazji byli w środku wydarzeń najnowszej historii Polski. Zaproponowałem Kaczyńskiemu listę nazwisk: Jarosław i Lech Kaczyńscy, Antoni Macierewicz, Jan Olszewski, Andrzej Gwiazda, Ryszard Bugaj, Bogdan Borusewicz, Lech Dymarski, Maciej Zalewski i Jan Rokita. Kaczyński co prawda próbował mi wcisnąć Jacka Kuronia i Jana Lityńskiego, ale Kuroń był wtedy chory, a na Lityńskiego powiedziałem „nie”, bo nie rozumiałem jego porażek. W każdym razie moja lista rozmówców została zaakceptowana. Pierwsze dwie części filmu „Dwa kolory” robiłem ponad rok. Doszło może nie do kolaudacji, ale do oglądania filmu przez Jarosława Kaczyńskiego. Nie podobało się. Jak zrozumiałem, zarzuty główne to takie, że film jest nieobiektywny, nadmiernie podkreśla rolę Rokity, a Andrzej Gwiazda opowiada tendencyjne głupstwa. Jaki z tego morał? Żadni czynni politycy, nawet naj-

szlachetniejsi, a Kaczyńskich uważam za szlachetniejszych od wielu innych, nie mogą być mecenasami „prawdziwego filmu o Polsce”. Ten film był dla nich nie do przyjęcia..

„Dwa kolory” to jest moja ocena Polski, głęboko niechętna nurtowi michnikowskiemu. Kaczyński nie może tego firmować. Nie może się tak daleko posunąć jako polityk. Powiedziałem mu: panie Jarku, pan mi ten film po prostu da. Ja się mogę nim posłużyć, a pan nie. Ja to nawet rozumiem. Myślałem, że się dogadaliśmy. A później się okazało, że jak telewizja Trwam czy Puls chciały ten film pokazać, to on się nie zgadzał. Także film został w posiadaniu moim, autorskim. W tej chwili praktycznie jest nie do obejrzenia, chyba że na takich imprezach, jak Festiwal Obywatela. Mimo to walczę, żeby powstały kolejne dwie części, bo ta opowieść jeszcze się nie skończyła.

## Koniec

Dla mnie w dokumencie najważniejsza nie jest rejestracja wydarzeń. Interesuje mnie zapis sposobu myślenia. Zapis pewnego oszustwa mentalnego i ten michnikowski, mentalny przewal opowiadam właściwie przez cały czas, różnymi ludźmi, na różne sposoby. Ale sens pozostaje ten sam. Jaki?

Zatarła się różnica między prawdą a fałszem. Między dobrem a złem. Postawiono na głowie najważniejsze wartości. Powiedziano, że zaczynamy od nowa, że zapominamy zły system, nie będziemy ścigać winnych, przebaczymy, bo będziemy budować nową Polskę, na nowych zasadach. Jakie nowe? To „od nowa” polega na tym, że cugle trzymają ci, którzy byli wtedy oprawcami. Zmieniły się ubranka, ale ludzie pozostali, silniejsi niż kiedykolwiek. Co najgorsze, oni uczą młodych swojej wersji historii. Wy jako „faszysto-anarchiści” jesteście wyjątkowi, was to nie dotyczy, ale sedno tej zmiany mentalnej polega na tym, że młodzi ludzie zrozumieli, że jest frajerstwem nie być u władzy. Liczy się kasa. Straciła zupełnie sens moralna ocena wydarzeń. Tylko głupcy w to nie wchodzi. To jest dramat, to jest straszna wina mojego pokolenia, że na to pozwoliła...

Jak powiedzieć prawdę? Może gdyby w mediach było nas dziesięciu takich? Nie mówię, że byśmy wygrali, ale coś by się pewno działo. Realia są jednak prostsze, biznesowe. Głęboko nie cenię kolegów z branży, są ludźmi do kupienia. W trzech czwartych udającymi artystów. To dotyczy również dziennikarzy. Ładnie o nich powiedział Krzysztof Wyszkowski. Martwiono się, że dziesięć procent kleru to agenci. Na to Wyszkowski powiedział: Dobrze, dziesięć procent to jest dramat, ale co powiecie na pięćdziesiąt procent dziennikarzy? Pięćdziesiąt procent! Rozumiecie?

„Solidarność” była emanacją Polski. Myślę sobie, że bardzo współczesną, że nie była to endecka Polska. Była to Polska szersza. Po roku 1989 nie odzyskaliśmy właściwości tożsamesgo państwa. To ładnie powiedział Andrzej Gwiazda, w „Dwóch kolorach”: „Czy myśłyśmy w ogóle zapytali o niepodległość? My, Polacy. Ani razu”. Bo Węgry zapytały, Czesi tak samo, a my – nie. Naród to są miliony istnień, miliony bytów. Istnieje jako wspólna płaszczyzna tych bytów i kiedy ją tracą, zostają już tylko milionami jednostek. Tracąc tę płaszczyznę, stają się, jak to ładnie mówi mój przyjaciel, ludnością polskojęzyczną. Aha, i jeszcze jedno mówi – najważniejsze to odróżnić gówno od twarogu.

Czerwiec-lipiec 2005 r.

XXV

Towarzysze od Bieruta aż po Gierka  
społem z promoskiewną partią  
tak wbijali w Byt – „świadomość komunisty”  
– aż się patent wyróżnął – zali „Solidarność”.

W amarantny prostokąt „Wyborczej” wpisane:  
„Nie ma wolności bez...” – a z tego wynika  
– (ech, dylemacie proroka z Polanek) –  
„S” – panna bez amanta – Legii H. – Michnika?!

Priwislinskij kraj (Naj!) – kalifat Głupoty  
– co sama z siebie – częściej się tu dzieje.  
Ślepowron rozstawił zombie z koksownikami  
Dając kartki na mannę, mięso i nadzieję...

Pod mojej stoczni drugą bramą  
Od Trzech Krzyży – inaczej Historia potoczy  
„A mury runą, runą, runą...”  
– Nieważne,  
czy ktoś poprzez ten mur przeskoczył...

Bo TO się toczy kołem –  
Wiedźcie to – współcześni!  
Najpierw „Janek Wiśniewski” – padł  
Później – TW-autor tejże pieśni.

Neon świata nad nami ulata  
– od permanentnej tępoty  
– to bywa czerwony  
„S” na – \$ – podmienia solidaryca  
a „S” prawiedliwi kradną  
– swe pierwsze miliony...

„...i co tam słyhać u Romaszewskich?...”  
Kelus – zawsze wzrusza – i szczerze się śmieję:  
Prawdą jest, że jak cel uświęca środki –  
Tak ZDRADA uświęca – Ideę...!

Pejzaż po „S”  
albo Gał-cynizm...

Kraju mój – kraju barwny...  
agonii, pelargonii, malowanej malwy...  
Kraju węgla i węglika – Rywina i Michnika...  
„Preziów” – Bolka i Olka i I-szej Polki Jolki,  
kanalii i konwalii... i trudu satyryka –  
w barze „Warsaw” i w Kłaju  
na bezdechu, na kacu, podśluchu... czy hajcu.  
Z sępami nad Orlenem, tak w ciszy jak w krzyku  
...Bogu dzięki – oo Glempie... panu też oo  
– Kulczyku...!

W Brukseli nam radośnie mendel gwiazd  
już łopocę –

– wije się – płynie falliście  
– Beethovennie i symfoniście...  
Kraju mój – kraju barwny  
– Reni Qrwik, FOZZ, ART-B  
– etc. nawozu... miedzi, rudy i wody,  
Giertycha i Jarugi...

Grudka twej ziemi w ręku  
świeci nawet po ciemku.  
Bo w tym prochu to ja świecę  
i nic tym nie znaczę!  
Żadne Polam czy Osram,  
żadna bessa bądź hossa  
– tylko ja! Świętojański robaczek!

– Ktoś nam podrzucił inne jajo...



Rys. propagandy PRL-owskiej z końca lat 70.  
Ze zbiorów Sławomira Cenckiewicza

„Mam mały czarny zeszyt,  
a w nim własne wiersze  
Mam szczoteczkę do zębów  
i grzebień w torbie  
Rzuca mi czasami kość,  
kiedy jestem dobrym psem  
Mam ściągacze, dzięki którym  
buty trzymają się na mych nogach  
Mam takie doły, po których  
ręka jest spuchnięta  
Mam trzynaście programów  
telewizyjnego gówna do wyboru  
Mam światło elektryczne  
I jestem jasnowidzem  
Posiadam niesamowitą moc obserwacji  
I dlatego wiem  
Że kiedy spróbuję  
Zadzwoić do Ciebie -  
Nikogo nie będzie w domu.

Pink Floyd, Nobody Home  
(przeł. Irek Dobber)



# na niewidzialnym murze

Wspomnienia i refleksje popłynęły wartkim strumieniem, gdy niespodziewanie stałem się właścicielem odtwarzacza CD Philips 104. Legendarny model, o doskonałych parametrach dźwiękowych, czyta nawet najbardziej porysowane płytki. Deal był prosty: przyjaciel kupił sobie DVD, a ja usłyszałem ofertę: Dasz mi trzy winyle z twojej kolekcji i po sprawie.

W ten sposób wszedłem w posiadanie sprzętu już niemodnego w czasach *home cinema* – można powiedzieć, że ominąłem epokę fascynacji błyszczącymi kompaktami, oferującymi cyfrową jakość, zresztą nigdy nie mogłem pojąć, co tak naprawdę znaczy – cyfrowa jakość? Trochę mi się to kojarzy z zaklinaniem rzeczywistości, czary-mary itp. Do tego momentu, kompakty kojarzyły mi się wyłącznie z nagrywaniem programów i plików. Natomiast muzyki słuchałem wyłącznie z analogów. Cóż, widocznie jest mi pisane, że nigdy nie wsiądę do tego pociągu, do którego aktualnie pchają się tłumy podróżnych.

– Czego posłuchamy najpierw? – zwróciłem się do syna. Poszedł do swego pokoju, skąd po chwili wrócił z koncertem Pink Floydów „The Wall”, z okazji zburzenia Muru Berlińskiego. Popłynęła muzyka, a gdy usłyszałem, jak widowia razem z zespołem śpiewa „Nobody Home”, nie mogłem ukryć wzruszenia. A więc tak zaczęła się piękna iluzja, której byłem świadkiem...

Zburzenie Muru oglądałem w Filderstadt – uroczym miasteczku pod Stuttgartem (gdzie na powitanie zwracano

Waldemar Bożeński

się do siebie: *Grüss Gott*, zamiast zdawkowego *Guten Morgen*), nie pamiętam, jaka to była stacja: 3SAT czy ZDF? Od roku peregrynowałem po ówczesnych Niemczech Zachodnich w poszukiwaniu pracy, a przy okazji, dla uspokojenia emocji, sporo czasu spędzałem w bibliotekach.

Przedtem mieszkalem w Berlinie Zachodnim, a Mur oglądałem wielokrotnie – nie mogłem uwierzyć w jego realność, w to, że po prostu jest. Po tej stronie była sprawiedliwość, filozofia, twierdza Spandau, w której Rudolf Hess odbywał karę dożywotniego więzienia, wielkie jezioro, parki, mądre książki w księgarniach i życzliwi ludzie, z którymi wiele rozmawiałem na tematy polsko-niemieckie. W trakcie tych rozmów zorientowałem się, że Niemcy mają potężny kompleks polski, który przekładał się na ich bezinteresowną pomoc i wszelkie udogodnienia, bezcenne w mojej skomplikowanej sytuacji.

Byłem *asylbewerberem*, czyli starającym się o azyl.

Co tydzień zajmowałem swoje miejsce w Miejskiej Bibliotece w Stuttgarcie, przeglądałem „Die Zeit” – najlepszy

europeski tygodnik kulturalny i próbowałem czytać Heideggera i Jaspersa w oryginale.

Transmisja telewizyjna ze zburzenia muru „szła” na żywo, a ja wierzyłem, że w Europie zaczęła się nowa era powszechnej prawdy, tolerancji i pojednania. Wtedy postanowiłem wrócić do Polski, gdyż i tu, jak głosił *Wąsaty*, nastąpi czas powszechnej szczęśliwości i dobrobytu...

Wiara w odrodzenie Europy była wtedy powszechna, a filozofów, którzy w swoich wywiadach i dziełach twierdzili, że dopiero teraz zacznie się prawdziwe totalitarne tsunami, uważano za starych neurotyków, zastygłych w profesorskich, bezużytecznych dogmatach.

Nikt wtedy nawet w najgorszych snach nie przeczuwał, że wraz z upadkiem realnego Muru, powstaje nowy niewidzialny Mur z wypisanymi na jego ścianach bezdomnymi słowami, które rozpaczliwie będą prosić o zadomowienie, o duchowe miejsce, ale prawie wszyscy na ich wezwanie będą zatrząskiwali przed nimi drzwiami, nie wierząc już, że cokolwiek znaczą...

Prawda. Wolność. Braterstwo. Odrodzona religia. Zgoda i pojednanie. Sprawiedliwość społeczna. Godne życie...

Cóż zostało z tych słów? Jacy cyniczni graficy zbezczęścili ich najświętszą treść?

Monia Olejnik, Kamilek Durczok, redaktorzy naczelni codziennych prasowych wymóżdżaczy, pycha Watykanu, kości naszego Papieża już preparowane do planetarnego ubóstwienia, maryjna czarna magia, dzieci ze Śląska zbierające miał węglowy, ludzie zmiażdżeni w poczuciu krzywdy, nędzy i poniżenia, puste oczodoły wymarłych fabryk, *Junajtyd Jehrop* – plugawa i wulgarna karykatura naszych marzeń i nadziei, ośmiornica ubecko-komunistycznej oligarchii, degrengolada Kościoła Katolickiego, po okresie heroicznym w latach „realsocjalizmu”, przeżywającego swój moralny upadek...

Herling-Grudziński napisał dawno temu wspaniałe opowiadanie „Pietà dell’ Isola”, o tym, jak na Wyspie był klasztor i zakonnicy. Mieszkańcy Wyspy i Klasztor żyli w doskonałej symbiozie. Aż do momentu, gdy Wyspę nawiedziła zaraza. Ludzie padali jak muchy, w strasznych cierpieniach i złorzeczeniach. Błagali Klasztor o litość, dramatycznie potrzebowali wsparcia i pomocy dłoni w ostatnich chwilach ziemskiego żywota. Wtedy zakonnicy zamknęli na głucho bramy Klasztoru przed nieszczęściem mieszkańców Wyspy. Postanowili przeczekać zarazę, aż minie. Jednak demon zarazy także tam dotarł. Mieszkańcy z zemsty i krzyczącego opuszczenia wrzucali za mury Klasztoru martwe szczury. Zaraza zebrała krwawe żniwo także wśród zakonników. Zostało ich tylko kilku.

Co roku na Wyspie odbywała się procesja z figurką Matki Boskiej, którą nieśli mieszkańcy Wyspy. Uroczystość ściągała zawsze masę turystów. Tak było do czasu wydarzeń opisywanych w opowiadaniu. Zaraza wreszcie wygasła. Pozostali przy życiu zakonnicy otworzyli bramy Klasztoru, czekali na mieszkańców, którzy jak co roku poniosą ciężki baldachim i Matkę Chrystusa. Nikt się nie pojawił. Ból poniżenia i pamięć opuszczenia w nieszczęściu były silniejszym imperatywem. Zakonnicy, ślaniając się ze zmęczenia, ponieśli figurkę i baldachim samotnie wokół Wyspy. Nikt ich już tam, na Wyspie, nie chciał.

Tak w niesławie i hańbie skończą ci, którzy zaprą się ewangelicznego przesłania.

Waldemar Bożeński

## Klub Prenumeratorów „Obywatela”

**Prenumerata to konkretny sposób wsparcia „Obywatela”. Nie oglądaj się na innych. Zrób to sam! Poniżej prezentujemy argumenty przemawiające za tym, że warto zostać członkiem Klubu Prenumeratorów „Obywatela”:**

- Prawie 50% ceny pisma sprzedawanego w salonach prasowych zabierają nam pośrednicy. Jakże są konsekwencje tego dla stabilności finansowej „Obywatela” nie musimy Ci chyba tłumaczyć. Gdy kupisz pismo bezpośrednio u wydawcy (prenumerata), to więcej pieniędzy trafia do nas, a mniej do pośredników. Twoja prenumerata to konkretny, realny i bardzo duży wkład w umacnianie niezależności finansowej „Obywatela”.
- W prenumeracie masz jeden numer „Obywatela” gratis. W salonach prasowych zapłacisz za 6 numerów 42 zł – u nas 36 zł. Co prawda musisz pieniądze zapłacić „z góry” i od razu całą sumę, ale wtedy pismo trafia co dwa miesiące prosto do Twojej skrzynki pocztowej – nie musisz go szukać w punktach sprzedaży. No i zyskujesz na zniżkach – patrz niżej.
- Wśród członków Klubu Prenumeratorów losujemy raz na 2 miesiące nagrodę. Masz szansę dostać za darmo coś, za co inni płacą.
- Jako prenumerata otrzymujesz nieodpłatnie (w miarę naszych możliwości) materiały dodatkowe: foldery, plakaty, gazety, ulotki, naklejki itp.
- Członkowie Klubu Prenumeratorów mają 10% zniżki na książki z Biblioteki Obywatela.
- Będąc prenumeratorem masz bezpłatny wstęp na imprezy organizowane przez nas: Festiwal Obywatela, Konfrontacje Filmowe itp.
- Prenumerata to najpewniejszy sposób zdobycia kolejnych numerów pisma. Często dzwonią i piszą do nas czytelnicy, bo w salonie prasowym nakład „Obywatela” został wykupiony, a oni spóźnili się z zakupem.
- Przy zamówieniu rocznej prenumeraty (36 zł) nieodpłatnie dostaniesz wskazany przez Ciebie jeden z numerów archiwalnych „Obywatela” (do wyboru numery od 6 do 22).

## Nagrody dla prenumeratorów

Informujemy, że nagrodę w postaci książki Dave’a Foremana „Wyznania wojownika Ziemi” wylosował Jan Siwiec – Ujsoły

Gratulujemy! Nagrodę prześlemy pocztą.

**Jeżeli zależy Ci na tym, by w Polsce istniało takie pismo jak „Obywatel”, nie zapomnij o prenumeracie!**



# Kto traci nadzieję i wiarę w utopię, ten jest pokonany

- z Adolfo Pérez Esquivalem,  
laureatem Pokojowej Nagrody Nobla,  
rozmawia Piotr Bielski

W 1980 r. Pan, symbol oporu Argentyńczyków wobec dyktatury, otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Trzy lata później tę samą nagrodę przyznano symbolowi oporu mojego narodu wobec dyktatury, Lechowi Wałęsie. Mimo, iż dyktatura w Pana kraju miała charakter kapitalistyczny, a w naszym kraju komunistyczny, na początku lat 80. pozycja Pana i Wałęsy jako bohaterów walki ludu była podobna. Jednakże nietrudno odnieść wrażenie, że w późniejszym okresie poszliście jakby w przeciwnych kierunkach. Jak ocenia Pan postawę Wałęsy w kolejnych latach?

A. P. E.: Wałęsę widuję regularnie raz czy dwa razy w roku przy okazji spotkań laureatów Pokojowej Nagrody Nobla. Mam dużo uznania dla niego, wystarczy wspomnieć, że osobiście zgłosiłem go jako kandydata do tej nagrody. Jednak na pewno nie dzielimy tej samej wizji świata. Nie rozumiem, jak bohater walki o wolność swego ludu, taki jak Wałęsa, może bronić kapitalizmu i promować USA jako najlepszy, modelowy przykład demokracji. W przeciwieństwie do niego, uważam, że w Polsce wyszliście z jednego złego systemu, aby wpaść w drugi równie zły i w efekcie to nie rozwiązało niczego. Najlepiej ten fenomen ujęli robotnicy z dawnej NRD, którzy wyznawali mi: dawniej byliśmy bohaterami pracy, teraz jesteśmy bezrobotnymi.

Uważam, że narody potrzebują dokonać oceny wartości demokratycznych, przemyśleć jakiego typu społeczeństwa pragną. Nie sądzę, żeby pragnęły demokracji, w której mogą tylko oddać głos, a później na kilka lat jesteś „zablokowany”, pozbawiony możliwości zmian społecznych. Nasze czasy wymagają demokracji uczestniczących. Wszystkie społeczeństwa potrzebują kapitału – ale nie kapitalizmu, który wyklucza większość obywateli, lecz sprawiedliwej dystrybucji kapitału w społeczeństwie pluralistycznym.

Na czym polega demokracja uczestnicząca, którą Pan postuluje?

A. P. E.: Uczestnictwo jest sednem demokracji, jako że demokracja oznacza równe prawa wszystkich obywateli i uczestnictwo ludu w sprawowaniu rządów. Ważne decy-



foto. Archiwum

zje nie mogą zapadać bez udziału ludu, stąd konieczność ciągłej pracy nad wdrażaniem demokracji uczestniczącej w formie konsultacji ludowych, plebiscytów, mechanizmu odwoływania wybranych delegatów. Zgromadzenie ustawodawcze jest zgromadzeniem ludu – mandat, jaki przyznajemy naszym reprezentantom musi być wypełniony. Lud ma prawo cofnąć mandat niewypełniony.

Bronię demokracji przed systemem, który Eduardo Galeano określił jako „demokratura” – systemem, w którym rządzący robią co chcą, a nie to, co powinni, kłamiąc, iż dysponują mandatem przyznanym im przez lud. Demokraty są owocami neoliberalizmu, który zaprowadził wielką koncentrację władzy i pozbawił znaczną część społeczeństwa prawa do opieki zdrowotnej, edukacji, mieszkania. W systemie neoliberalnym prywatyzuje się wszystko, zanegowane zostały prawa robotników, co pogarsza jakość demokratycznego ustroju.

Wydaje się Pan mieć dwie główne pasje życiowe: politykę i sztukę, przede wszystkim rzeźbę i malarstwo. Czy dopuszczalne jest mówienie o dwóch osobach: Pérez Esquivel – aktywiście społecznym, myślicielu politycznym, oraz Pérez Esquivel – artyście? Czy raczej postrzega Pan swą sztukę jako jeden z wymiarów politycznego powołania?

**A. P. E.:** Mam tylko jedno życie... Sztuka wyraża uczucia, konstrukcję idei. Nie jest oddzielona od mojego życia politycznego. Sztuka jest dla mnie środkiem komunikowania idei. Przykładowo, obecnie przygotowuję Park Pamięci w Combarro [nadmorska miejscowość w hiszpańskiej Galicji, skąd pochodzą przodkowie Pérez Esquivela – przyp. P. B.], rzeźbę, w której będą przedstawione wszystkie ludy. Tworzę wielkie murale [małowidła naścienne] dla ludu. Nie czynię ze sztuki sposobu na życie, ofiarowuję moje prace ludom, ludowi argentyńskiemu, ludom Ameryki Łacińskiej, wszystkim ludom świata. Przykładem jest moja rzeźba uchodźcy, która znajduje się w Genewie w siedzibie Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców.

**W moim kraju „sztuka w służbie ludu” może przywoływać na myśl ciemne czasy socrealizmu, gdy artyści musieli czynić ze swej sztuki narzędzie propagandy systemu komunistycznego. Pomni tych doświadczeń, artyści postrzegają ukłony w stronę polityki i ludu jako zagrożenia dla wolności artystycznej.**

**A. P. E.:** Nie bronię sztuki radzieckiej, ukierunkowanej na określone cele polityczne. Sztuka potrzebuje głębokiego poczucia wolności, bez którego staje się pamfletem. Jednakże, sztuka zawsze była środkiem komunikacji. Czym są katedry gotyckie, jeśli nie środkiem komunikowania przesłania Ewangelii? Pomyślmy o muzyce. Wielki polski kompozytor, Fryderyk Chopin, tworzył muzykę rewolucyjną, przedstawiając za pomocą muzyki poczucie wolności polskiego ludu, jego muzyka jest pełna znaczeń społecznych. Artysta nigdy nie może być sterylny, nie może zamknąć się w kryształowym pałacu i odseparować od życia swego ludu. Moją wielką inspirację stanowią muraliści meksykańscy, którzy przedstawiali wielkie sceny z życia ludu, aby dzielić je z ludem. Oni sprawili, że sztuka zrosła się z życiem ludów. Podobną rzecz uczynili teolodzy wyzwolenia z religią.

**Jak postrzega Pan ewolucję sztuki współczesnej?**

**A. P. E.:** Kiedyś istniały szkoły, takie jak impresjonizm, ekspresjonizm, kierunki, które określały całą epokę. Dziś już nie ma czegoś takiego. Postęp technologiczny jest w znacznej mierze odpowiedzialny za zanik wspólnego kierunku ewolucji sztuki. Dzisiaj wszystko uległo niezwykłemu przyspieszeniu. Ta dynamika wykształciła inny typ świadomości. Czas niezbędny do sformułowania, rozwoju i zaniku jakiegoś prądu skrócił się niesamowicie. Mam wrażenie, że dziś wszyscy biegną donikąd. Musisz się zatrzymać, żeby dowiedzieć się dokąd zmierzasz. Pewien afrykański kolega ujął to trafnie: jeśli nie wiesz dokąd zmierzasz, zawróć do wspomnień, wartości, tożsamości, aby zobaczyć skąd przychodzisz.

**Czy ma Pan jakieś przesłanie dla ludzi młodych, którzy pragną dokonać zmiany społecznej?**

**A. P. E.:** Młodzi ludzie muszą spoglądać do wnętrza, potrzebują świadomości krytycznej, aby mogli określić dokąd zmierzają. Ponadto, powinni rozwinąć zdolność oporu, transformowania buntu w opór. Raimundo Panikkar, filozof indyjski, autor „Dialektyki uzbrojonego rozumu” („La dialéctica de la razón armada”), mówi

o rozumie, który kwestionuje poddawanie się filozofii. Rozum uzbrojony zawiesza świadomość i doprowadza do przemiany ludzi w potwory. Zadanie na dzisiaj to rozbroić uzbrojoną świadomość i bronić krytycznej roli filozofii. Bez tego nie osiągniemy niczego. Mury najtrudniejsze do obalenia wznoszą się w naszym wnętrzu i uniemożliwiają nam spojrzenie sobie w oczy niczym bracia i siostry, mieszkańcy Matki Ziemi, Pacha Mamy. Uzbrojony umysł ukształtował nasze systemy edukacji. Jak powiedział José Saramago, „zamiast lamentować nad szkolnictwem wyższym, trzeba pomyśleć o edukacji dzieci. Dziecko jest jak rzeka. Jeśli rzeka jest zanieczyszczona, całe morze będzie zanieczyszczone”. Prawdziwa edukacja powinna być edukacją wyzwolenia, a nie dominującą. Potrzebujemy tego, co propagował Paulo Freire: edukacji jako wyzwolenia edukatora.

**Czy Pana zdaniem Ameryka Łacińska ciągle zasługuje na miano „kontynentu nadziei”?**

**A. P. E.:** Nadzieja i zdolność do walki rosną w siłę na moim kontynencie. Ten, kto straci nadzieję i wiarę w utopię jest już pokonany. A my nie jesteśmy zwyciężeni, ciągle potrafimy uśmiechać się do życia.

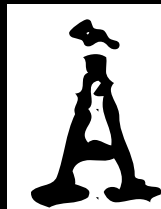
**Dziękuję za rozmowę.**

*Santiago de Compostela, 24 maja 2005 r.*

**Adolfo Pérez Esquivel** urodził się w Buenos Aires w 1931 roku. Zanim podjął działalność polityczną, poświęcał się rzeźbie, pracował jako docent na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu La Plata (Buenos Aires). Zdobywszy renomę jako artysta, pod koniec lat 60. podjął działalność społeczną. W 1973 r. założył pismo „Pokój i Sprawiedliwość” (Paz y Justicia), które szybko stało się czołowym organem ruchu pokojowego i na rzecz praw człowieka. Wokół pisma wyrosła organizacja społeczna o tej samej nazwie, której Pérez Esquivel w 1974 r. stał się przywódcą i która obecnie funkcjonuje w 14 krajach Ameryki Łacińskiej.

Za swą działalność – niesienie pomocy ofiarom przemocy latynoskich dyktatur i ich rodzinom – został uwięziony najpierw w 1975 r. w Brazylii, a później w 1976 r. w Ekwadorze razem z biskupami latynoamerykańskimi i północnoamerykańskimi, w latach 1977-1978 zatrzymany bez procesu, więziony przez 14 miesięcy i torturowany przez argentyński reżim. W roku 1980 został laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Otrzymał też tytuł członka komitetu wykonawczego Zgromadzenia Ogólnego ONZ ds. Praw Człowieka.

Czynnie uczestniczy w działaniach na rzecz pokoju i sprawiedliwość na świecie. W jego działalności szczególną inspirację stanowi wiara chrześcijańska, którą interpretuje jako wezwanie do zaangażowania społecznego, pozostając bliskim teologii wyzwolenia. Ponadto broni idei nieużywania przemocy jako głównej zasady działalności politycznej. Często publikuje komentarze polityczne, listy otwarte i apele, ostro krytykując kapitalizm.



# REBOURS

Marek Has

Gdybyśmy udali się na zaplecze jakiegoś hipermarketu i zatrudnionym tam pracownikom przeczytali fragmenty „Manifestu komunistycznego” z 1848 roku, ludzie ci zapewne powiedzieliby, że piszemy reportaż o ich pracy.

Za kulisami tych kolorowych i roztańczonych świątyn handlu, pracownice w ciąży zmuszane są do dźwigania ciężarów ponad swoje siły, a kasjerkom zaleca się wkładanie do majtek pieluch, gdyż niepisany regulamin pracy nie zezwala im na korzystanie z toalety. To nie są sceny z XIX-wiecznej powieści, ale rzeczywistość XXI w., który jak się okazuje jest nie tylko wiekiem globalnej sieci Internetu i telefonów komórkowych. To także wyzysk „nie przesłonięty iluzjami, oschły, otwarty, bezwstydnym i bezpośrednim”.

Od sformułowania teorii alienacji pracy upłynęło ponad 150 lat. W tym czasie odkryto fale elektromagnetyczne, energię jądrową, laser, sklonowano żywy organizm, skonstruowano komputery. Było kilka rewolucji, dwie wojny światowe, ludobójstwa, holocaust. Skonstruowano kamerę filmową, ponaddziesięć samoloty, zorganizowano wyprawę na księżyc. Freud odkrył psychoanalizę, a Hitler komory gazowe. Świat zmienił się nie do poznania, wydaje się wspaniały, radosny i kolorowy. Przerasta granice wyobraźni człowieka z połowy XIX w., w tamtych kategoriach nie mieściłby się nawet w konwencji *science-fiction*. Tylko konserwatywni sceptycy, którzy istnieją w każdej epoce, powiedzieliby, że nic się istotnie w historii nie może zmienić – ludzie rodzą się, cierpią i umierają. Zmieniają się tylko kostiumy, dekoracje i rekwizyty, lecz nigdy rzeczywistość życia.

Przywołując niektóre wątki XIX-wiecznej myśli Marksa mimowolnie uświadamiamy sobie paradoksalny kontrast, jaki zachodzi pomiędzy aktualnością jego analiz moralnych i psychologicznych a całkowitą nietrafnością prognoz globalnych. Jest to zresztą częste zjawisko w naukach społecznych, polegające na tym, że jakieś obserwacje i diagnozy są trafne, a rozwiązania niesłuszne. Łatwo bowiem dostrzec zło, trudniej jest mu zaradzić. Często odrzucając rozwiązania, odrzuca się także diagnozy, co jest zachowaniem irracjonalnym, które sprawia, że zamiast pogłębiać swoje rozumienie rzeczywistości trwamy bezmyślnie w ignorancji, czekając na ich ponowne odkrycie. Niektórzy zresztą sądzą, że jest to normalny i rutynowy mechanizm w przypadku nauk społecznych, które nie są w stanie poprawnie skonstruować żadnej teorii przewidującej cokolwiek. Czy tak jest w istocie, trudno powiedzieć.

Każde społeczeństwo dzieli się na dwie klasy – beneficjentów systemu i całą resztę. W kapitalizmie do beneficjentów należą właściciele kapitału, kadra menedżerska, pracownicy o wysokich kwalifikacjach oraz wysoko opłacane indywidualności medialne. Tworzą oni elitę, która ma swoją świadomość zbiorową, poczucie wspólnoty i własną ideologię.

Cała reszta nie ma takiej świadomości. Nie ma ani poczucia tożsamości, ani poczucia wartości, ani poczucia wspólnoty. Stanowi luźne grupy jednostek pozostające ze sobą w relacjach rywalizacji.

Paradoksem współczesnego świata jest to, że **ogate elity realizują wszystkie te cechy, którymi Marks opisywał społeczeństwo komunistyczne. Elity mają świadomość wspólnoty oraz warunki niezbędne do samorealizacji. W ramach tej uprzywilejowanej klasy uspołecznienie kapitału stało się faktem, gdyż główną formą własności jest własność akcyjna.** Elity te mogą bez przeszkód realizować wszystkie swoje potrzeby życiowe. Praca jest dla nich w dużej mierze pracą dla przyjemności. Towarzyszy jej satysfakcja i kreatywność, nie ma zjawiska alienacji i uprzedmiotowienia. Coś, co miało być cechą globalną społeczeństwa, okazało się cechą jego elit.

Poza klasą beneficjentów rozciąga się brutalny świat walki o przetrwanie. Jednostka ludzka jest tam takim samym towarem, jak każdy inny, którym się handluje. Wystawiona na wszystkie zmienne losy konkurencji i osłabienia koniunktury jest dodatkiem do maszyn, wykonującym czynności, dla których skonstruowanie maszyny byłoby zbyt kosztowne. Koszty jej zatrudnienia są stale obniżane do poziomu, w którym dochody z pracy pozwalają jej ledwie utrzymać się przy życiu. Nie czerpie ona satysfakcji ze swojej pracy, gdyż głównym elementem twórczym jest w tym przypadku zysk pracodawcy. Jej ludzką godność zastąpiła wartość wymienna.

O ile elity pieniądza i władzy rozwijają się, a ich struktura społeczna ma swoją dynamikę i różni się od tej, która charakteryzowała społeczeństwo XIX w., o tyle w klasie upośledzonej nic właściwie się nie zmienia. Nie podlega ona żadnym procesom i zmianom. Nie podlega dlatego, że z natury jest amorficzna i nie tworzy żadnej struktury.

Podział społeczeństwa na dwie antagonistyczne klasy, walka tych klas, świadomość klasowa, rewolucja, uspołecznienie kapitału i społeczeństwo wspólnotowe – to były podstawowe kategorie teoretyczne socjologicznych wizji Marksa. Okazały się one błędne i niesłuszne, z wielu powodów. Marks uważał, że w toku naturalnego procesu nastąpi spolaryzowanie społeczeństwa na wyzyskujących i wyzyskiwanych, co w konsekwencji spowoduje rozwój poczucia wspólnoty u tych ostatnich. Świadomość wspólnoty ukształtuje ich w nową siłę polityczną, która przejmie władzę.

Ta pierwotna koncepcja klas zawierała jednak w sobie pewien błąd logiczny, co nie dziwi, gdyż została sformułowana kilkadziesiąt lat zanim gwałtowny rozwój logiki matematycznej doprowadził do odkrycia semantycznych antynomii na przełomie XIX i XX wieku. Dziś wiemy, że istnieją dwa rodzaje definicji klasy – intensjonalne (poprzez wła-

sność) i ekstensjonalne (poprzez wyliczenie elementów). Jeśli mamy jakąś klasę zdefiniowaną intensjonalnie poprzez własność, którą spełniają wszystkie jej elementy, wówczas ogół elementów, które nie należą do tej klasy tworzy klasę, ale przeważnie nie intensjonalną. Można wówczas wyliczyć wszystkie jej elementy, ale podanie jakiejś wspólnej im własności jest na ogół niemożliwe. Tak też się dzieje w przypadku definicji klasy wyzyskiwanej. Cała reszta, nie będąca beneficjentem systemu, nie ma jakiejś jednej ostro zarysowanej własności, która stanowiłaby jej tożsamość i mogła stać się podstawą jej świadomości społecznej. Reszta ta sama z siebie nie może wygenerować żadnej wspólnej ideologii i dlatego nie jest w stanie dokonać żadnej rewolucji.

rym przypisany jest różny status społeczny. Różny status społeczny powoduje rozwarstwienie pracowników najemnych. Także równy status społeczny wewnątrz tych grup nie sprzyja powstawaniu więzi, gdyż poddane rynkowej rywalizacji są wobec siebie antagonistycznie nastawione.

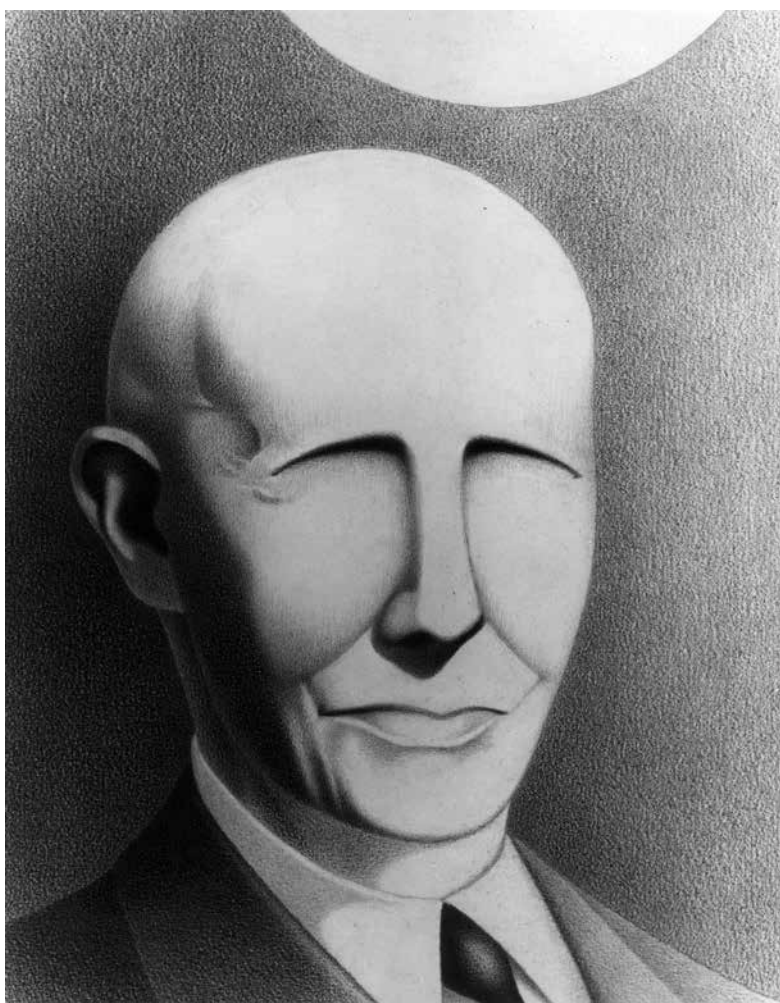
Oba te fakty sprawiają, że **trudno byłoby dziś na przykład znaleźć poparcie dla idei strajku generalnego. Strajkują od czasu do czasu poszczególne grupy zawodowe, ale nie wszyscy. Grupy te są na tyle zantagonizowane, że żadne racje pozaekonomiczne nie są w stanie w ich połączyć.** W kapitalistycznym społeczeństwie strajk generalny jest mało prawdopodobny, podobnie jak mało prawdopodobne są zgodne zachowania cząsteczek gazu obalające prawa termodynamiki.

Sama praca najemna nie jest w stanie wygenerować poczucia wspólnoty. Poczucie sensu płynie bowiem nie z faktu otrzymywania wynagrodzenia, ale z konkretności pracy i tego, co jest w niej kulturowo cenne. Nikt nie czerpie satysfakcji z tego, że pracuje, ale co najwyżej z tego, co robi. Tymczasem właśnie poczucie sensu rozwarstwia klasę pracowników najemnych, różnicuje ją i wprowadza hierarchię. Aby poczuć się wspólnotą, ludzie potrzebowaliby czegoś więcej, jakiejś głębszej idei niż samo stwierdzenie faktu, że utrzymują się przy życiu, ponieważ coś robią.

Innym zjawiskiem związanym z rozwarstwieniem społeczeństwa jest awans społeczny wybranych jednostek w sposób niezależny od ich obiektywnych kwalifikacji. Jednostki takie uzyskują czasem nieproporcjonalnie wysokie dochody dzięki pewnym walorom medialnym. System wyrwa je z klasy średniej i sytuuje w klasie dominującej, przez co traci ona swój zamknięty i ekskluzywny charakter. Ci, którzy do niej przechodzą stają się częścią idealistycznego wizerunku społeczeństwa, w którym sukces jest możliwy dzięki temu, kim się jest, a nie dzięki temu, co się robi. Dotyczy to oczywiście wybranych profesji – aktorów, piosenkarzy, dziennikarzy, prezenterów telewizyjnych czy modelek. Stają się oni wizytówką medialną systemu i marketingowym wizerunkiem jego potęgi. Media podtrzymują mit, że każda jednostka o silnej indywidualności osiąga w końcu awans społeczny i w ten sposób utrwalają przekonanie, iż klasa upośledzona stanowi jedynie amorficzną masę nieużytków społecznych.

**Utrwalanie nierówności w dochodach i kreowanie różnych statusów społecznych stanowi istotę mechanizmu zapobiegającego powstaniu wspólnoty. Pomiędzy sprzątaczką w hipermarkecie, a dziennikarzem w prestiżowym piśmie nie powstaje żadne poczucie więzi – nawet wtedy, gdy oboje tracą pracę.** Ich statusy społeczne dzieli bowiem przepaść. Poziom dochodów wyznacza horyzont egzystencjalnych możliwości, które określają ich świadomość. Byt społeczny w kapitalizmie jest pluralistyczny i zróżnicowany, a świadomość społeczna wynika nie tyle ze stanu posiadania, ile z identyfikacji z określonym stylem życia.

Wspólnota wszystkich ludzi pracy byłaby możliwa, gdyby poziom dochodów był mniej więcej taki sam. Do tego jednak system nigdy nie dopuści. Nierówności płaco-



rys. Grzegorz Stańczyk

Klasy społeczne, jak zauważył Max Weber, nie generują w sposób konieczny świadomości klasowej. Świadomość taka pojawia się w warstwie dominującej, reprezentującej ducha społeczeństwa, rzadko w klasie upośledzonej, stanowiącej jego materię. Więź pomiędzy wszystkimi ludźmi, którzy wykonują jakąś pracę, nie jest możliwa i nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek miała powstać. Jest kilka przyczyn tego, a na pierwszym miejscu należałoby wymienić dwie – zróżnicowanie statusów społecznych i rywalizację zawodową.

We współczesnym świecie praca w najbardziej prymitywnych formach jest pracą wykwalifikowaną. Im bardziej jest wykwalifikowana, tym lepiej jest płatna. To sprawia, że jednostki utożsamiają się ze swymi kwalifikacjami, któ-

we stanowią istotę jego trwałości i tajemnicę odporności na możliwość zmiany.

Świadomość wspólnoty może powstać jedynie tam, gdzie jest wspólna kultura, wspólne cele, wspólne doświadczenie sensu świata. Aby poczuć się wspólnotą, ludzie potrzebują rozpoznać swą sytuację społeczną jako nie-antagonistyczną. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy rozumieją świat w świetle jakiejś pozytywnej i humanistycznej idei. Dlatego szczególnie wrażliwą sferą systemu są media kształtujące postawy i styl myślenia o rzeczywistości. Promują one świadomie lub nie ideologię systemu.

Media same włączone są w rynek i utrzymują się głównie z reklam, w których zawarta jest afirmacja konsumpcji i produktów. Styl tych reklam wyznacza określoną poetykę dla całej ich oferty programowej. Jej treść „kulturowa” pełni funkcję przyciągającą widza do reklam. Media stymulują więc prymitywne potrzeby, które napędzają konsumpcję i niechętnie szerzą idee humanistyczne, które są wrogiem koniunktury i przyczyniają się do recesji. Pozostając na usługach kapitału, media z premedytacją kreują fałszywą świadomość społeczeństwa zadowolonego i szczęśliwego, ukazując przypadki nieszczęść jako patologie, a nie systemową konieczność.

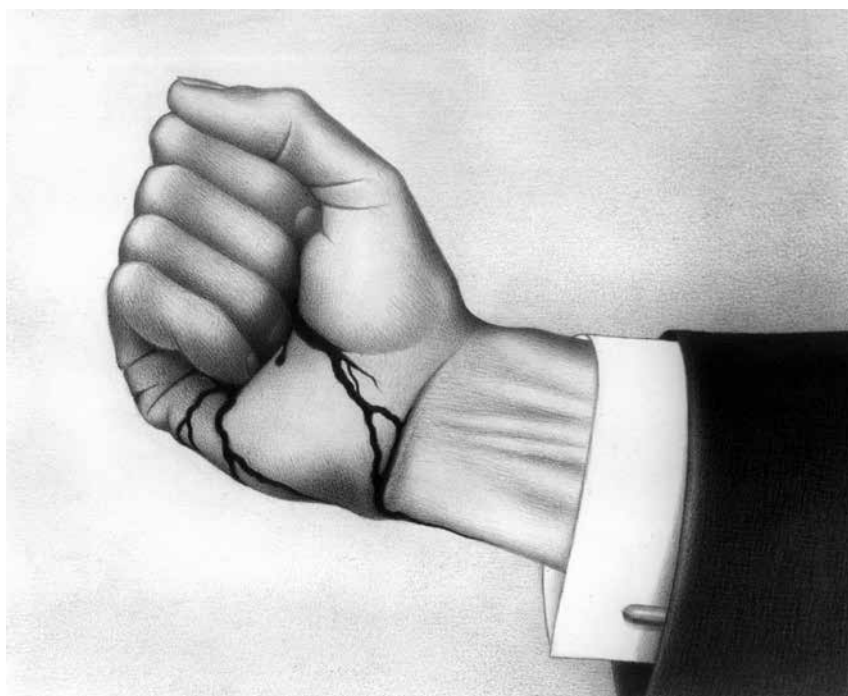
Filozofia liberalnego kapitalizmu jest filozofią cudu społecznego, dzięki któremu egoizm jednostek ma przeistaczać się w dobro wspólne. Ponieważ egoizm stanowi główną siłę podtrzymującą wzrost gospodarczy, wszelkie próby jego ograniczenia uważane są za szkodliwe. Ideologia ta wchodzi więc w otwarty konflikt z moralnością i sumieniem, co sprawia, że moralność staje się defensywna i prywatna. Ponieważ media propagują zalety egoizmu niezwykle skutecznie, każdy obywatel staje w końcu wobec dylematu, że to, co moralne i szlachetne, może być uznane za społecznie szkodliwe.

Ciekawym elementem marksowskiej wizji, zrealizowanym *à rebours* w kapitalizmie, jest uspołecznienie kapitału. W zasadzie program ekonomiczny społeczny Marksa sprowadzał się do tej właśnie idei.

W 1848 r. demokracja nie była naturalnym i stabilnym systemem politycznym Europy. We Francji nastąpiła niebawem restauracja Cesarstwa, jeśli wolno użyć takiego terminu. Królowa angielska była do końca II wojny światowej władczą połowy świata, a cesarstwo Austro-Węgier znikło z mapy Europy dopiero w wyniku I wojny światowej. Do tego jeszcze demokracja weimarska wyłoniła z siebie w latach trzydziestych XX w. dyktatorskie rządy Hitlera. Jest całkiem prawdopodobne, że gdyby Marks przewidział rozwój demokracji, wówczas być może zamiast o rewolucji mówiłby raczej o przejęciu władzy przez partię, której program gospodarczy opierałby się na idei wspólnej własności kapitału.

Tymczasem proces uspołeczniania kapitału pojawił się samorzutnie w ramach systemu kapitalistycznego w postaci spółek akcyjnych. Coś, co miało być czynnikiem

rozsadzającym system, w rzeczywistości stało się jego stabilizatorem i przyczyną rozwoju. Uspołecznienie kapitału w formie własności akcyjnej, w terminologii neoliberalnej zwane jest przewrotnie prywatyzacją. Pojęcie prywatyzacji jest tu wyjątkowo cynicznie użyte, gdyż zabieg ten oznacza *de facto* kolektywizację kapitału w ramach uprzywilejowanej klasy. Postępujące ewolucyjnie uspołecznienie kapitału w ramach jednej klasy sprawia, że tworzy ona komunistyczne *subsociety*, w którym marksowskie ideały „każdemu według jego potrzeb” oraz pracy służącej przyjemności i samorealizacji, znajdują swoje urzeczywistnienie. Coś, co miało być utopią dla wszystkich, okazało się rzeczywistością dla wybranych.



rys. Grzegorz Stalczyk

W spółce akcyjnej właścicielstwo jest anonimowe i kolektywne, a rozproszenie własności i jej depersonalizacja powoduje wygenerowanie *elit zarządzających*. Relacja właściciel – pracownik ustępuje relacjom pracownik – menadżer. Powstaje więc nowa klasa menadżerów o paradoksalnej własności – formalnie pracowników najemnych, *de facto* antagonistycznych wobec pracowników zatrudnianych w przedsiębiorstwach przez siebie zarządzanych.

Wykorzystując klasę menadżerów, kapitalizm w sposób mistrzowski zantagonizował wewnętrznie klasę pracowników najemnych, nadzór właścicielski usuwając w cień, gdzieś w neutralną przestrzeń. Konflikt pomiędzy kapitałem a pracą przekształcił się dzięki temu w konflikt pomiędzy menadżerem a pracownikiem. Wyrwanie klasy menadżerów z klasy pracowników najemnych sprawiło, że rozpadła się ona na dwie antagonistyczne klasy. **W tradycyjnej firmie, której właścicielem jest realna osoba, powstaje często więź pomiędzy właścicielem a pracownikami, podobna do tej, jaka wiąże istoty ludzkie przeżywające jakąś wspólną sytuację moralną.** Widać to na przykładzie Szwajcarii i w małych przedsiębiorstwach rodzinnych o długoletniej tradycji. W przypadku spółek zarządzanych przez kadrę najemną o takiej wspólnocie nie może być mowy. Kapitalizm oparty na własności akcyjnej skutecznie opiera się jakiej-

kolwiek presji moralnej. O ile właściciel może kierować się odczuciami moralnymi, w przypadku menadżerów jest to niemożliwe. Są oni bezwzględnie rozliczani z zysku i ta bezwzględność pomiędzy nimi a rozproszonym akcjonariatem właścicielskim przenosi się na ich bezwzględność i bezduszość wobec pracowników, którymi zarządzają. Nie będąc właścicielami, nie są zdolni do zachowań wielkodusznych realizujących jakieś idee. Są narzędziem bezmiennego kapitału. Stanowią najbardziej złowrogie i nieludzkie oblicze współczesnego kapitalizmu.

Fakt, że decydujący wpływ na rozwój gospodarki ma klasa menadżerów sprawia, że polityka społeczna państwa nie znajduje żadnego oddźwięku i programy np. walki z bezrobociem pozostają pustym sloganem. Menadżerowie jako pracownicy najemni nie są zainteresowani żadną strategią społeczną ani kosztami własnej działalności. Dla nich istnienie bezrobocia jest elementem pozytywnym, funkcjonalnie wprzęgniętym w mechanizmy ich kariery. Umożliwia nieliczenie się z pracownikiem i traktowanie go jak rzecz.

Istnienie taniej siły roboczej i bezrobocia jest nieodłącznym elementem systemu, którego głównym celem jest zysk. Stałe bezrobocie umożliwia stałą podaż mobilnej, posłusznej, dyspozycyjnej i taniej siły roboczej. Utrzymuje ludzi w zwierzęcym strachu przed utratą pracy i umożliwia wyzysk, zwany eufemistycznie racjonalizacją pracy i obniżaniem kosztów. Walka z bezrobociem w środowisku biznesu jest czystą propagandą i fikcją.

W klasycznej teorii Marksa zniesienie antagonizmów klasowych oznaczało automatycznie zahamowanie rozwoju i sprawiedliwy podział tylko tego, co jest. Ciekawa rzecz, że Marks w 1848 r. uważał, iż społeczeństwa uprzemysłowione osiągnęły stan nadprodukcji. Uważał, że współczesne mu społeczeństwo kapitalistyczne posiada zbyt dużo żywności, zbyt wielki przemysł, zbyt wielki handel, i potencjał ten uważał za wystarczający, by zaspokoić naturalne potrzeby wszystkich. **Okazało się jednak, że potrzeby te mogą rosnąć w nieskończoność. Inwencja ludzka w kreowaniu nowych potrzeb jest ogromna, podobnie jak ich ekspansja. Jeśli dodamy do tego postęp techniczny i subkulturę kapitału kreowaną przez media, marketing i reklamę, otrzymamy obraz współczesnej cywilizacji – absurdalny świat biedaków oglądających swoją biedę na ekranach kolorowych telewizorów.**

Według Maxa Webera, kapitalizm mógł rozwinąć się jedynie na gruncie etyki protestanckiej i jej ideałów ascezy, pracowitości, bogacenia się i oszczędzania. Właśnie te warunki kulturowe spowodowały rozwój kapitalizmu. Moc człowieka ukryta jest bowiem w nim samym, zaś moc kapitału istnieje wyłącznie w ludzkiej wyobraźni. Ani pieniądź wydrukowany na papierze, ani bank, w którym istnieją zapisy księgowe, nie mają realnej mocy sprawczej dokonania czegokolwiek. Potencjał kapitału to gotowość ludzi do pewnych działań w ramach pewnej umowy społecznej. Moc pieniądza jest mocą kultury i ducha, opiera na tym, że ludzie chcą wymieniać nań swoją witalną energię i traktują go jako miarę jej wartości.

Kapitał nie jest dobrem, które mogą posiadać wszyscy. Jedni manipulują kapitałem, inni muszą nań pracować. Napięcie pomiędzy istniejącymi zasobami, a odczuciem braku powoduje przepływ ludzkiej energii i aktywności. W tym systemie rzeczą niezwykle ważną jest nadawanie wymiernego kształtu ludzkim pragnieniom i wiązanie ich

z dobrami oferowanymi na rynku. To czynnik subiektywny jakim jest konsumpcja, a nie kapitał i stosunki własności, napędza bowiem gospodarkę. Kapitał nie ma rąk ani inteligencji, by stworzyć cokolwiek.

Rzeczywistością społeczną rządzą ludzkie pragnienia, które kształtuje kultura. Ostatecznie więc to kultura, wspólna świadomość społeczna, stanowi podstawę koniunktury. Kultura ta mogłaby całkowicie zahamować rozwój kapitalizmu, gdyby miała silne konserwatywne normy. Abstrakcyjnemu kapitałowi potrzebna jest bowiem kultura konsumpcji, która nakręca ludzkie pragnienia w nieograniczony sposób. W ten sposób duch rządzi wolnym rynkiem.

W materialistycznej wizji świata duch ludzki jest biernym epifenomenem sił natury i procesów ekonomicznych. **Ta materialistyczna wizja, która leżała u podstaw filozofii Marksa, w paradoksalny sposób leży także u podstaw neoliberalnej filozofii kapitalizmu. Świat religii, kultury i kontemplacji, w której jednostka uświadamia sobie, że jej niczego nie brakuje, jest w jednakowym stopniu wrogiem obu tych systemów.** Perspektywa transcendencji jest perspektywą, z punktu widzenia której kapitał jest pewną fikcją i oszustwem. Z tej perspektywy fikcyjną wartością stają się wszystkie relacje oparte na transakcjach. Podobnie jak instytucje, które w nich uczestniczą. W kontemplacji jednostka powraca do swej rzeczywistej potencjalności, doświadczenia misterium życia i absolutu.

Rzeczywistość pełna jest aktywności, gdyż jedni mają to, czego innym brakuje i powstaje w nich zgodna gotowość wymiany. Ci, którzy posiadają kapitał, ulegają narкотycznej potrzebie jego powiększania. Ci, którzy go nie mają, pracują, aby go zdobyć. Społeczeństwo dzieli się więc na dwie klasy, potencjalną i aktywną, męską i żeńską. Klasa potencji z natury jest dominująca, afirmująca wartości perfekcjonistyczne, nastawiona na cele i ideały. Żeńska strona rzeczywistości społecznej jest z natury uległa, posłuszna, afirmująca cnoty wspólnotowe.

Żadna skarpetka nie składa się tylko z lewej lub prawej strony, każda ma je obie. Istnieją wprawdzie paradoksalne twory matematyczne, które mają tylko jedną stronę, ale ich wspólną cechą jest to, że istnieją w przestrzeni o większej niż one same liczbie wymiarów. Na przykład skonstruowanie buta składającego się wyłącznie ze swego wnętrza wymaga przestrzeni czterowymiarowej. Jednostronność w myśleniu prowadzi zawsze do konstruowania podobnych abstrakcji i wizji świata sprzecznych z doświadczeniem.

**Zarówno prawicowe, jak i lewicowe programy polityczne nie uwzględniają faktu, że antagonistyczne siły muszą nauczyć się współpracy. Brak współpracy i dobrej woli stanowi największe zagrożenie cywilizacji i brak ten jest o wiele bardziej istotny niż podział dóbr czy wysokość podatków. O wiele ważniejszy jest świat wartości, bez których żadna tożsamość – ani indywidualna, ani społeczna – nie jest możliwa.** Świat dzisiaj potrzebuje przede wszystkim wiary w duchowe źródło życia. Pod tym względem niewiele się zmieniło. I żadna ekonomia tego nie naprawi, nawet wtedy, gdy staje się pseudoreligią. Jeśli traktujemy świadomość społeczną i kulturę jak wtórny odbłask procesów ekonomicznych, a nie siłę kreatywnie kształtującą los społeczeństwa, nie powinniśmy się dziwić, że traciliśmy zdolność doświadczenia misterium życia, źródeł i istoty cywilizacji i żyjemy w świecie, dla którego racji istnienia trudno znaleźć racjonalne wytłumaczenie.

Marek Has



# Polak potrafi(ł)

**Remigiusz Okraska**

Gdy Majakowski w jednym ze swych utworów stwierdził, że „jednostka niczym, jednostka zerem”, to palnął głupstwo wyjątkowe. Choć optyka przeciwna, absolutyzująca rolę jednostek w kształtowaniu biegu dziejów, wydaje się równie fałszywa, to jednak pojedyncza osoba może dokonać wiele. „Właściwym człowiekiem na właściwym miejscu” był bez wątpienia Franciszek Stefczyk – twórca oddolnie zorganizowanego systemu kredytowego, który bazował na drobnych oszczędnościach ludzi niezamożnych i tymże ludziom służył w potrzebie. Postać Stefczyka przypomina wydana niedawno książka Bohdana Cywińskiego pt. „Idzie o dobro wspólne...”. Dla kogoś o „obywatelskich” zainteresowaniach jest to lektura obowiązkowa.

Choć chciałoby się sprawić, aby stała się ona lekturą obowiązkową w każdej polskiej szkole. Jest to bowiem nie tylko portret mądrego, dalekowzrocznego i skutecznego społecznika, ale także opis zdrowej rzeczywistości, w której pojawiali się tacy Stefczykowie, napotykali na pomoc i zyskiwali szacunek. A przede wszystkim książka ta jest przypomnieniem Polski, która faktycznie istniała, mimo że tak niewiele dziś o tym świadczy. Mówię o Polsce ludzi zainteresowanych czymś więcej niż czubek własnego nosa i stan swego konta; o Polsce, w której społecznik nie był traktowany jak frajer lub „mściciel”; o Polsce, w której ważniejsze było to, co i jak ktoś robi, niż z jakiego stronnictwa czy środowiska ideowego przychodzi; wreszcie o Polsce, w której wielkomiejskie i prowincjonalne elity rozumiały, że chcąc żyć w lepszym kraju, należy na to zapracować własnymi rękami i skłonić innych do podobnego wysiłku.

Stefczyk jest jednym z ludzi, którzy powinni zajmować poczesne miejsce w historii kraju, ale wskutek patologicznego biegu dziejów zostali niemal zupełnie zapomniani. Należy on do tych, którzy zrobili dla Polski naprawdę dużo, lecz dzisiaj wie o nich zaledwie garstka zawodowych historyków i pasjonatów. Chwała zatem Cywińskiemu, że przypomina postać Stefczyka i jego dzieło. „Idzie o dobro wspólne...” zostało napisane w celach właśnie popularyzatorskich – przystępnym językiem, bez popadania w drobiazgowość, z zarysowaniem szerszego tła. Nie jest to typowa biografia, raczej gawęda o człowieku i jego czasach.

Urodzony w 1861 r. Franciszek Stefczyk od młodych lat przejawiał zamiłowanie do pracy na rzecz dobra wspólnego. Po trosze wyniósł je z domu rodzinnego, po trosze tak ukształtowała go szkoła i rówieśnicy. Ale tak naprawdę trudno powiedzieć, dlaczego zamiast kariery akademickiej wybrał skromną posadę wiejskiego nauczyciela oraz



BOHDAN CYWIŃSKI  
*Idzie o dobro wspólne...*  
Opowieść o **Franciszku Stefczyku**

FUNDACJA  
NA RZECZ POLSKICH ZWIĄZKÓW  
KRAJOWYCH  
WYDAWNICTWO TRIO

podjął się przetransponowania na polski grunt doświadczeń niemieckiego spółdzielczego systemu kredytowego, autorstwa Fryderyka Raiffeisena. Może po prostu gdzieś w sercu tkwiła drobna wrażliwa struna, którą poruszał obraz „nędzy galicyjskiej”.

A nędza ta była nad wyraz dotkliwa – wieś przeraźliwie biedna, z karłowatymi gospodarstwami, z brakiem kapitału, z nieznaną nowocześniejszych metod produkcji lub niemożnością sfinansowania ich, z systemem kredytowym opartym na lichwie i brutalnym wyzysku, z biernością i apatią stłamszonych mieszkańców. Dwudziestokilkuletni nauczyciel wiejskiej

szkoły w Czernichowie szybko zrozumiał, że jeśli coś ma się zmienić na lepsze, to zamiast czekania na cud lub szermowania wielkimi hasłami, trzeba się zabrać za konkretną robotę. Idea podpatrzona w zamożnych Niemczech wydawała się na pozór absurda w realiach uboższego, władanego przez zaborców regionu Polski. Otóż Stefczyk głosił, że biedni mogą liczyć przede wszystkim na siebie, a w dodatku – to już wyglądało jak majaki szaleńca – że sami **mogą** sfinansować poprawę własnej doli.

To, co wydawało się mrzonką, udało się dzięki determinacji i ogromnej „pracy u podstaw”. Oczywiście nie od razu i nie bez przeszkód, ale jednak Stefczyk zbudował prężną sieć instytucji kredytowych, które w znaczący sposób wsparły rozwój lokalnych społeczności. Zaczęło się od niewielkiej kasy w Czernichowie, która powstała pod koniec 1889 r., lecz szybko nastąpił żywiołowy rozwój takich inicjatyw w wielu miejscowościach Galicji. Dzięki drobnym oszczędnościom chłopów (wyrabiono nawyk, by nawet symboliczne kwoty odkładać do kasy) i wysiłkowi garstki idealistów stworzono finansowe zaplecze procesu wychodzenia z ekonomicznego dołka.

Ten sukces Cywiński tłumaczy nie tylko zapotrzebowaniem społecznym czy godną podziwu pracą pomysłodawców. Znakomita była idea: z jednej strony elitarna, z drugiej bardzo demokratyczna, a także silnie zakorzeniona w konkretnej wspólnocie. System opierał się na wzajemnym zaufaniu, bo w wiosce czy miasteczku każdy znał każdego i aby zostać członkiem kasy i uzyskać kredyt, trzeba było nie budzić zastrzeżeń u innych uczestników tego „układu”. Kasy zostały więc zabezpieczone przed oszustami czy osobami lekkomyślnymi. Z drugiej jednak strony, członkiem mógł zostać nawet ktoś bardzo ubo-

gi, gdyż wpłaty koniecznych udziałów rozkładano takim ludziom na raty. Zamożnym zakazano nabywać więcej niż pięć udziałów, aby nie uzależnili danej kasy od swego kapitału, a przy podejmowaniu decyzji każdy członek miał tylko jeden głos. W kasach pracowano społecznie lub za niewielkie kwoty. Brali się więc za to ci, którzy chcieli działać „dla sprawy”, nie zaś karierowicze i poszukiwacze ciepłych posadek.

Z dzisiejszej perspektywy wygląda to jak utopia: groszowe oszczędności, garstka niedoświadczonych zapaleńców i niemal żadnych apanaży. A jednak zadziałało – nie w Ameryce czy innym raju na Ziemi, gdzie ponoć wszystko jest lepsze, lecz zrobili to nasi pra- i prapradziadkowie. Kasy rozwijały się błyskawicznie, ale Stefczyk rozumiał, że potrzeba im „otoczenia społecznego”. Poszedł więc za ciosem – powstała spółdzielnia spożywców, prowadząca własne sklepy, żeby można było taniej kupować produkty, a jednocześnie akumulować wydane pieniądze w lokalnej społeczności. Kolejny krok to kształcenie „swoich ludzi” do prowadzenia tego, co już powstało oraz tworzenia nowych inicjatyw. Następnie przyszła pora na skoordynowanie produkcji, aby dysponować dobrym towarem w odpowiedniej ilości – tak powstały spółdzielnie mleczarskie. W ciągu niespełna dwóch dekad stworzono system 1400 kas (nie-mal żadna z nich nie upadła!) liczących 145 tys. członków, a podczas prowadzenia kursów tę nieformalną „wyższą szkołę spółdzielczości” ukończyło prawie tysiąc osób, stając się kadrą całego ruchu.

Kraj był wówczas pod zaborami i choć Stefczyk działał w najbardziej znośnym z nich, to i tak poprawa doli ubogich Polaków niezbyt nurtowała austriacką administrację. Twórca kas okazał się jednak mistrzem w zjednywaniu sojuszników – wśród kleru katolickiego i prawosławnego, lokalnych elit oraz na wyższych szczeblach (m.in. wsparcie ze strony marszałka Galicji, Stanisława Badeniego) – i krok po kroku pokonywał trudności. Napotkał też krytykę w łonie „własnego” obozu – ruchu ludowego. Stefczyk sytuował się na jego prawym skrzydle, miał opinię klerykała, a przede wszystkim głosił zasadę solidaryzmu społecznego, czyli konieczność współpracy chłopów z ziemiaństwem. Nie w smak to było ludowej lewicy, stawiającej na „walkę klas”. Jednak i ona, mimo polemizowania z koncepcjami polityczno-ideowymi twórcy kas, doceniała konkretny, społeczny wymiar jego dzieła.

Cios przyszedł z innej strony. Wybuchła I wojna światowa i nastąpiła inflacja, która „zżarła” znaczną część pieniędzy ulokowanych w kasach. To wydarzenie mogłoby zrazić wielu udziałowców do idei wspólnego gromadzenia kapitałów. Jednak członkowie kas rozumieli przyczyny problemu, a przede wszystkim ufali twórcom inicjatywy, mieli też w pamięci wcześniejsze korzyści. I kasy nie tylko przetrwały, ale masowo wzięły udział w dobrowolnym finansowaniu powstających załazków niepodległej ojczyzny – wyłożyły kapitał na wyekwipowanie 2 tys. legionistów.

Zanim wojna się skończyła, Stefczyk przygotowywał ruch spółdzielczy do działania w wolnej Polsce, czyniąc starania na rzecz zjednoczenia inicjatyw z różnych zaborów. Po wojnie, ciesząc się autorytetem, czynił to już jako urzędnik państwowy, zajmował się także pracami nad wdrożeniem reformy rolnej. Jako człowiek niemłody, bo ponad 60-letni i mający za sobą kilka dekad ciężkiej pracy (wymagania Stefczyka wobec współpracowników

i samego siebie przeszły do legendy), nie mógł angażować się w rozwój spółdzielczości tak bezpośrednio, jak niegdyś. Zamierzał skupić się na propagowaniu idei i tworzeniu zaplecza naukowego dla tego sektora. Miał to robić Spółdzielczy Instytut Naukowy, a Stefczyk objąłby katedrę spółdzielczości na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie zdążył tego uczynić – 30 czerwca 1922 r. zmarł wskutek nagłego pogorszenia stanu zdrowia po przebytej operacji usunięcia nowotworu.

Cywiński skreślił portret człowieka wybitnego, w zasadzie cały opis działań Stefczyka to wyważona, ale jednak laurka, w pełni zresztą uzasadniona. Jednak autor „Idzie o dobro wspólne...” nie oszukuje czytelników, wskazując też na fiasko projektu Stefczyka, gdy patrzeć na rzecz tylko w kategoriach wymiernych. Wojenna inflacja, jej potężniejsza powojenna powtórka i kryzys gospodarczy sprawiły, że znaczną część oszczędności udziałowców kas spółdzielczych po prostu diabli wzięli. Ale jest coś, co przetrwało z tego przedsięwzięcia – samoorganizacja wsi galicyjskiej, nauczanie chłopów wspólnej pracy i oszczędzania przyniosły w długofalowej perspektywie poprawę sytuacji. Drugi „zysk” to stworzenie kadrowego zaplecza polskiej spółdzielczości – ze „szkoły Stefczyka” wyszło bezpośrednio tysiąc ideowych fachowców, a pośrednio przynajmniej kilka razy więcej im podobnych. Ci ludzie przez całe międzywojnie tworzyli setki inicjatyw spółdzielczych, a gdy udało im się przeżyć koszmar hitleryzmu, wzięli się do pracy przy odtwarzaniu tego sektora.

Jednak o ile kryzysy gospodarcze kapitalizmu poważnie nadszarpanej dorobek Stefczyka, o tyle powojenne realia komunizmu zniszczyły go doszczętnie – materialnie, kadrowo i ideowo. Nie tylko zepchnęły na margines i przemilczały jego dokonania, nie tylko nie pozwoliły normalnie działać autentycznym spółdzielcom, ale przede wszystkim zeszmaciły samą ideę spółdzielczości. Do dziś kojarzy się ona z sitwą cwaniaków zawiadujących blokowskim, z wiecznie pijanymi pracownikami GS-u, z aroganckimi ekspedientkami sklepów „Społem” itd.

I bez wątpienia rację ma Cywiński, gdy pisze w zakończeniu książki o Stefczyku: *„Wiele słów, których mądrze i uczciwie używał, zostało – jemu i nam – ukradzionych przez komunistów dla nazwania ich narzędzi przemocy. Tak było z demokracją, z człowiekiem pracy, z postępem, a nawet z wolnością. Rok 1980, a potem lata późniejsze, nauczyły nas odbierać im te słowa i przywracać im ich właściwy sens. Do dziś jednak nie przywróciliśmy prawdziwego znaczenia słowom: spółdzielnia, spółdzielczość, spółdzielca. Póki tego nie zrobimy, ze Stefczykiem się nie dogadamy. Pozostaniemy ogłuszeni wcześniej usłyszanym komunistycznym kłamstwem /.../. Mijają jednak lata, a otaczająca nas i przez nas tworzona rzeczywistość coraz bardziej różni się od tego obozu, w którym osadzili nas kiedyś komuniści. Żyjemy znów w kapitalizmie. A w tej właśnie rzeczywistości, jak pisał o tym Stefczyk, konieczny jest i ten spółdzielczy nurt gospodarczy, na którego dnie tkwi przykazanie ‘Kochaj bliźniego jak siebie samego’”.*

Remigiusz Okraska

Bohdan Cywiński, *Idzie o dobro wspólne... Opowieść o Franciszku Stefczyku*, Fundacja na rzecz Polskich Związków Kredytowych oraz Wydawnictwo Trio, Sopot-Warszawa 2005.  
[www.wydawnictwotrio.pl](http://www.wydawnictwotrio.pl)

# Socjaliści z „Solidarności”

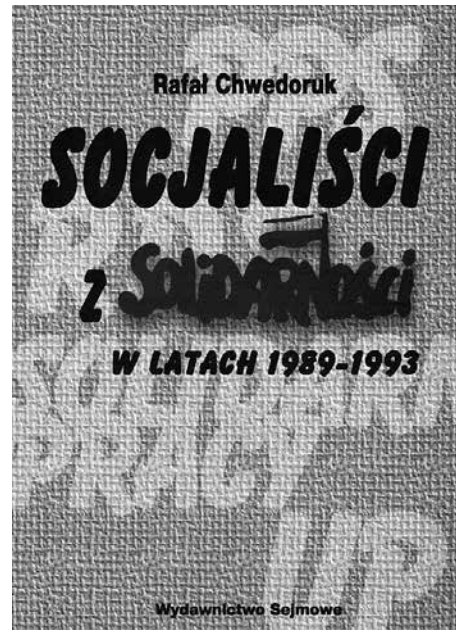
Krzysztof Kędziora

Przyznać się muszę, iż przyświeca mi z lekka Nietzscheańskie podejście do historii. Winna sprzyjać życiu – tyle z niej pożytku. Sucha znajomość faktów, z której nic dla teraźniejszości i przyszłości nie wynika, jest pozbawiona znaczenia. Historia stać się musi żywym doświadczeniem, aby warto było się nią zajmować. Z drugiej jednak strony nie sposób od niej uciec: chcąc czy nie chcąc, czy jesteśmy tego świadomi czy nie, określa nasze życie. Jeśli stanie się częścią naszej samoświadomości, okazać się może potęgą wyzwalającą.

Jaką więc korzyść wynieść możemy z lektury książki Rafała Chwedoruka „Socjaliści z Solidarności w latach 1989-1993”? Książki, co trzeba niestety odnotować, nie napisanej barwnie, niezbyt porywającej, będącej zwykłym rejestrem faktów, stanowisk, poglądów. Dlaczego mimo to należy do niej sięgnąć? Dla jej tematu. Poznanie myśli politycznej partii i grup określających się mianem lewicowych, a wywodzących się ze środowisk „solidarnościowych”, istotne wydaje mi się z trzech powodów. Po pierwsze, demokratyczny socjalizm, do którego owe ugrupowania się odwoływały, jest wciąż atrakcyjną propozycją polityczną. Po drugie, ich autorstwa ocena okresu transformacji, dokonywana przecież „na żywo”, zaskakuje dziś swą trafnością. Po trzecie, odwoływanie się do doświadczenia Sierpnia '80 przez owe ugrupowania stanowi istotny głos w sporze o znaczenie i charakter „Solidarności”. Głos, powiedzmy od razu, polemicznie skierowany wobec środowisk „solidarnościowej” elity, która stała na straży zmian po roku 1989 i była ich głównym animatorem.

Przedmiotem zainteresowania Chwedoruka są następujące ugrupowania polityczne: Polska Partia Socjalistyczna, Stowarzyszenie Solidarność Pracy, Ruch Demokratyczno-Społeczny oraz Unia Pracy, działające w latach 1989-1993. Rok 1989 to początek zmian ustrojowych w Polsce, złamanie monopolu politycznego PZPR, a więc i możliwość działania legalnych partii politycznych, zaś rok 1993 to w pewnym sensie koniec historycznego podziału na lewicę postsolidarnościową i postpezetpeerowską, usankcjonowany wejściem PPS w struktury Sojuszu Lewicy Demokratycznej oraz wyborczym sukcesem Unii Pracy, nieodwołującej się do tego podziału. Okres ten to w końcu czas burzliwych przemian i konstytuowania się nowego systemu społeczno-ekonomicznego. Owa różnorodność ugrupowań siłą rzeczy przełożyć się musiała na różnice w wyznawanych ideach, dokonywanych ocenach i programach. Niemniej jednak chciałbym zwrócić uwagę na to, co wydaje mi się być dzisiaj istotne.

Marksizm w swej najbardziej wulgarnej postaci postpionował wszelkie próby nadania myśli lewicowej charakteru etycznego ideału, traktując je jako nienaukowe i utopijne.



Polscy socjaliści natomiast czynili wręcz przeciwnie – akcentowali etyczno-humanistyczną treść socjalizmu. Nie bez znaczenia zapewne był tu wpływ m.in. Edwarda Abramowskiego. Miarą rzeczywistości uczyniono człowieka, możliwości jego rozwoju stanowiły podstawę życia społecznego. Celem socjalizmu jest organizacja społeczna umożliwiająca pełnię rozwoju człowieczeństwa. Konstytutywnym elementem tego przekonania jest wiara w dobroć natury ludzkiej (odpowiedzialnością za zło zostają obarczone warunki, w jakich przyszło żyć) oraz jej twórczy charakter.

Liberalne przekonanie o niemożności pogodzenia wolności i równości, można by powiedzieć, bierze się z błędnego rozumienia tych wartości. Dla liberała wolność to jedynie brak zewnętrznych przeszkód, dla socjalisty wolność to możliwość stanowienia o swoim życiu. Do tego zaś nie wystarczy jedynie posiadanie wolności jednostkowych, lecz także możliwość korzystania z nich. Równość wobec prawa uzupełniona musi zostać równym dostępem w decydowaniu o rzeczywistości społeczno-politycznej, czego zaś koniecznym warunkiem jest zapewnienie materialnych środków (dochodu, dostępu do edukacji etc.). Inaczej słowa wolność i równość stają się pustymi frazesami skrywającym rzeczywistość niewolę i nierówności.

Realizacja własnego człowieczeństwa kształtuje się we współpracy i solidarności z innymi. Stąd waga przypisana demokracji. Nie ograniczano jej jednak tylko do wymiaru politycznego, wskazując na niebezpieczeństwa związane ze sprowadzaniem jej do parlamentaryzmu. Jednym z głównych zagrożeń było ryzyko alienacji władzy. To właśnie temu miała zapobiec samorządność społeczeństwa, której w znacznej mierze adwokatami byli polscy socjaliści.

Demokracji nie można ograniczać jedynie do sfery politycznej. Gospodarka również powinna podlegać kontroli społecznej i być – na tyle, na ile to możliwe – demokratycznie zarządzana. Generalnie akceptując rynek, wskazywano na konieczność jego okiełznania i wyeliminowania patologii nieuchronnie przezeń generowanych, takich jak bezrobocie, nędza, ogromne dysproporcje majątkowe czy niszczenie środowiska naturalnego. Remedium na to poszukiwano w idei „gospodarki mieszanej” czy też prowadzonej przez państwo efektywnej polityki społecznej.

Nie dziwić więc powinna dokonana przez socjalistów surowa ocena okresu transformacji. Neoliberalizm, który zawładnął umysłami po roku 1989, oskarżano o absolutyzowanie rynku, nieuwzględnianie kontekstu historycznego i kulturowego, a także jednoznaczne opowiedzenie się po stronie kapitału przeciwko światu pracy. Wprowadzenie daleko idących reform wolnorynkowych w Polsce miało „ideologiczny charakter”, nie było zaś podyktowane wymogami rzeczywistości. W przekonaniu neoliberalów, wolnorynkowy kapitalizm był uniwersalnym lekarstwem na wszelkie bolączki, stąd łatwość, z jaką go aplikowano, bez względu na uwarunkowania historyczne i kulturowe, takie jak na przykład specyfika wychodzenia z realnego socjalizmu.

Odpowiadając na pytanie, dlaczego tak łatwo w Polsce uwierzono w neoliberalne dogmaty i z taką gorliwością wprowadzano je w życie, wskazywano na dwie przyczyny. Pierwszą, zewnętrzną – szczytowy okres neoliberalnej ofensywy na świecie, wzmocnionej jeszcze rozpadem bloku sowieckiego. Drugą, wewnętrzną, była ideowa atrofia wytworzona w Polsce po wprowadzeniu stanu wojennego, związana z utratą przez elity Związku więzi z ruchem masowym i zapomnieniem doświadczeń Sierpnia '80. Winnych szukano nie tylko po stronie dawnej opozycji, lecz także wśród nomenklatury partyjnej, która to utratę monopolu na władzę polityczną zrekompensowała uwłaszczaniem się.

Nie dostrzegano w PRL-u realizacji lewicowych ideałów, choć z czasem niuansowano jego początkowo bardzo krytyczną ocenę. Co więcej, uważano, że PRL nie tylko niewiele miał wspólnego z lewicowymi wartościami, ale pod wieloma względami stanowił ich zaprzeczenie. Oskarżano go o zniewolenie społeczeństwa, uczynienie z jego członków biernych jednostek, a także o koncentrację władzy, hierarchizację, antyegalitaryzm i antyrobotniczy charakter oraz o etatyzację gospodarki zamiast jej uspołecznienia. Nic dziwnego, że przekształcenie PZPR w SdRP postrzegano jako koniunkturalny zabieg mający na celu „przełamanie politycznej izolacji” i wyzbycie się „bagażu przeszłości”. Proces przedzierzgnięcia się komunistów w pełnokrwistych socjaldemokratów ułatwiał niewątpliwie nihilizm i tzw. pragmatyzm wielu z nich.

Socjaliści z dumą podkreślali swój „solidarnościowy” rodowód. „Solidarność” okresu 1980-81 ucieleśniała według nich lewicowe ideały. Była przeciw robotniczemu ruchem, radykalnie demokratycznym i egalitarnym. Dopiero po 13 grudnia 1981 r. zarysował się zanik więzi elit z masowym ruchem oraz pojawiło się dążenie do ograniczania i kontrolowania spontanicznej samoorganizacji społeczeństwa.

Krzysztof Kędziora

Rafał Chwedoruk, *Socjaliści z „Solidarności” w latach 1989-1993*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2004.

## NOWOŚCI

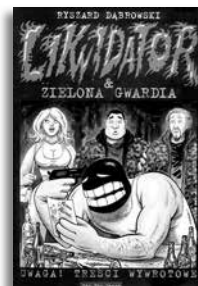
### W SKLEPIE WYSŁĘKOWYM OBYWATELA

szczegółowe informacje  
w katalogu na stronach 78-82



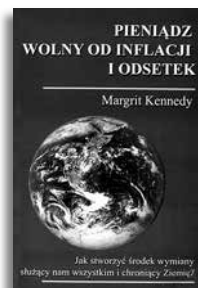
*Szanse Polski.  
Nasze możliwości  
rozwoju  
w obecnym świecie*  
Jadwiga Staniszkis  
w rozmowie  
z Andrzejem Zybąłą,

Ryszard Dąbrowski  
*Likwidator  
i Zielona Gwardia*



Hakim Bey,  
*Millennium*

Margrit Kennedy  
*Pieniądz wolny od  
inflacji i odsetek.  
Jak stworzyć środek  
wymiany służący  
nam wszystkim  
i chroniący Ziemię?*



# W pogoni za użytecznością

Nie ośmieliłabym się wygłaszać kategorycznych sądów o Chińczykach po dwutygodniowej wycieczce do Chin, choć program był intensywny, starannie przygotowany przez Towarzystwo Kultury Dalekowschodniej. Nasłuchałam się tylu fałszywych sądów i niemądrych uogólnień, że wszystkim zalecam powściągliwość. Taka wycieczka pozwala tylko na wyrobienie sobie ogólnego pojęcia, zaledwie na założenie czegoś w rodzaju folderu Chin, w którym mogę już umieszczać szczegółowe informacje i wrażenia.

Natomiast nie widzę powodu, by ograniczać się w snuciu hipotez na temat przyczyn zainteresowania kulturą Dalekiego Wschodu, nawet pewnej mody, którą daje się zauważyć w Europie i USA. Wydaje się, że jest to naturalna reakcja na redukcję roli człowieka do *homo economicus*. Czyli byłoby to poszukiwanie jakiegoś oparcia dla innej hierarchii wartości niż bezpośrednia użyteczność w systemie komercyjnym. Obawiam się jednak, że w kulturę globalizacji tak głęboko wpisana jest zasada racjonalności działania, że może to być również kolejna próba zawłaszczenia dorobku cywilizacji opartych na innych zasadach. Skoro można wykorzystać osiągnięcia medycyny naturalnej w przemyśle farmaceutycznym, osiągnięcia naturalnego, ekologicznego rolnictwa w rolnictwie wielkoprzemysłowym, to dlaczegożby nie wykorzystać na pożytek współczesnego człowieka elementów nieracjonalności istniejących w kulturach Dalekiego Wschodu?

Ten absurdalny zamiar powieść się nie może. Wszystkie wielkie religie i filozofie w swojej najgłębszej treści głoszą bezużyteczność użyteczności.

Potrzeba racjonalności wyraża się już w pierwszych pytaniach, którymi dzieci zadreńczają dorosłych: „po co?” i „dlaczego?”. Jakoś sobie z tym radzimy, ale na najważniejsze pytania – „po co człowiek żyje?” i „dlaczego umiera?” – odpowiedź może dać tylko religia lub filozofia. Filozof, prof. Bogusław Wolniewicz twierdzi, że źródłem uczucia religijnego u większości ludzi jest strach przed śmiercią, u nielicznych podziw dla piękna i potęgi dzikiej przyrody. Sądzę, że przeczucie Boga ma głębsze przyczyny, ale załóżmy, że prof. Wolniewicz ma rację. Religia byłaby zatem racjonalną odpowiedzią na pytania, na które w porządku doczesnym nie znajdujemy odpowiedzi. Nie rozwiązuje to jednak problemu nieracjonalności, która wydaje się tkwić w naturze człowieka równie głęboko, jak i racjonalność.

Każdy, może z wyjątkiem autystycznych charakteropatów, podejmuje w życiu różne działania, które trudno uzasadnić racjonalnymi przyczynami. W wielu przypadkach rzetelna odpowiedź na pytanie „po co?” powinna brzmieć: „po nic”, ale zazwyczaj gimnastykujemy się, żeby coś z sensem odpowiedzieć – żeby było ładnie, żeby było śmiesznie, dla relaksu, dla siebie, dla zdrowia, dla przyjemności, żeby rozwijać talenty, jak nakazuje Ewangelia. Są to wykręty, co wie każdy, kto wspinał się przy załamaniu po-

Felietony



Król  
jest  
nagi  
-odkrywamy  
kłamstwa  
propagandy

Joanna Duda-Gwiazda

gody bez możliwości wycofania się ze ściany. Żeglarze mówią „*Navigare necesse est*”, taternicy wspinają się, bo góry są, a lepsze od gór mogą być tylko góry, w których jeszcze nie byli. Są to szczególne pasje, ale wystarczy przyrzeć się przygotowanym do wigilii. Mój mąż wycina precyzyjnie kwiatki z marchewki i listki z selera, rozgrzewa i studzi galaretę, a jak już półmisek z rybą wjedzie na stół, głodni biesiadnicy wołają „och! jaka piękna” – i w kilka chwil rujną ją to niepowtarzalne dzieło sztuki.

Intuicyjnie czujemy, a praktyka to potwierdza, że człowiek, który wszystko robi po coś, jest jakoś ułomny, niepełny, brak mu „bezinteresownych zainteresowań”. W ankietach dla polityków i menadżerów pojawia się pytanie o hobby. Bezinteresowność i hobby są opłacalne, i bywa, że są symulowane.

Zainteresowanie kulturą Dalekiego Wschodu ludzie poważnie uzasadniają poszukiwaniem głębszej duchowości. Bardzo często okazuje się jednak, że dążenie do uduchowienia ma całkiem konkretny cel praktyczny. Techniki medytacji, elementy sztuk walki i akrobacji, nauka prawidłowego oddychania czy opanowania bólu, służą lepszemu zdrowiu i samopoczuciu, relaksowi, „ładowaniu życiowych akumulatorów”. Nic w tym zdrożnego, jednak pewna przesada w pogoni za „głębszą duchowością” podejrzenie przypomina hipochondrię. Kojarzy się z egocentryzmem współczesnego człowieka, który dążeniem do własnego szczęścia chce zastąpić inne, zewnętrzne cele – służenie ludziom, Bogu, Ojczyźnie czy np. cesarzowi Chin albo partii komunistycznej. W pogoni za własnym dobrobytem, zdrowiem, długowiecznością ludzie gotowi są szukać sensu nawet w duchowości czy nieracjonalności. Nic mnie już nie dziwi w czasach, kiedy w wyspecjalizowanych biurach podróży można sobie kupić kontrolowaną przygodę, zaplanowaną niespodziankę, a nawet walkę o przetrwanie pod opieką profesjonalnych ratowników.

Jeśli chciałabym podsumować przemyślenia z krótkiej wycieczki do Chin, to nie są one zbyt odkrywcze i rewolucyjne. Świadomość przeciwieństw jest głęboko zakorzeniona w chińskiej kulturze i może dlatego szukanie harmonii jest tam czymś oczywistym, nie wymagającym uzasadnienia. Racjonalność i nieracjonalność działań człowieka są całkowicie równoprawne. Nie ma potrzeby wypierać się rzeczywistych motywów działania, np. egoistycznych, lub na odwrót – uzasadniać własną korzyścią tego, co robi się z dobrego serca lub z czystej fantazji.

Teraz na pytanie „po co piszę felietony do »Obywatela«” – będę odpowiadać: „po nic, piszę, bo tak mi się podoba”.

Joanna Duda-Gwiazda

Na  
pojedynczy  
rozum

Anna Mieszczanek

W niedzielny poranek budzi mnie dzwon z kościoła. I jest jak w dzieciństwie, u babci. Miasteczko szło na mszę, a dopiero potem zaczynał się świat – kakao na śniadanie, po obiedzie lody z budki panny Lusi. Przeciagam się więc w łóżku leniwie, ale zaraz mi się wszystko przypomina. Dopiero był Madryt. Potem Londyn. Wczoraj – Egipt. Bo chłopcy malowani – na brudnej wojnie. Każdy jeden – jak w songu Janerki – „*pochował się razem z głową w helmu dzwon... przydzwoni mu kiedyś w leb i death, death, i skończy się ten cały trans, para-dance, para-rytm, para-nic... A szyby płoną, Angole słuchają Bono...*”. Potem idą zabijać ze słuchawkami od walkmana na uszach. A Bono zaszczycza kolejny szczyt G-8 albo Davos i media aż piszczą, że tylko on może nas uratować.

\*\*\*

Jechałam do Juraty, gdy przyszedł SMS z Londynu: wybuchy. W Jastarni, w internetowej kafejce, tłumek już pochylał się nad Onetem i BBC. Do centrum Londynu weszło wojsko. To wszystko już było – myślę – w hollywoodzkich super-produkcjach. Wszystko, co wymyślone – potem się zdarza.

W Juracie słońce, radio już wszystko podało. Ale w końcu my tu mamy wakacje. Bomby musiałyby urwać nam nasze osobiste rączki i nóżki, żebyśmy przerwali zwykły – czy też wakacyjny – bieg. Ja się nie dziwię. Rozumiem, że inaczej byśmy już dawno oszaleli. Ale właściwie... Jeśli normalni ludzie tworzą świat chory na przemoc, to jakbyśmy wszyscy oszaleli – z bólu, z rozpacz, z niemożności przyswojenia tragedii – może wtedy zaczęlibyśmy tworzyć świat bardziej nadający się do życia? Co właściwie możemy zrobić? Nic.

Możemy najwyżej się na środku świata i płakać. Razem. Ci, co podkładają bomby i ci, którzy w wybuchach tracą bliskich. Może siądziemy? Może dołączy jakaś Anna, która gdzieś, po drugiej stronie świata pisze podobny do mojego felieton? Też obudziła się w lipcowy poranek i usłyszała dzwon albo wołanie z minaretu.

\*\*\*

W Juracie tłok, jazz na żywo miesza się z „*chcemy być sobą*” wołanym z radia, na to nakłada się pop-sieczka z grilla i tępa rąbanka od ekipy z Ukrainy, co właśnie dostawia piętętko nad winiarnią. Na szczęście zawsze jest jakieś sto metrów *dalej* – w bok albo w głąb – gdzie jeszcze można usiąść na własnym tyłku i pobyć ze sobą. Lub w jakieś dwoje, jeśli ktoś bardzo potrzebuje. Żeby się zorientować, jak się właściwie czujemy z tym, co się nam zdarza. Z tego sto metrów *dalej*, na razie patrzy na mnie wielkie błękitne morze i buczy spokojnym rytmem. Wiem, iż jeden oszalały z bólu człowiek może sprawić, że i z morza przyjdzie do nas śmierć. I do tych, co są w centrum, i do tych, co są *dalej*. Ale na razie jeszcze nie.

# Dzwon na środku świata

\*\*\*

„*Wolniej! Wolniej! Im szybciej w las, tym mniej w nim nas...*”. To Wojtek Waglewski na urodzinowej – na 20-lecie Voo Voo – płycie. Moi pocieszyciele! Kiedyś gniewni, dziś łagodni jak baranki *rockmani*. Albo buntownicy z Hollywood. Richard Gere, dzięki któremu mogę zaczynać dzień czytając z pulpitu komputera Dalajlamę: „*jeżeli nie możemy pomagać innym, to przynajmniej im nie przeszkadzajmy, nie krzywdźmy*” ([www.fpmt.org](http://www.fpmt.org)). David Lynch, który – jak czytam w „Rzeczpospolitej” z 21 lipca – „*zbiera 7 miliardów dolarów, by zaprowadzić pokój na świecie dzięki programowi masowej medytacji transcendentalnej*”. US Peace Government Lynch wspomaga od 2003 roku. Teraz chce uczyć dzieci w szkołach medytacji według Maharisiego. To ten sam guru, który zafascynował kiedyś Beatlesów, żeby John Lennon mógł potem śpiewać „Imagine”.

Wyobraź sobie... Bo skoro stworzymy świat przy pomocy naszych myśli, to jeśli wielu ludzi wyobrazi sobie świat ogarnięty pokojem, to taki świat będziemy mieli. Zajrzyj sobie na [www.globalgoodnews.com](http://www.globalgoodnews.com)

\*\*\*

Jak mi nie wierzyć, to zapytajcie mamusię albo tatusia. Jak to było, kiedy 25 lat temu Anna Walentynowicz uspokajała tych, co się bali więzienia: „*No jak to, przecież wszystkich nie mogą zamknąć!*”. To było w Stoczni, do której Lechu potem przez płot... Dziś, Maria Matecka-Tatkowska, sąsiadka Wałęsy, która 25 lat temu jego i Andrzeja Gwiazdę dokarmiała po nocach plackiem donoszonym do siedziby „Solidarności”, mówi „Dziennikowi Bałtyckiemu”, że poszła pod dom na ul. Polanki zobaczyć, jak się będzie Wałęsa imieninowo jedna z Kwaśniewskim. „*Tak jak 25 lat temu płot nas połączył, to teraz nas podzielił. I tak mam dużo szczęścia, że nie stałam pod domem Wałęsy z głodu. Jedynie z ciekawości*”.

Ja też tylko z ciekawości, bez skutku próbuję się dowiedzieć, gdzie właściwie była pierwsza redakcja „Tygodnika Solidarność”. To było Batorego 14 – złożony z kilku segmentów jednopiętrowy pawilon. Teraz pod tym adresem, w pierwszym segmencie, jest liceum mojej córki. Czy to właśnie tu? Czy może dalej, w drugim albo trzecim segmencie? Obdzwoniłam znajomych z tygodnikowej ekipy, z którymi pracowałam parę lat później w innej redakcji – wszyscy pamiętali następny lokal, na Batorego jeszcze nie bywali. Powiedziałby mi Janek Dworak, który na Batorego sekretarzował, ale odkąd został szefem telewizora nie mam numeru jego komórki, a żona pośredniczy nieskutecznie. Do Małgosi Niezabitowskiej dzwonić mi teraz głupio. Napisałam w końcu do Teresy Kuczyńskiej z „Tygodnika” dzisiejszego, ale nie odpowiedziała. Więc nie wiem, gdzie powstawało to pierwsze wolne pismo.

Pocieszam się, że prawda raz się przed nami odsłania, innym znów razem ukrywa. I tylko od naszej determinacji zależy, kiedy znów ją zobaczymy. Nawet jeśli dziś wydaje się, że możemy tylko się na środku świata i płakać.

Anna Mieszczanek



# Kandydatom do sztambucha



**Felietony**

**Słownik  
zabobonów**

**Olaf Swolkień**

**1.** Dlaczego miarą sukcesu w gospodarce i polityce jest wprost proporcjonalny do np. wzrostu sum wydanych na niepotrzebne lekarstwa, spaloną benzynę, wycięte drzewa, śmieciarskie jedzenie oraz na wiele innych rzeczy, które są szkodliwe dla ludzi i świata? Na jakiej podstawie zwolennicy tej doktryny twierdzą, że im więcej na nie wydamy, to tym lepiej, bo tym większy wzrost gospodarczy, a twierdzenie, że im większy wzrost gospodarczy, tym lepiej – każą nam przyjmować jako oczywiste? Czy – mówiąc prosto – lepiej jest wtedy, gdy ludzie kupią mniej benzyny i niepotrzebnych lekarstw, czy wtedy, gdy kupują ich więcej? Czy wsadzanie wszystkich wydatków do jednego worka nie jest aby zbyt dużym uproszczeniem? Jak to się ma do przyrody, jej piękna i tak zwanych zasobów? Czy na Ziemi może żyć nieskończona ilość ludzi? Czy więcej osobników jednego gatunku to więcej życia w ogóle? Czy warunki ludzkiego życia zmieniają zasadniczo samo ludzkie życie?

**2.** Dlaczego państwo i samorządy zadłużają się w prywatnych bankach, a później na samą spłatę odsetek od zadłużenia przeznaczają z podatków gigantyczne sumy, których wielkość znacznie przekracza np. nakłady na naukę czy transport publiczny? Czy nie ma innego sposobu zdobywania papierowego przecież pieniądza?

**3.** Dlaczego wokół jest tyle rzeczy do zrobienia i tylu ludzi bez pracy? Dlaczego sprzątaczką czy sprzedawcą ma zarabiać kilkaset razy mniej od bankiera? Czy nie jest prawdą, że mamy takie same lub przynajmniej podobne żołądki? Czy jest możliwe społeczeństwo złożone z samych np. bankierów i specjalistów od reklam, bez sprzątaczek, hydraulików, pielęgniarek, kopaczy dołów, kucharek? Czy jest możliwe społeczeństwo bez bankierów i billboardów? Co to jest awans społeczny? Co będzie, jeśli wszyscy awansujemy?

**4.** Czy wszyscy mamy takie same mózgi i czy nie różnią się one w ramach gatunku bardziej niż żołądki i czy wobec tego polityczna arystokracja i socjalna demokracja nie pasują do natury ludzkiej bardziej niż polityczna demokracja i wielka materialna nierówność? A może najlepszy jest ustrój mieszany?

**5.** Dlaczego ludzi kupujących np. złotówki po to, by następnego dnia je sprzedać i zamienić z zyskiem na inną walutę, nazywa się inwestorami, a nie spekulantami? Dlaczego ich zyski są nieopodatkowane i niekontrolowane, w przeciwieństwie np. do pensji ludzi żyjących z pracy? Czy jest w ogóle jakaś definicja spekulanta, czy też słowo to zostało w ogóle wykreślone ze współczesnego słownika i nie ma swojego odpowiednika w materialnej rzeczywistości?

**6.** Dlaczego wszystkie wielkie media, w tym media publiczne, w całości lub częściowo są uzależnione od reklamodawców, a nie od czytelników, słuchaczy, widzów czy choćby od państwa, które reprezentuje obywateli? Czy jest w ogóle w tym systemie możliwość zabrania głosu tak, by był on słyszany na krajową skalę, jeżeli się jest ubogim i zabiera głos wbrew interesom np. spekulantów, bankierów czy reklamodawców?

**7.** Jak to jest z wolnym handlem? Czy jeżeli towary np. chińskie lub amerykańskie są tańsze, bo Chińczycy pracują po 12 godzin na dobę, a Amerykanie nie biorą urlopów, to znaczy, że wszystkie polskie firmy powinny z czasem albo zbankrutować, albo wszyscy Polacy też powinni zacząć pracować po 12 godzin i zrezygnować z urlopów? Czy nie lepiej wprowadzić cła dopóki Chińczycy i Amerykanie nie zechcą mniej pracować? Czy na handlu zawsze wszyscy zyskują, czy może zawsze jedni tracą, a inni zyskują? A może, jak wiele innych zjawisk, zależy to od jego wielkości, zasięgu, przedmiotu?

**8.** Czy selekcja powinna polegać, tak jak obecnie, na eliminacji tych, którzy żyją w stanie względnej równowagi z resztą przyrody, po to, by inni mogli np. zarobić na zbudowaniu dróg przez ich siedliska i utrzymać dzięki temu własne dzieci? Czy może przeciwnie, powinniśmy starać się zaufać reszcie przyrody, żyć możliwie bez technologicznych podpór i tym sposobem bardziej uniezależnić się od technologii i innych ludzi? Czy jeżeli zdecydujemy się na wariant technologiczny, to w konsekwencji musimy zgodzić się na technologiczno-polityczną kontrolę? Co zagraża nam bardziej: samochodowa „mobilność” i klimatyzacja czy upał? Czy związek między jednym i drugim nie przypomina samonapędzającego się mechanizmu prowadzącego ku zagładzie lub totalnemu zniewoleniu przez technologię i innych ludzi? Kiedy jesteśmy bardziej wolni: gdy zależymy od praw przyrody, czy gdy od praw koniunktury i rynku?

**9.** Jakie są związki między tymi wszystkimi zagadnieniami, czy zmiany przebiegają według modelu wznoszącej się lub opadającej linii prostej, jak uspokajają nas media, czy może procesy przypominają bardziej opowieść o dzbanie, który wodę nosi aż ucho się nie urwie?

W kilkuminutowym wyborczym klipie trudno odpowiedzieć na jakiekolwiek poważne pytanie, tym bardziej, że żaden dziennikarz takiego nie zada. Dlatego, drodzy kandydaci na prezydenta, premiera, posła, ministra, sekretarza i doradcę – zachęcam do zastanowienia się nad nimi gdzieś na boczku, po cichu, gdy nikt nie widzi. Bo mi się widzi i to przez okno, że to się przyda później, a może nawet prędzej.

**Olaf Swolkień**



Jacek Zychowicz

## Bez reprezentacji

Do legendy przeszło powiedzenie, którym anglosascy osadnicy w Ameryce Północnej skwitowali wezwanie ich macierzystej Korony do zapłacenia nadzwyczajnych podatków: „no taxation without representation”. Znaczyło to, mówiąc swobodnie, że ten, kto nie ma swoich przedstawicieli u władzy, nie powinien na jej rzecz ponosić finansowych ani jakichkolwiek innych ciężarów.

Legendy tym się odznaczają, że na ogół nie stosuje się ich do życiowej praktyki. A szkoda. Łatwo bowiem zauważyć, że pójście w ślady zbuntowanych kolonistów bardzo by się nam opłaciło. Gdyby do niego doszło, urzędnicy podatkowi musieliby ze świecą rozglądać się za płatnikami, którzy są im cokolwiek winni.

Partie polityczne zajmują się, mianowicie, bardzo wieloma rzeczami, z jednym znamienym wyjątkiem: reprezentowania swoich sympatyków i wyborców. Polskie Stronictwo Ludowe ogłosiło, na przykład, że jego kandydaci do Sejmu aż w 80% legitymują się wyższym wykształceniem. Jako iż wiejskim gospodarzom zazwyczaj brakuje sposobności, czasu, a wreszcie i wielkiej chęci do zwycięskiego szturmowania akademickich fakultetów, nietrudno stąd wywnioskować, że PSL w nikłym stopniu jest partią chłopską. Kto, wobec tego, w niej działa? Wtajemniczeni chętnie odpowiedzą: zgromadzili się tam funkcjonariusze rozmaitych kółek, baz i przedsięwzięć, które ze wsią mają tyle wspólnego, że ją łupią lichwiarskimi cenami swoich usług.

Posel o charakterystycznie pyzatym obliczu – bodajże Witaszek – który zdradził kiedyś obiecujące ugrupowanie zawsze młodego prezesa Pawlaka na rzecz „Samoobrony”, ostatnio się z nim przeprosił. Z wcześniejszego niż parlamentarny zawodu jest on właścicielem jednej z najdroższych i – co za tym idzie – ze szczególną chęcią odwiedzanych przez gości, którzy się liczą, restauracji pod Warszawą. Według uporczywie krążących słuchów, zawiódł on Leppera, nie wywiązując się z obietnicy założenia sieci barów szybkiej obsługi, które – serwując golonkę zamiast hamburgerów – przy sposobności reklamowałyby partię tych, którzy dotąd nigdy nie rządili. Do PSL-owskiej kolebki wrócił, bo nie miał wielkiego wyboru, skoro „Samoobrona” go twardą ręką swego wodza przepędziła.

Witaszek postąpił jak mędrzec. Pozwalając najadać się szarakom, z których ten i ów, być może, na niego zagłosuje, wystąpiłby on wbrew obowiązującym regułom gry. Po co liczyć się z pospolitakami, skoro nikt tego nie robi? Warto natomiast zachować pozycję w zawodowych elitach politycznych. Nieważne, gdzie konkretnie się jest – wystarczy być w ogóle i gdziekolwiek.

Kto jeszcze ma cierpliwość śledzić przetasowania na lewicy, ten na pewno się zgodzi, że ściśle podlegają one wręcz Newtonowskiemu prawu współczesnej mechaniki

politycznej, które udało mi się powyżej sformułować. Unia Pracy zmontowała koalicję z Socjaldemokracją Polską na sezon kilkutygodniowy. Jej organizacje terenowe zaczęły uciekać spod szyldu Marka Borowskiego, gdy tylko notowania sondażowe odmówiły mu większych szans na sukces. Inna, jeszcze bardziej marginalna Unia – tym razem Lewicy – skrzyknęła się w imię potępienia tyleż bilansu rządów SLD, co jego rodowodu. Z jej samodzielnego startu wyborczego nic jednak nie wyszło. Gdzie, w takim razie, szukać jej kandydatów? Jeśli nie zgadliście, że na listach partii, którą od niedawna kieruje Wojciech Olejniczak, to z was naiwne fajtlapy!

Pewien mój znajomy popisał się przenikliwą refleksją, stwierdzając, że nie rozumie, dlaczego rywalizujące ze sobą partie popiera ktokolwiek prócz ludzi, którym one coś, najlepiej pieniądze, wymiernego załatwiły. W normalnym feudalizmie wasal przychodził swemu suwerenowi na odsiecz z własnym mieczem i gardłem, ale przynajmniej coś od niego w nagrodę – a to zbrojną ochronę, a to ochłapy z uczty – otrzymywał. Człowiek typowy dla współczesnie panującego ustroju, jak widać, jest znacznie mniej racjonalny.

Korzystając z jego naiwnej łatwowierności, po scenie publicznej jak w ukropie uwijają się gracze reprezentujący jedynie swe osobiste interesiki. Śledząc burze medialne rozgrywające się wokół warszawskiej Parady Równości, prawdziwych czy rzekomych ataków na działaczki feministyczne oraz demonstracji czterdziestoosobowej grupki wielbicieli przedwojennego ONR-u w Myślenicach, która u dyżurnych antyfaszystów „Gazety Wyborczej” wywołała histerię całkiem nieproporcjonalną do bodźca, zastanowiłem się, co to dzisiaj znaczy być obrońcą gejów, kobiet lub mniejszości etnicznych. Misja ta polega otóż na ściąganiu na siebie ataków. Kiedy zostanie się napadniętym, można już – starając się, naturalnie, o jak najszerszy rozgłos – przeciwko temu zaprotestować. Z punktu widzenia specjalisty od reprezentowania homoseksualistów, im więcej wrogości do nich, którą w eleganckim żargonie nazywa się homofobią, tym lepiej. Z czego wcale nie wynika, bym wyżej od takich magików cenił samochwały, które szumnie przypisywane sobie normalności nie potrafią wyrazić inaczey niż agresją wobec odmiennych stylów życia.

Zbiorowości oszukiwane przez swoich przedstawicieli nie potrafią – zbyt wiele może dodawać – ani podziękować im za marne usługi, ani tym bardziej samemu wystąpić w swoim imieniu. Oszukani trwają z oszustami w swego rodzaju kłinczu, który tym ostatnim pozwala bezkarnie prosperować.

Jacek Zychowicz

**Artur Adamski** (ur. 1964) – filolog, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1982 r. w strukturach podziemnych Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej, następnie NZS, członek Rady Oddziału „Solidarność Walcząca” – Dolny Śląsk. Redaktor kilku konspiracyjnych czasopism, m.in. „Młodzież”, „Kontra”, „Solidarność Dolnośląska”. Po 1989 r. nauczyciel w LO, twórca jednego z Dyskusyjnych Klubów Filmowych, dziennikarz kilkunastu redakcji prasowych, m.in. „Dni”, „Nowej Gazety” i „Nowych Pokoleń”. Stały współpracownik miesięczników „Opcja na Prawo” i „Forum Polskie” oraz portalu internetowego „Rubikon”. Autor publikacji na temat dziejów i kultury Dolnego Śląska.

**Waldemar Bożeński** (ur. 1959) – historyk filozofii, eseista, wydawca. Autor książki „Pęknięty witraż – człowiek w pułapce globalizmu”. Kontakt: andromeda@pologne.com

**Ewa Bugno-Zaleska** (ur. 1949) – absolwentka Studium Reklamy i Dekoratorstwa. W latach 1982-1989 organizowała niezależne wystawy w pomieszczeniach parafialnych przy kościele św. Wojciecha w Koninie i tworzyła oprawy plastyczne wielu niezależnych uroczystości patriotycznych, robiła tablice pamiątkowe oraz szatę graficzną dla lokalnych gazetek „Solidarność”. W 1986 r. została członkiem Krajowej Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność” i nawiązała współpracę z Zofią i Zbigniewem Romaszewskimi. W 1998 r. zaprojektowała oprawę plastyczną wnętrz sejmowych na III Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka w Warszawie. Jest autorką wystawy polskiego plakatu pt. „Plakat i Historia – trudna polska droga do demokracji” (wystawa była eksponowana m.in. w Hawanie, Pinar del Rio, na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie n. Menem, w Strasburgu, Budapeszcie, Sankt Petersburgu, Lyonie i Kopenhadze). W 2001 r. za działalność wydawniczą w podziemiu została odznaczona przez ministra kultury tytułem „Zasłużony Działacz Kultury”. W 2004 r. wyróżniona przez czytelników „Przeglądu Konińskiego” mianem „Człowieka ćwierćwiecza”.

**Tadeusz Buraczewski** (ur. 1949) – inżynier, absolwent Politechniki Gdańskiej, specjalista od turbin wodnych, energetyk. Budowniczy zakładów przemysłowych w Polsce i byłej NRD. Od czasów studenckich aktywny na niwie kabaretowej. Współtworzył kabarety studenckie „Ad Hoc” i „Jelita”. Inicjator trzech imprez: Ogólnopolski Gdyniński Konkurs Satyryczny „O Grudę Bursztynu”, Gdyniński Konkurs Satyryczny „O Strusie Jajo” i Kaszubski Turniej Satyryczny w Pucku. Kierownik literacki i założyciel gdynińskiego kabaretu UNIQ. Stały współpracownik Programu III Polskiego Radia (magazyn „Parafonia”), satyrycznego miesięcznika „Twój Dobry Humor”, Radia Gdańsk (felietony i magazyn satyryczny „3 grosze”), Radia Eska Nord (magazyn satyryczny „Trzynastka”) oraz pomorskiej prasy lokalnej. Kontakt: tykocin@op.pl

**Joanna Duda-Gwiazda** – inżynier okrętowiec, działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża (1978) i pierwszej „Solidarność” (członek prezydium MKS-MKZ, Zarządu Regionu), w stanie wojennym internowana, niezależna dziennikarka i publicystka („Robotnik Wybrzeża”, „Skorpion”, „Poza Układem”). Od początku do dziś konsekwentnie w opozycji do metod i polityki firmowanej przez Lecha Wałęsę i jego następców. Żona Andrzeja Gwiazdy. Stała współpracownica „Obywatela”.

**Andrzej Gwiazda** (ur. 1935) – ukończył Politechnikę w Gdańsku, tam pracował, po Marcu '68 usunięty z uczelni. Wraz z żoną Joanną Dudą-Gwiazdą zaangażował się we współpracę z Komitetem Obrony Robotników, był redaktorem „Robotnika Wybrzeża” i współzałożycielem Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. W Sierpniu '80 członek prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, jeden z autorów postulatów gdańskich. Następnie wiceprzewodniczący KKP „Solidarność” przez okres 16 miesięcy do stanu wojennego. Popadł w konflikt z L. Wałęsą, zarzucając mu autokratyzm i nadmierną ugodowość wobec władz komunistycznych. Na I Zjeździe „Solidarność” jesienią 1981 r. kandydował bez powodzenia na stanowisko szefa związku. W stanie wojennym internowany, oskarżony w słynnej sprawie tzw. jedenastki. Kilka lat więziony w ciężkich warunkach. Po wyjściu z więzienia izolowany przez Wałęsę i jego zwolenników. Bardzo krytyczny wobec „okrągłego stołu” i jego następstw. W 1991 r. startował w wyborach parlamentarnych z ugrupowaniem Poza Układem (razem z Anną Walentynowicz) – bez powodzenia. Przez kilka lat redaktor pisma „Poza Układem”. W drugiej połowie lat 90. zawiesił czynną działalność polityczną. W 2000 r. otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta Gdańsk jako sygnatariusz porozumień sierpniowych. Miłośnik górn.

**Marek Has** (ur. 1951) – z wykształcenia filozof (UJ), w latach 1988-1992 współpracował z pismem „Zielone Brygady”, autor i tłumacz tekstów z dziedziny filozofii, buddyzmu, głębokiej ekologii, tłumacz poezji haiku, autor m.in. książek „Medytacje szamańskie” (1991) i „Pożegnanie Atlantydy” (2003). Publikuje w „Arcanach”.

**Krzysztof Kędziora** (ur. 1977) – przygotowuje doktorat poświęcony filozofii politycznej Thomasa Hobbesa w Katedrze Etyki Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie oddaje się także działalności dydaktycznej. Publicysta, tłumacz.

**Wiesława Kwiatkowska** – gdynianka z urodzenia i upodobania, dziennikarka, autorka książek o Grudniu '70 i artykułów o tematyce społecznej, wyróżniona „Złotym Piórem” przez „Solidarność” Stocznia Gdynia i Medalem im. Eugeniusza Kwiatkowskiego przez Radę Miasta Gdyni. Członkini Komisji Krajowej pierwszej „Solidarność” i sekcji historycznej Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Po wprowadzeniu stanu wojennego aresztowana i skazana na 5 lat więzienia. Autorka prac „Grudzień 1970 w Gdyni”, „Gdynska apokalipsa”, wywiadu rzeki z Andrzejem Gwiazdą pt. „Gwiazda miałeś rację”, współautorka „Gdynskie cmentarze. O twórcach miasta, portu i floty”, organizatorka czterech konferencji „Korzenie Gdyni”.

**Bernard Marguerite** – dziennikarz i publicysta, prezes International Communications Forum, organizacji zajmującej się problematyką mediów i środków przekazu. Absolwent Sorbony. W 1965 r. rozpoczął pracę w dzienniku „Le Monde”, w latach 1966-1970 był jego korespondentem w Polsce. W 1971 r. władze komunistyczne nakazały mu opuszczenie Polski. Przeniósł się do Wiednia. W latach 1975-1977 pracował na Uniwersytecie Harvarda. Do Polski wrócił w 1977 r., wciąż w roli korespondenta francuskiej prasy i radia. W latach 1993-1994 pracował w Centrum Studiów Rosyjskich i Centrum na rzecz Prasy i Polityki Uniwersytetu Harvarda. Opublikował wiele artykułów w „Le Monde”, „Le Figaro”, „Politique Etrangere”. Jest współautorem książki o Austrii oraz publikacji „Planification in Eastern Europe”. Na Harvardzie napisał opracowanie „The New Central Europe: the difficult birth of a free press”. Obecnie jest felietonistą „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą chadeckiego kwartalnika „Znaki Nowych Czasów”. Mieszka w Zalesiu Górnym pod Warszawą.

**Anna Mieszczanek** (ur. 1954) – dziennikarka, zwolniona z pracy w stanie wojennym, w latach 80. redaktorka podziemnego pisma „Karta”, później m.in. prywatny wydawca. W latach 1996-1997 wiceprezes Społecznego Instytutu Ekologicznego, uczestniczka ruchu kobiecego. Założycielka i pierwszy Prezes Zarządu Stowarzyszenia Forum Mediacji i Mediatorów, inicjatorka powstania Ośrodka Mediacji Rodzinnych przy Fundacji „Zadbać o świat”. Autorka wydanej w podziemiu i nagrodzonej przez Fundację „Polcul” książki o wydarzeniach marca 1968 w Polsce oraz współautorka (z Wojciechem Eichelbergerem) bestselleru „Jak wychować szczęśliwe dzieci”. Stała współpracownica „Obywatela”.

**Remigiusz Okraska** (ur. 1976) – socjolog, niepraktykujący z wyboru. Publicysta czasopism społeczno-politycznych różnych opcji (od radykalnej lewicy i anarchizmu po radykalną prawicę), gdzie w latach 1997-2003 propagował porzucenie przestarzałych ideologii, schematów myślowych i podziałów politycznych oraz wskazywał alternatywne rozwiązania. Od października 2001 do lipca 2005 r. był redaktorem naczelnym miesięcznika „Dzikie Życie”, poświęconego obronie przyrody i propagowaniu radykalnej ekologii. W ostatnich trzech latach zredagował polskie edycje kilku książek z „klasyki” myśli ekologiczno-społecznej (A. Leopold, C. Maser, D. C. Korten, D. Foreman) oraz parę innych prac o podobnej tematyce. Piwosz. Obecnie mieszka w Łodzi, mniej więcej na pograniczu Śródmieścia i Bałut. Redaktor naczelny „Obywatela”.

**Zbigniew Romaszewski** (ur. 1940) – z wykształcenia fizyk, w 1980 r. obronił doktorat w Instytucie Fizyki PAN, gdzie pracował od ukończenia studiów do usunięcia z pracy w 1983 r. W 1976 r. uczestnik akcji pomocy robotnikom Radomia. Od 1977 r. członek Komitetu Samoobrony Społecznej – Komitetu Obrony Robotników. Na przełomie lat 1979/80 założył Komisję Helsińską, zajmującą się dokumentowaniem przypadków łamania praw człowieka przez władze PRL. Był członkiem Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w pierwszym okresie jej działalności. W stanie wojennym ukrywał się przed SB i założył podziemne Radio „Solidarność”. Więziony w latach 1982-1984. Po uwolnieniu kierował reaktywowaną w podziemiu Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”. Organizował I Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka w Krakowie (1988), II w Leningradzie (1990) i III – w Warszawie (1998). Po przemianach ustrojowych od 1989 r. nieprzerwanie zasiada w Senacie, kolejno z listy Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsę (1989), jako kandydat niezależny (1991), z listy NSZZ „Solidarność” (1993), z listy Ruchu Odbudowy Polski (1997) i z listy Bloku Senat 2001 (2001). W I, II i IV kadencji Senatu RP przewodniczył Komisji Praw Człowieka i Praworządności. W całej działalności przed i po roku 1989 aktywnie wspiera go żona Zofia Romaszewska.

**Adam Sandauer** (ur. 1950) – doktor fizyki, obecnie rencista w następstwie błędu lekarskiego. Rozwiedziony, bo wrócił do Polski przed wprowadzeniem stanu wojennego, a była żona pozostała w USA. Prześladowany za druk i kolportaż ulotek w 1968 r. W latach 90. szef zespołu doradców klubu parlamen-



tarnego Konfederacji Polski Niepodległej. Od kilku lat przewodniczący Stowarzyszenia Primum Non Nocere, zajmującego się m.in. pomocą dla ofiar błędów lekarskich. Syn znanego pisarza Artura Sandauera i malarki Erny Rosenstein.

**Julian Srebrny** (ur. 1940) – należy do NSZZ „Solidarność” od 1980 r. do chwili obecnej. Brał udział w zakładaniu NSZZ „Solidarność” w Regionie Mazowsze w 1980 r. Nauczyciel akademicki Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. W opozycji od 1965 r., kiedy po raz pierwszy został zatrzymany przez Służbę Bezpieczeństwa. W stanie wojennym redagował kilka niskonakładowych podziemnych gazetek, m.in. „Hartownia” i „Chleba i Wolności”. Od 1989 r. zajmuje się w „Solidarności” zagadnieniami płac pracowniczych, a przede wszystkim płac pracowników sfery budżetowej, w szczególności szkolnictwa wyższego. Współinicjator strajku pracowników sfery budżetowej w 1993 r.

**Marian Srebrny** (ur. 1947) – profesor w Wyższej Szkole Handlowej w Kielcach i docent w Instytucie Podstaw Informatyki PAN. Informatyk, specjalista w dziedzinie kryptografii, podpisu elektronicznego, gospodarki elektronicznej. W NSZZ „Solidarność” od 1980 do dziś. W marcu '68 skreślony z listy studentów Uniwersytetu Warszawskiego i powołany do wojska. W grudniu 1981 r. współorganizator strajku w ZIM URSUS, internowany. Obecnie członek Rady Krajowej Sekcji NSZZ „Solidarność” Polskiej Akademii Nauk.

**Olaf Swolkień** (ur. 1960) – socjolog i historyk, publicysta, autor książki „Nowy ustrój – te same wartości. Rzecz o tym dlaczego współczesny człowiek niszczy środowisko naturalne”, aktywista ekologiczny, m.in. od 1996 r. prowadzi kampanię „TIR-y na tory”, jako prezes krakowskiej grupy Federacji Zielonych na co dzień stara się chronić miasto Kraków przed budową supermarketów, niszczeniem zieleni i temu podobnymi działaniami. Stały współpracownik „Obywatela”.

**Tomasz Szczepański** (ur. 1964) – historyk, publicysta, działacz społeczny, pisarz. W latach 80. działał w opozycji, w 1987 r. członek-założyciel odrodzonej Polskiej Partii Socjalistycznej. Na początku lat 90. pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki w Biurze ds. Mniejszości Narodowych. W latach 1992-1997 w Konfederacji Polski Niepodległej odpowiadał za kontakty z Europą Wschodnią, był członkiem władz tej partii. W latach 1994-1998 radny gminy Warszawa-Targówek. Obecnie przewodniczący Stowarzyszenia „Niklot”, jeden z liderów polskiego ruchu neopogańskiego. Autor prac „Ruch anarchistyczny na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego w dobie rewolucji 1905-07 r.” (1999), „Międzymorze” (1993; broszura przetłumaczona na ukraiński, białoruski i angielski), „Xiądz Marek” (1991) oraz zbioru opowiadań political-fiction pt. „Bunt” (1999; pod pseudonimem Barnim Regalica). Publikował m.in. w „Tygodniku Solidarność”, „Najwyższym Czasie!”, „Myśli Polskiej”, „Magazynie Literackim”.

**Jarosław Tomasiewicz** (ur. 1962) – doktor nauk politycznych, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)”, „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery” i „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej”. Stały współpracownik „Obywatela”.

**Wojciech Turek** (ur. 1963) – gdańszczanin, historyk i publicysta. W latach 80. uczestnik Ruchu Młodej Polski, 1990-1991 członek redakcji tygodnika „Młoda Polska”, 1993-1997 współzałożyciel i dyrektor biura Instytut Konserwatywnego im. E. Burke’a, 1994-2002 radny miasta Gdańska, 1998-2002 redaktor naczelny dwumiesięcznika „Sprawa Polska”. Redaktor i autor kilkunastu książek. Ostatnio wraz z M. Urbanowskim opracował: „Myśl Polska” na emigracji: 1941-1976. Antologia tekstów (Kraków 2005). Redaktor naczelny kwartalnika „Porta”.

**Janusz Waluszko** (ur. 1962) – działacz społeczny, współtwórca Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego i Federacji Anarchistycznej, współorganizator wielu akcji i kampanii od początku lat 80. do dziś. Arianin, zajmuje się wolnościowymi aspektami sarmatyzmu, a ostatnio miastem jako środowiskiem naturalnym współczesnego człowieka. Autor prac „Sarmacja” i „RSA”, od 1978 r. wydaje prywatne pismo „NIERząd”, przez kilka lat był członkiem redakcji anarchistycznego miesięcznika „Mać Parjadka”, opublikował setki artykułów w prasie alternatywnej.

**Jacek Zychowicz** (ur. 1963) – dr nauk filozoficznych, polonista, tłumacz, muzykolog-amator, publicysta prasy lewicowej (m.in. „Dziś”, „Bez Dogmatu”, „Trybuna”, „Nowy Tygodnik Popularny”, „Myśl Socjaldemokratyczna”), autor książki „Mieszanka wybuchowa. Felietony i powiastki ze świata jednowymiarowego”.

#### Potwierdzenie dla wpłacającego

zł

słownie:

imię

nazwisko

ulica, numer domu, numer mieszkania

kod

pocztowy:

na rachunek:

Stowarzyszenie OBYWATEL

Bank Spółdzielczy Rzemiosła w łodzi

81-8784-0003-0005-0010-0005-8901

datownik

(pobrano opłatę)

podpis przyjmującego

zł

#### Potwierdzenie dla posiadacza rachunku

zł

słownie:

imię

nazwisko

ulica, numer domu, numer mieszkania

kod

pocztowy:

na rachunek:

Stowarzyszenie OBYWATEL

Bank Spółdzielczy Rzemiosła w łodzi

81-8784-0003-0005-0010-0005-8901

datownik

(pobrano opłatę)

podpis przyjmującego

zł

#### Potwierdzenie dla banku

zł

słownie:

imię

nazwisko

ulica, numer domu, numer mieszkania

kod

pocztowy:

na rachunek:

Stowarzyszenie OBYWATEL

Bank Spółdzielczy Rzemiosła w łodzi

81-8784-0003-0005-0010-0005-8901

datownik

(pobrano opłatę)

podpis przyjmującego

zł

#### Potwierdzenie dla poczty

zł

słownie:

wpłacający:

imię

nazwisko

ulica, numer domu, numer mieszkania

kod

pocztowy:

na rachunek:

Stowarzyszenie OBYWATEL

Bank Spółdzielczy Rzemiosła w łodzi

81-8784-0003-0005-0010-0005-8901

datownik

(pobrano opłatę)

podpis przyjmującego

zł

wystąpi z szeregu!

|                          |                                                                     |
|--------------------------|---------------------------------------------------------------------|
| <input type="checkbox"/> | zamawiam książki tytuł/ sztuk                                       |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam kawę, przypinki, koszulki kod/ sztuk                       |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam roczną prenumeratę magazynu <b>OBYWATEL</b> od numeru..... |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam roczną prenumeratę magazynu <b>OBYWATEL</b> od numeru..... |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam archiwalne numery magazynu <b>OBYWATEL</b> : .....         |
| <input type="checkbox"/> | naklejki (bezpłatnie)                                               |

|                          |                                                                     |
|--------------------------|---------------------------------------------------------------------|
| <input type="checkbox"/> | zamawiam książki tytuł/ sztuk                                       |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam kawę, przypinki, koszulki kod/ sztuk                       |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam roczną prenumeratę magazynu <b>OBYWATEL</b> od numeru..... |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam roczną prenumeratę magazynu <b>OBYWATEL</b> od numeru..... |
| <input type="checkbox"/> | zamawiam archiwalne numery magazynu <b>OBYWATEL</b> : .....         |
| <input type="checkbox"/> | naklejki (bezpłatnie)                                               |

telefon/ e mail\* .....

\*prosimy o podanie numeru telefonu lub e-maila, w celu łatwiejszego kontaktu z czytelnikami.

## CENNIK REKLAM NA OKŁADCE:

(W PEŁNYM KOLORZE)

II strona okładki - 1600,- zł

III strona okładki - 1600,- zł

IV strona okładki - 2000,- zł

## CENNIK REKLAM WEWNĄTRZ NUMERU

1 strona (wewnętrzna): 850 zł

1/2 strony: 450 zł 1/4 strony: 250 zł 1/8 strony: 150 zł

10% zniżki przy zamówieniu 3 lub więcej reklam w kolejnych numerach, przy większych zamówieniach możliwość negocjacji cen.

### Uwaga:

1. Dla zaprzyjaźnionych inicjatyw obywatelskich stosujemy inny, uznaniowy, cennik reklam.
2. W sprawie płatności za reklamy oraz szczegółów technicznych prosimy o kontakt telefoniczny lub pocztą elektroniczną z Działem Reklam (Rafał Górski, gorski@obywatel.org.pl, tel/fax: /42/630 17 49, 608 137 646).
3. Zastrzegamy sobie prawo odrzucenia reklam oraz zamieszczania ich za darmo.
4. Możliwa jest nieodpłatna reklama w „Obywatelu” pod warunkiem zamieszczenia naszej reklamy w innym czasopiśmie. Decyzja o wymianie reklam zależy od jakości, nakładu, dystrybucji i zawartości pisma, które proponuje wymianę. Chętnych prosimy o kontakt w sprawie ustalenia warunków ew. wymiany.
5. Za treść reklam i poczynania reklamodawców nie ponosimy odpowiedzialności, choć staramy się sprawdzać ich rzetelność przed drukiem.

## ZAMAWIANIE PUBLIKACJI

**UWAGA!** Wypełniając kupon zamówienia miej na uwadze, że poczta i/lub bank przekazują nam treść Twojego zamówienia drogą elektroniczną. Kupon wypełnianie przez Ciebie nie są nam przekazywane. Ich treść przepisywana jest w miejscu wpłaty (przez pracownika poczty lub banku), niestety, bardzo niestarannie, na ogół bez informacji co zostało zamówione, z pomyłkami w adresie i bez polskich liter.

W celu szybkiego i sprawnego zrealizowania Twojego zamówienia prosimy abyś wysłał do nas, w ślad za wpłatą na pocztę lub w banku, pełną informację (liczbę i rodzaj produktu, swój dokładny adres, telefon, e-mail) dotyczącą zamówienia: pocztą elektroniczną (zamowienie@obywatel.org.pl), na kartce pocztowej (na adres redakcji) lub faksem (/42/ 630-17-49).

Prosimy o kontakt wszystkie osoby, które nie otrzymały zamówionych produktów w ciągu 20 dni od momentu dokonania wpłaty na nasze konto.

## Księgarnie i sklepy prowadzące stałą sprzedaż „Obywatela”:

### Bydgoszcz

Księgarnia, ul. Dworcowa 51B/4

### Gdańsk

Księgarnia „Literka” Uniwersytet Gdański

Wydział Filozoficzno-Historyczny, ul. Wita Stwosza 55

### Kraków

Księgarnia Akademicka, ul. Św. Anny 6

Główna Księgarnia Naukowa, ul. Podwale 6

Księgarnia „Korporacja Ha! Art”, Bunkier Sztuki, pl. Szczepański 3a

### Krosno

Księgarnia Antykwariat, ul. Portiusa 4

### Łódź

Sklep Wegetariański „Bliżej Natury”, Piotrkowska 35

Biuro redakcji „Obywatela”, Próchnika 1/301

Sklep „Ontheirground”, Piotrkowska 55

### Poznań

Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitałka”, ul. Mielżyńskiego 27/29

Księgarnia „Uniwersytecka”, ul. Zwierzyniecka

Księgarnia „Uniwersytecka”, Filia w Collegium Historicum,

ul. Św. Marcin 78

Acid Shop, ul. Ogrodowa 20

### Warszawa

Księgarnia Uniwersytecka „Liber”, ul. Krakowskie Przedmieście 24

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, ul. Krakowskie Przedmieście 7

XLM Księgarnia Ludzi Myślących, ul. Tamka 45

Resursa Księgarnia Naukowa, ul. Krakowskie Przedmieście 62

Księgarnia „Antyk”, ul. Grzybowska 3/5

Księgarnia Antykwariat „Kapitałka”, ul. Marszałkowska 6

Sklep „Vega”, al. Jana Pawła II 36c (na tyłach kina „Femina”)

Księgarnia „Spis treści” (Zamek Ujazdowski), Al. Ujazdowskie

Żółty Cesarz (sklep wydawnictwa Wegetariański Świat) ul. Bruna 34

### Wrocław

Księgarnia „Chrobry”, ul. Jagiellończyka 22

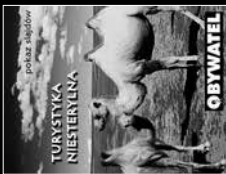
Księgarnia SFERA, ul. Szczzytnicka 50/52.

## Oraz salony prasowe

Empik, Inmedio, Kolporter, Relay i Ruch

**CZYTELNIKU, wesprzyj nas w dotarciu do nowych punktów sprzedaży!**

**NIE  
SAMYM  
DRUKIEM**



**WIĘCEJ INFORMACJI O KSIĄŻKACH  
I INNYCH PRODUKTACH PODAJEMY NA STRONIE  
<http://www.obywatel.org.pl>**

## SLAJDOWISKA

Zapraszamy do wzięcia udziału w „slajdowiskach”, czyli multimedialnych pokazach zdjęć z wypraw łódzkich dziennikarzy i podróżników, Rafała Górskiego (redaktora „Magazynu Obywatel”) i Bartosza Malinowskiego (stałego współpracownika „Obywatela”). Slajdy pochodzą z obserwacji życia przyrody i ludzi w Polsce, Holandii, USA, Mongolii, Laosie i Kambodży. Pokazowi towarzyszą interesujące, pełne humoru opowieści o przygodach z wypraw oraz odpowiedzi na pytania zadawane przez widzów. Istnieje możliwość przyjazdu do każdego miasta w Polsce. Osoby i instytucje zainteresowane organizacją „slajdowisk” w swoich miejscowościach prosimy o kontakt z Bartoszem Malinowskim.

Więcej informacji uzyskać można pod nr tel. (42)6301749 lub 504660166, e-mail: malinowski@obywatel.org.pl

## KONFRONTACJE

Konfrontacje „Obywatela” są jedną z proponowanych przez nas form działań edukacyjnych. Z prelekcjami i filmami docieramy w różne zakątki naszego kraju. Odwiedzamy domy kultury, kina, biblioteki, szkoły, uczelnie. Każdy nasz przyjazd staje się okazją do spotkania z czytelnikami pisma i lokalnymi organizacjami. Podczas takich spotkań prezentujemy projekty „Obywatela”, co jest doskonałym sposobem wymiany doświadczeń i źródłem inspiracji.

Osoby zainteresowane organizacją Konfrontacji prosimy o kontakt z redakcją. Szczegółowe zasady organizacji Konfrontacji są dostępne na naszej stronie WWW.

## SERWIS WWW

**„Obywatel” co dwa miesiące  
– Aktualności „Obywatela” codziennie.**

Każdego dnia na naszej stronie internetowej pojawiają się nowe informacje i komentarze przygotowywane przez redaktorów „Obywatela”. Piszemy o pilnych i ważnych sprawach, wyszukiujemy w informacyjnej dżungli to, co istotne. Komentujemy. Chwalimy, ganimy, dajemy do myślenia.

Pamiętaj o tym adresie. Czytaj regularnie.  
Zobacz: <http://www.obywatel.org.pl>

**OFERTA**  
wrzesień 2005



# OBYWATEL

# Zapraszamy do korzystania z naszej oferty

## TERAZ JESZCZE TANIEJ!

Zapraszamy do korzystania z nowej formy promocji produktów ze Sklepu Wyssykowego „Obywatela”. Jeśli zamówisz na raz książki (lub kasetę i płytę CD) za minimum 70 zł, wówczas przysługuje Ci 15% zniżki na zamawiane materiały.

Jeśli Twoje zamówienie wynosi minimum 70 zł, to zamiast wpłacać całą obliczoną kwotę – odejmij od niej 15% i wpłać o tyle pieniędzy mniej, zaznaczając na blankiecie wpłaty „Promocja”. Oszczędzasz sporo pieniędzy. Przykładowo, jeśli zamówienie wynosi 70 zł, to odliczasz od niego 15%, czyli 10,5 zł i w efekcie placisz nam za zamówione materiały tylko 59,5 zł. Promocja obejmuje wszystkie towary z naszego sklepu oprócz kawy.

Zanów na raz więcej, a otrzymasz to taniej. Nie musisz mieć dużo gotówki

– wystarczy, że złożysz zamówienie np. ze znajomym, wtedy razem zapłacicie mniej.

### Adres redakcji:

„Obywatel”

ul. Próchnika 1/301, 90-408 Łódź

tel./fax./42/630-17-49; tel.kom. 608 137 646

e-mail: [obywatel@obywatel.org.pl](mailto:obywatel@obywatel.org.pl)

Do cen książek i egz. archiwalnych magazynu wliczony jest koszt przesyłki. Zamówione produkty przesyłamy po otrzymaniu na nasze konto wpłaty z zaznaczonymi na blankiecie symbolami (symbol znajduje się na samym początku opisu produktu, np. K1, Kawa, KO10 itd.) zamawianych pozycji i podanym dokładnym i czytelnym adresem zamawiającego (mnie widziany również telefon i e-mail w celu łatwiejszej komunikacji w przyszłości).

Czas realizacji ok. 2 tygodnie od wpłaty. Nie wysyłamy za zaliczeniem pocztowym, gdyż jest to droższe (tak!) dla zamawiającego o 9 zł.

Pieniądże prosimy wpłacać na konto:

**Obywatel, Bank Spółdzielczy Rzemiosła w Łodzi,  
nr rachunku 81-8784-0003-0005-0010-0005-8901.**

**KUPUJĄC PRODUKTY „OBYWATELA” PRZYCZYNIASZ  
SIĘ DO ROZWOJU WOLNEJ MYŚLI W POLSCE!**



# KSIĄŻKI

## – NASZE WYDAWNICTWA

**K 1 – David C. Korten, Świat po kapitalizmie. Alternatywy dla globalizacji.** Biblioteka Obywatela 2002, 300 stron, cena 25 zł. Jedna z najlepszych na świecie prac omawiających kwestię globalizacji i jej skutków społecznych. Autor jest ekspertem Międzynarodowego Forum ds. Globalizacji, jednym z najtęższych umysłów ruchu antyglobalizacyjnego. Korten to doktor nauk ekonomicznych, wykładowca Uniwersytetu Harvarda, działacz ruchów obywatelskich. To mądra, inspirująca książka, przepełniona troską o godne życie ludzi i stan środowiska naszej planety.

**K 2 – Debi Barker, Jerry Mander, ABC globalizacji.** Biblioteka Obywatela 2003, 104 strony, cena 15 zł. Elementarz opracowany przez Międzynarodowe Forum ds. Globalizacji. Książka przygotowana pod kierunkiem międzynarodowego zespołu eksperckiego krytycznie nastawionego do skutków procesów globalizacyjnych. W syntetycznej formie ujmuje największe zagrożenia związane z globalizacją: niszczenie rynków lokalnych, dewastację środowiska naturalnego, patologie społeczne itp. Obnaża jej prawdziwe oblicze i motor napędowy: Światową Organizację Handlu, jej reguły, presję i cele. Znakomita krytyka następstw globalizacji i obalenie mitów o jej pozytywnych skutkach.

**K 3 – praca zbiorowa, Czy globalizacja pomaga biednym?** Biblioteka Obywatela 2003, 130 stron, cena 17 zł. Kolejna pozycja ekspertów z Międzynarodowego Forum ds. Globalizacji obnaża propagandowy slogan, że na globalizacji wszyscy zyskują. Pokazuje, że wiele krajów, regionów, sektorów gospodarki i grup społecznych jest spychanych w nieładę, wyzysk i upodlenie w imię zysku wielkich ponadnarodowych koncernów. Wśród autorów zamieszczonych w tym zbiorze tekstów znajdziemy takie sławy ruchu antyglobalistycznego, jak Vandana Shiva, Martin Khor i Walden Bello. Oprócz obnażenia globalistycznych mitów, książka zawiera także zbiór cytatów obrażających ciemne strony neoliberalnej gospodarki oraz kalendarium oporu wobec urynkowienia całego świata.

**K 4 – Dave Foreman, Wyznania wojownika Ziemi.** Biblioteka Obywatela 2004, 282 strony, cena 28 zł. Znakomita książka legendarnego działacza radykalnego ruchu ekologicznego, założyciela organizacji Earth First!. Po 20 latach działalności Foreman dokonuje rozrachunku. Wskazuje blaski i cienie ekologii radykalnej i instytucjonalnej, wzywa do oporu wobec cywilizacji przemysłowej, która bezzwłocznie niszczy Ziemię i roztwarzania dorobek 3,5 miliarda lat ewolucji. Jedna z najważniejszych na świecie książek z tej dziedziny.

### INNI WYDAWCY

**KO1 – Jarosław Urbanski, Globalizacja a konflikty lokalne.** Federacja Anarchistyczna sekcja Poznań 2002, 100 stron, cena 13 zł. Ciekawa analiza autorstwa socjologa i działacza ruchów społecznych, poświęcona wpływom globalizacji na lokalne społeczności. Autor opisuje, jak globalizacja wpływa na życie codzienne, przywołuje kilkadziesiąt przykładów konfliktów między mieszkańcami a wielkim biznesem, głównie z terenu Wielkopolski. Recenzja: „Obywateli” nr 7.

jakiej znalazła się Polska po 15 latach reform. Jadwiga Staniszkis omawia zasadnicze błędy popełniane przez kolejne rządy, które w konsekwencji doprowadziły do 20-procentowego bezrobocia, znacznej skali ubóstwa, dewastacji sfery publicznej, jedna z najbardziej niebezpiecznych polskich socjologów próbuje naszkicować sposoby wyjścia z tej sytuacji i wskazać realistyczne metody przeciwwyłączenia kryzysu – nie serwuje jednak łatwych i przyjemnych recept. Wywiad-rzeka z Jadwigą Staniszkis zawiera wiele ciekawych spostrzeżeń, jego zalegają jest także przystępny język i klarowność wywodu.

## EGZEMPLARZE ARCHIWALNE OBYWATELA

### Zamów archiwalne numery „Obywatela” za pół ceny.

W sprzedaży wysyłkowej dostępne są numery 6-24. Jeżeli zamówisz 10 egz. Obywatela z tej puli, zapłacisz za nie razem 42 zł, jeśli 9 - 38 zł, jeśli 8 - 34 zł, jeśli 7 - 30 zł, jeżeli 6 egz. - 26 zł, jeśli 5 - 22 zł, jeśli 4 - 18 zł, jeśli 3 - 14 zł, jeśli 2 - 10 zł (w każdym przypadku koszt wysyłki wliczony w cenę). Pamiętaj o dokładnym podaniu na blankiecie wpłaty, które numery zamawiasz. Promocja aktualna do wyczerpania zapasów.

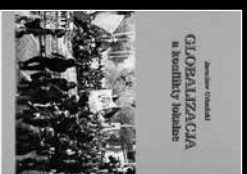
## DOKŁADNY SPIS TREŚCI NUMERÓW ARCHIWALNYCH ZNAJDZIESZ NA NASZEJ STRONIE WWW W DZIALE ARCHIWUM

## POLECAMY TAKŻE:

**VHS 1 – „Dzikie Karpaty”,** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, 2003. Czas: 30 minut. Cena 15 zł. Kaseeta wideo z filmem o dzikich i magicznych górach. Ten rozległy boregion, będący kolebką i trybem wielu kultur jest również pełną różnorodności krainą obrazów, form geologicznych, a także miejscem występowania wielu rzadkich roślin i zwierząt. Ogłębując film można poznać główne zagrożenia przed jakimi stoi ten obszar (rabunkowa gospodarka leśna, niszczenie naturalnych ostoi oraz zabudowa górskich krain obrazów inwestycjami narciarskimi) i konkretne sposoby na ratowanie tych miejsc proponowane przez organizacje pozarządowe, m.in. akcję wykupu terenów leśnych pod rezerwat, alternatywy rozwoju dla gmin górskich, akcje obywatelskiego nieposłuszeństwa.

**CD 1 – STIFF STUFF – „Nie bój się”,** płytka CD, 25 zł. Debiut płytowy ciekawego zespołu grającego muzykę spod znaku hard core punk, z elementami ska, reggae i znakowitych etnicznych bębnow. To wszystko bardzo energetyczne, żywiołowe, ostre, z przesłaniem, lecz mądrymi tekstami. Zespół zdobył nagrodę publiczności na festiwalu w Węgorzewie. Ulubieńcy części redakcji „Obywatela”.

**KAWA – Poznaj Smak Wolności.** Organizacja kawa ze spółdzielni MUT VITZ w regionie Chiapas w Meksyku. Smak Wolności jako jedyny w Polsce sprawdza i sprzedaje organiczną kawę na zasadach uczciwego handlu. Dzięki temu, że sprawozdany kawę bezpośrednio od producentów, mamy pewność, że nasze pieniądze nie są przeznaczane na utrzymywanie korporacji i stworzonego przez nie tańca wyzysku. Organizacja uprawa pozwala w naturalny sposób dojrzeć owocom kawowca, co ma znaczący wpływ na smak i aromat napoju, który trafia do naszych filiżanek. Takli sposób uprawy, kultywowany od wieków przez rdzennych mieszkańców Meksyku, pozwala także znacznie ograniczyć dewastację unikalnej przyrody lasów tropikalnych na tych terenach, co nie jest możliwe w przypadku wielkich przemysłowych upraw. W naszej ofercie znajduje się kawa El Bosque (jasno palona) oraz Bohil (ciemno palona), mielona i cała ziarna, w pakietach 250 g. Cena detaliczna El Bosque oraz Bohil 250g – 15 PLN (plus 7 zł przesyłka)



AR  
CHI  
WUM



## KSIĄŻKI



**KO 22 – Tomasz Borucki, Prawda w sporze o Tatry. W 50. rocznicę otoczenia Tatr Polskich ochroną przez powołanie Tatrzańskiego Parku Narodowego.** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot 2004, 156 stron (w tym 16 stron zdjęć na kredowym papierze), cena 12 zł. Książka jest bardzo dobrym merytorycznie i odważnym obywatelskim głosem przeciwko niszczeniu tatrzańskiej przyrody – jednego z najcenniejszych miejsc w Polsce. Ukazuje odrzonę tatrzańską przyrodę w perspektywie historycznej, a także stale nasilający się proces niszczenia tego skarbu, w imię pazerności, prywaty i zwykłej głupoty. Szczególne miejsce poświęcono wydarzeniom ostatnich lat, kiedy to preja zakopiańskich władz samorządowych i prywatnego biznesu narciarskiego coraz bardziej daje się we znaki halom i turniom, kozicom i świstakom. Autor rozprawia się z fałszywymi argumentami i propagandą zwolenników zamykania Tatr w lunapark. Cały dochód ze sprzedaży tej książki jest przeznaczony na prowadzoną od dawna przez jej wydawcę kampanię w obronie tatrzańskiej przyrody.

**KO 23 – Hakim Bey, Millennium.** Wydawnictwo Inny Świat. Mielec 2005, 96 stron, 13 zł. Polski przekład pracy jednego z ciekawszych myślicieli współczesnego radykalnego undergroundu. Postmodernistyczny anarchizm, który odcina się od politycznej poprawności i lewackiej paplaniny, a sojuszników do walki z Globalnym Kapitałem upstrze w adeptach dziedzictwa religijnego (nieortodoksyjny Islam) i tożsamości etnicznej ludów całego świata. Książka nieszablona, odważna, pobudzająca do refleksji i burząca wiele dogmatów i stereotypów. Nietzsche, Alach i plebejska rewolta kontra Che Guevara, Mamona i korporacyjny kapitalizm. Przeczytaj koniecznie – rozruszaj umysł!

**KO 24 – Ryszard Dąbrowski, Likwidator i Zielona Gwardia.** Zin Zin Press, Poznań 2005, 80 stron formatu A-4 (całość na kredowym papierze), 15 zł. Komiks autora znanego Czytełnikom „Obywatela” z serii przegód Redaktora Śwędaka. To już czwarty zeszyt o perypetiach Likwidatora – radykalnego bojownika przeciwko wynaturzonej cywilizacji przemysłowej i konsumpcyjnej. Krew leje się hektolitrami, trupów jest co niemiara, a wszystko to w obronie Ziemi przed jej niszczycielami. Warta akcja, świetne rysunki i głębokie przesłanie, które bije na głowę większość komiksów. Oczywiście należy czytać i ogłądać całość z przymrużeniem oka oraz chronić przed dziećmi. Patronat medialny: „Magazyn Obywatel”.

**KO 25 – Margrit Kennedy, Pieniądz wolny od inflacji i odsetek. Jak stworzyć środek wymiany służący nam wszystkim i chroniący Ziemię?.** Wydawnictwo Zielone Brygady, Kraków 2004, 142 strony, 13 zł. Książka poświęcona patologiom współczesnego systemu finansowego oraz alternatywom wobec niego. Pokazuje niebezpieczeństwa finansowego monopolu państwa oraz scentralizowanego kapitalizmu. Propaguje nowatorskie podejście do pieniądza, jego kreacji i roli w gospodarce. Wskazuje na możliwości eliminacji wielu patologii społecznych poprzez reformy systemu ekonomicznego, m.in. wprowadzenie lokalnych walut. Napisana bardzo przystępnie, jasno i precyzyjnie. Ukazuje, że oprócz „wolnego rynku” i państwowego interwencjonizmu istnieją inne, bardziej przyjazne ludziom i ekosystemowi modele ładu społeczno-gospodarczego.

**KO 26 – Jadwiga Staniszkis w rozmowie z Andrzejem Zybafą, Szanse Polski. Nasze możliwości rozwoju w obecnym świecie.** Wydawnictwo Rectus 2005, 176 stron, cena 25 zł (u nas najtaniej!). Książka jest krytycznym spojrzeniem na sytuację w

Nowości – dostępne w ofercie „Obywatela” od niedawna

**KO 2 – José Bové, Francois Dufour, Świat nie jest towarem.** Wydawnictwo Andromeda 2002, 296 stron, cena 27 zł. Znakomita książka autorstwa dwóch francuskich rolników-antyglobalistów, z których jeden, José Bové, stał się symbolem walki z patologiami globalizacji. Książka zawiera ciekawy i przystępny opis głównych następstw globalizacji, ze szczególnym uwzględnieniem szeroko pojętej produkcji żywności i sytuacji rolnictwa. Autorzy opisują także kształtowanie się ruchu sprzeciwu wobec globalizacji i jego sposoby działania. Recenzja: „Obywatel” nr 10, fragmenty książki: „Obywatel” nr 8.

**KO 3 – O przyrodzie i człowieku – rozmowy „Dzikiego Życia”.** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot 2001, 164 strony, cena 20 zł. Zbiór rozmów, jakie z różnymi mniej lub bardziej znanymi postaciami przeprowadzili redaktorzy ekologicznego miesięcznika „Dzikie Życie”. Rozmowy poświęcone są głównie problemowi relacji między człowiekiem a przyrodą, ekosystemem. Całość przepehiona troską o stan Natury. Wśród rozmówców m.in. Stanisław Lem, Olga Tokarczuk, Wojciech Eichelberger, Stefan Chatubinski, Arne Naess, Józef Broda, Andrzej Strumiłło, Peter Mathiessen, John Seed. Recenzja: „Obywatel” nr 2.

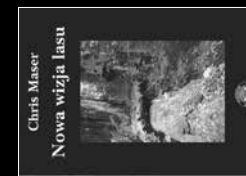
**KO 4 – Magdalena Dziubek-Hovland, Przyroda nie należy do człowieka. Sylwetka i ekofilozofia Arne Naessa na tle norweskiej filozofii ekologicznej.** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot 2004, 132 strony, 17 zł. Praca poświęcona życiu i poglądom Arne Naessa – światowej sławy norweskiego filozofa, twórcy nurtu głębokiej ekologii, będącej teoretyczną podbudową radykalnej ochrony przyrody. Dobrze wprowadzenie w jeden z najciekawszych nurtów współczesnej myśli ekologicznej.

**KO 5 – Noam Chomsky, Rok 501. Podbój trwa.** Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999, 442 strony, cena 25 zł. Fundamentalna praca poświęcona obnażaniu ciemnych stron imperialnej polityki USA, napisana przez światowej sławy aktywistę społecznego. Dobrze udokumentowana, przystępnie napisana, szeroko i wyczerpująco opisuje „drugie dno” amerykańskiej polityki zagranicznej i gospodarczej, które służą realizacji interesów USA i wielkich korporacji kosztem innych państw i całych grup społecznych. Zobacz, jak wygląda skrywane oblicze „demokracji”, „wolnego rynku”, „praw człowieka” i „humanitarnych interwencji”.

**KO 6 – Chris Maser, Nowa wizja lasu.** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot 2003, 284 strony, cena 25 zł. Jedna z ważniejszych prac powstałych w tonie ruchu ekologicznego. Jej autor, przyrodnik i badacz lasów, ukazuje związki między gospodarowaniem lasami a stanem środowiska i przyrodą. Oprócz krytyki istniejącej gospodarki leśnej, Maser proponuje alternatywę – leśnictwo ekologiczne, które pozwoli zachować cenne obszary leśne i ochronić bioróżnorodność. Książka napisana przystępnym językiem, zawiera wiele przykładów z życia codziennego, odwołania do kanonu humanistyki, ok. 100 rysunków i fotografii ilustrujących opisane zjawiska i tezy. Choć koncentruje się na lesie, to bardzo dużo jest w niej odwołań szerszych, dotyczących związków między człowiekiem a przyrodą.

**KO 7 – Jarosław Tomaszewicz, Między faszyzmem i anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery.** Wydawnictwo „Inny Świat” 2000, 128 stron, cena 12 zł. Autor, doktor nauk politycznych, publicysta i stały współpracownik „Obywatela”

## KSIĄŻKI



# KSIĄŻKI



opisuje w książce różne „dziwne” inicjatywy polityczne, będące zwiastunem zmierzchu przestarzałych podziałów na lewicę i prawicę. Ukazuje w książce przenikanie się różnych wpływów, doktryn i koncepcji, na ogół nacechowanych niedogięcią wobec obecnego systemu społeczno-politycznego. W książce zawarte są opisy m.in. eksperymentów zainspirowanych anarchizmem, prawicowych anarchistów, niekonwencjonalnych lewicowców, neopogan, biorregionalistów, komunitarian i wielu, wielu innych. Poznaj świat polityki w pełnej pałęcie jego barw i odcieni.

**KO10 – Colin Barclay-Smith, Dlaczego wciąż brak nam pieniędzy?** Fundacja w Służbie Życia, 90 stron, 7,5 zł. Australijski dziennikarz i ekonomista przedstawia wyniki 25-letnich prac Instytutu Badań Monetarnych. Tłumaczy z wielką jasnością, jak działa kapitalistyczny system finansowy, jak powstaje publiczny dług narodowy i dlaczego wciąż nieustannie rośnie. Zwraca uwagę na fakt tworzenia przez banki i prawie wszystkich pieniędzy krążących w społecznym obiegu i pokazuje w jaki sposób banki tworzą kredyt finansowy drogo sprzedawany społeczeństwu. Ukazuje w jaki sposób można drastycznie zmniejszyć podatki, inflację i deficyt budżetowy poprzez odebranie bankom monopolu na tworzenie pieniędzy, dowodzi, że mamy szansę wyjść z pętli rosnącego zadłużenia, jeśli odzyskamy nasze suwerenne prawo do tworzenia pieniądza w sposób nie-zadłużony.

**KO11 – James Goldsmith, Odpowiedź zwolennikom GATT i Globalnego Wolnego Handlu.** Wydawnictwo Norton 1997, 102 strony, cena 10 zł. Jedną z prekursorskich analiz globalizacji i jej skutków. Autor, milioner, który porzucił udział w wielkim biznesie, autor słynnej książki „Pulapka”, sponsor znanego miesięcznika „The Ecologist”, krytykuje tzw. wolny rynek, ekspansję wielkich koncernów, rozmawianie społeczne i niszczenie środowiska. Ta książka jest kontynuacją „Pulapki”, autor odpięta w niej zarzuty krytyków i jeszcze dobitniej ukazuje fałszywość ideologii neoliberalnej.

**KO14 – Theodore Kaczynski (Unabomber), Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszołość. Manifest wojownika.** Wydawnictwo „Imy Świat” 2003, 170 stron, cena 19 zł. Słynny manifest antrychnologiczny, napisany przez człowieka, którego FBI poszukiwało prawie 20 lat za zamachy bombowe. Radykalna krytyka cywilizacji technologicznej, ukazanie jej słabości i błędów, nakreślenie dróg wyjścia z sytuacji. Trudne pytania i jeszcze trudniejsze odpowiedzi. Żądnych banałów, sloganów i recept znanych z nudnych książek przedstawicieli establishmentu. Nie znajdziesz tu postawy „za, a nawet przeciw”. Manifest wojownika naszych czasów. Jeden z najsłynniejszych tekstów końca XX w.

**KO 15 – Wilczyń tropem.** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot 1999, 50 stron formatu A-4, cena 10 zł. Praca zbiorowa poświęcona roli wilków w przyrodzie, zagrożeńom tych drapieżników, kulturowym stereotypom i młotom towarzyszącym wilkom oraz sposobom ochrony tego gatunku. Ukazuje, jak ważna jest rola tego drapieżnika w przyrodzie oraz dlaczego powinniśmy go chronić wbrew mitom i obawom i technokratom. Wśród autorów wysokiej klasy specjalści, m.in. Robert Lyie i R.F. Dubois.

**KO 17 – Moje miasto,** praca zbiorowa. Ruch Społeczeństwa Alternatywnego 2002, 260 stron, cena 15 zł. Zbiór tekstów różnych autorów (w tym znanych z „Obywatela”), które poświęcone są miastom i przestrzenii miejskiej. Od wspomnień, przez historię osobistą, aż po mini-monografie miast czy dzielnic – książka

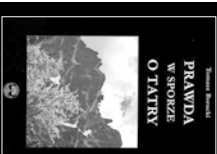
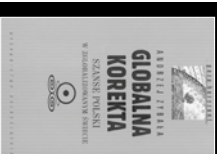
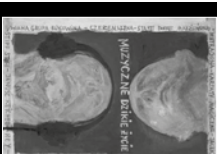
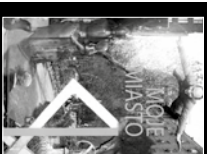
zawiera różne formy opowieści poświeconych relacjom człowiek-miasto, „oswajaniu” miejskiego terytorium, patriotyzmowi lokalnemu, subiektywnym sposobom percepcji przestrzeni miejskiej oraz tworzeniu miejskich wspólnot. 48 opowiadań, wspomnień i historii o miastach i/lub dzielnicach z całej Polski i bliskiej zagranicy.

**KO 18 – Muzyczne dzikie życie.** Pracownia na rzecz Wszystkich Istot 2004, 128 stron, 15 zł. Zbiór rozmów z zespółami muzycznymi, poświęconych problemom ekologicznym i ochronie przyrody. Wywiady te ukazały się w latach 1998-2003 na łamach ekologicznego miesięcznika „Dzikie Życie”. Wśród rozmówców wykonawcy rockowi, punkowi, folkowi, z nurtu poezji śpiewanej, spod znaku dub itp.: Hey, Dezertier, Stare Dobre Matczestwo, Wolna Grupa Bukowińa, Jacek Kłeyff, Orkestra św. Mikołaja, Włochary, Karpaty Magiczne, Wszystkie Wschody Słońca, Czeremszyra, Janusz Reichel, Matragona, Stiff Stiff. Rozmowy przeplatane są opisem najważniejszych problemów ekologicznych Polski, całość jest bogato ilustrowana.

**KO 19 – James Goldsmith, Pulapka,** Wydawnictwo Tygodnika „Solidarność” 1995, 250 stron, 23 zł. Jedną z pierwszych i najośnieszszych analiz zjawiska globalizacji. Jej autor, były uczestnik globalnej elity finansowej, opisuje w swej książce skutki liberalizacji gospodarki i wymiany handlowej, problemy kultu wzrostu gospodarczego, aspekty niszczenia środowiska naturalnego, zamykanie drobnego rolnictwa w przemysłowe farmy, współczesne problemy społeczne. W przystępny sposób przedstawia zjawisko globalizacji i przestrzega przed jego skutkami, a czynił to zanim na tematyka stała się modną. Książka była i bestsellerem, przetłumaczono ją na kilkanaście języków. Resztką nakładu, kupisz tylko u nas!

**KO 20 – Andrzej Zybala, Globalna korekta. Szanse Polski w zglobalizowanym świecie,** Wydawnictwo Dolnośląskie 2004 (seria Poza Horyzont), 267 stron, 28 zł. Analiza sytuacji Polski w zglobalizowanym świecie. Autor pokazuje, że już kilka lat temu nastąpił odwrót od globalizacji w ekonomii, gdyż zglobalizowana gospodarka okazała się niestabilna. W latach 90. mieliśmy do czynienia ze znaczącą liczną kryzysów finansowych, m.in. w Meksyku, Azji Wschodniej, Argentynie, Rosji. Również wyniki gospodarcze w takich krajach, jak Polska nie są zachęcające. Książka omawia wpływ globalizacji na polską gospodarkę. Uzasadnia, że nasza gospodarka została zbyt szybko i w sposób nieprzemysłowy umiędzynarodowiona. W efekcie jesteśmy bezbronni wobec licznych zagrożeń, m.in. nie jesteśmy w stanie ochronić się przed kapitałem spekulacyjnym czy wręcz kryminalnym przesuującym światowe rynki w pogoni za łatwym łupem. Porcja solidnej krytyki globalizacji – bez hysterii i sloganów, za to wiele konkretnych. Autor jest współpracownikiem „Obywatela”. U nas najtańiej! Więcej o książce, w tym fragmenty: <http://www.globalnakorekta.w.r.pl>

**KO 21 – Janusz P. Waluszko, Sarmacja.** Wydawnictwo Imy Świat 2000, 40 stron, 4 zł. Broszura zawiera dwie rozprawy: powstają pod koniec lat 80. „Rzecz o Sarmacji”, ukształtowaniu, miejscu w Europie i szansach jej rozwoju przez powrót do „korzeni” oraz nową: „Mitozofię sarmacką”. Autor, wieloletni działacz społeczny, lider Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego i jeden z czołowych ideologów polskiego anarchizmu, proponuje alternatywne spojrzenie na historię Polski. Akcentuje wątki wolnościowe, samorządność, oddolne inicjatywy, opór społeczeństwa wobec elit, a także wskazuje na wartość oryginalnej polskiej koncepcji społeczno-filozoficznej, „sarmaryzmu”. Oryginalne ujęcie historii Polski i próba wyciągnięcia z niej wniosków na przyszłość.



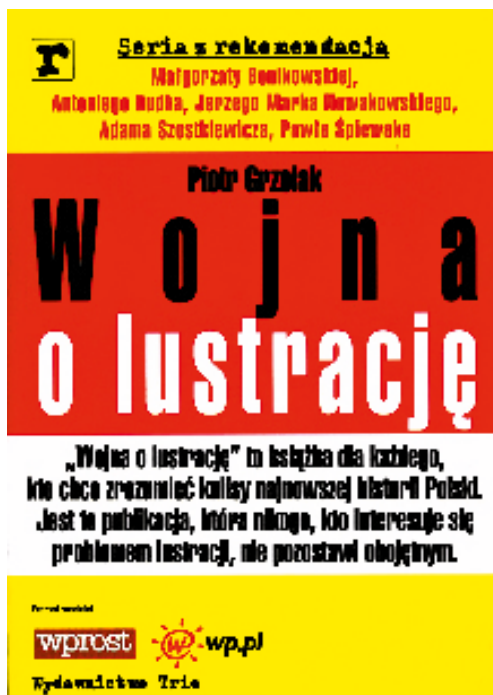
# Wydawnictwo Trio

---

## poleca kolejną książkę z cyklu:



### Seria z rekomendacją



Słowo lustracja stało się w języku polskim synonimem politycznego konfliktu.

Dawno już zapomnieliśmy, że lustracja osób sprawujących funkcje zaufania publicznego jest normalną praktyką na całym świecie. Ale też, zamiast lustracji mamy w Polsce „wojnę o lustrację”.

I tę właśnie wojnę spokojnie i bez emocji opisuje Piotr Grzelak w swojej książce. Po kolei analizuje najważniejsze ustawy lustracyjne, debaty sejmowe i dyskusje publiczne. Nie oskarża, choć nie stroni od nazwisk. Ale dzięki chłodnemu spojrzeniu, pisząc o wojnie, zdołał wyzwolić się z wojennej atmosfery.

Jego książka to obowiązkowa lektura dla tych, którzy chcą wiedzieć, a nie dla tych, którzy pragną wojować.

Jerzy Marek Nowakowski, WPROST

---

**Wydawnictwo Trio**  
**00-373 Warszawa,**  
**ul. Nowy Świat 18/20**

**tel./fax + 48 22 826 73 70, 826 66 65**

**trio@wydawnictwotrio.pl**  
**www.wydawnictwotrio.pl**

---

**Patroni medialni:**

**wprost**

**wp.pl**





# Niezależne obchody 25 rocznicy powstania pierwszej „Solidarności”

fot. Maciej Szemelowski

niezależne  
od partii  
politycznych,  
administracji  
państwowej  
i unijnej

## Gdańsk

31.08.2005 godz. 9-23

Dom Technika (NOT)

ul. Rajska 6

Komitet Obchodów:

Andrzej Gwiazda

Anna Walentynowicz

Joanna Duda-Gwiazda

Lech Sobieszek

Stefan Lewandowski

Jadwiga Chmielowska

Ewa Kubasiewicz-Houee

Krzysztof Wyszowski

Wiesława Kwiatkowska

zakazane filmy,  
dyskusje,  
wykłady,  
wystawa,  
koncert...

szczegółowy plan obchodów:

[www.obywatel.org.pl/solidarnosc](http://www.obywatel.org.pl/solidarnosc)

**OBYWATEL**  
[www.obywatel.org.pl](http://www.obywatel.org.pl)